



ostatni sprawiedliwy

Irena Matuszkiewicz

W
A
B



ostatni sprawiedliwy

Irena Matuszkiewicz



Irena Matuszkiewicz

Ostatni sprawiedliwy

Dom pękał w szwach od gości. Co prawda zjechały raptem cztery osoby, jednak budynek był mały, wiekowy i miał prawo pękać. Jego właścicielka, Barbara Kurczyłówna, od lat nie wydawała przyjęć, bo też ludzie z jej pokolenia dawno zmienili ziemski żywot na inny, może nawet niebiański, więc pojawiali się jedynie w snach, czasem we wspomnieniach. Miesiąc wcześniej odszedł najstarszy brat, Władysław, senior rodu Kurczyłów. Średni brat, Henryk, marynarz i obieżyświat, zmarł wiele lat temu, a Barbara, najmłodsza z rodzeństwa, przekroczyła dziewięćdziesiątkę i wciąż trwała na posterunku.

Jako kobieta niezamężna i bezdzietna skierowała swoje uczucia na dzieci i wnuczeta braci. Czuła się potrzebna, ponieważ w swoim mniemaniu sprawowała funkcję strażniczki rodzinnych tradycji. Na odległość co prawda, ale z ogromnym zapalem ciotkowała i babkowała potomkom świetnego rodu. W

odpowiedzi na obszerne memoriały, dotyczące spraw rodzinnych bądź ogólnego zdziczenia obyczajów, dostawała skromne karteczki na Boże Narodzenie, na Wielkanoc i czwartego grudnia na imieniny. I na tym właściwie skończyłyby się kontakty, gdyby nie Emilka, wnuczka Henryka, która żywo interesowała się losem staruszki, wpadała do niej dość często, a jeszcze częściej telefonowała.

Spóźnione rodzinne spotkanie związane było ze schedą po zmarłym Władysławie. Lada dzień majątek miał przejść w obce ręce, co Barbarę przejęło taką zgrozą, że zwołała rodzinny sejmik. Za namową mecenasa Lamety i przy pomocy opiekunki Haliny Lipki rozesała pięć listów do żyjących członków rodziny, a więc do dwójki dzieci swoich braci oraz do dzieci ich dzieci, czyli do przyszywanych wnucząt. Na apel babki odpowiedziały jedynie wnuczeta. Z

Norwegii przyleciał Feliks, wnuk Władysława. Wnukowie Henryka mieli znacznie bliżej: z Ostródy przyjechał Leszek, a z Torunia jego siostra Emilka Korycka. Ta ostatnia nie ruszała się nigdzie bez męża Waldemara. Koryccy zjawili się u babki pierwsi i Emilka od progu zapowiedziała, że bierze na siebie obowiązki pani domu. Raz, że czuła się związana z babką bardziej niż kuzyni, a dwa, że lepiej od nich znała się na powlekaniu pościeli i szykowaniu śniadań.

Oczywiście była jeszcze nieoceniona Halina Lipka, lecz ona miała sprawować pieczę nad staruszką, nie nad jej gośćmi. Zresztą Emilka i tak pięciu minut nie usiedziała spokojnie. Jeśli wierzyć jej mężowi, pod rudą strzechą loków palił się żywy ogień. Temperament i urodę Emilia odziedziczyła po ojcu, więc nie była zbyt podobna do Kurczyłów. Prawdę mówiąc, nie była w ogóle podobna do rodziny matki: ani po wierzchu, ani w środku. Kurczyłowie odznaczeni posturą słuszną, można powiedzieć, kwadratową, poruszali się i mówili ze spokojem i dystynkcją odziedziczoną po kresowych przodkach.

Ojciec Emilii nie miał ze szlachecką sferą nic wspólnego, poza żoną, oczywiście. Córka wdała się w niego jota w jotę. Nie przywiązywała wagi do dóbr doczesnych, była radosna i energiczna. Jak pracowała, to pracowała, ale jak już się bawiła, to na całego.

Młodzi członkowie rodziny Kurczyłów zjeżdżali w czwartek i piątek, a na sobotę Emilka zaplanowała kolację w ogrodzie. Meszki po opryskach właśnie wyzdychały, komary przymulone

suszą wzięły na przeczekanie i można było spokojnie rozkoszować się wieczornym chłodem. Nikomu nie chciało się siedzieć w nagranych murach, nawet seniorce długowiecznego rodu, mimo że ostatnio wciąż narzekała na chłód.

W domu babki Barbary nie było urządzenia do grillowania, takiego najprostszego, na cienkich, chwiejnych nóżkach. Emilka wyznaczyła dwu ochotników i - nie bacząc na protesty ani na upał - wysłała ich do śródmieścia.

Przykazała, by dodatkowo kupili węgiel drzewny oraz piwo - i więcej nie zawracała sobie głowy techniczną stroną przedsięwzięcia. Sama pobiegła po karczek i skrzydełka, a po drodze zajrzała do Bulwickich, sąsiadów babki z za wschodniego płotu. Pożyczyła od nich kilka krzesełek ogrodowych, wymieniła najświeższe ploteczki oraz zaprosiła Jacka z Izą i wnukiem Danielem na wieczór. Bulwiccy byli jedynymi sąsiadami, których Barbara Kurczyłówna nie tylko poważała, ale także włączyła do rodziny, zachęcając, by nazywali ją babcią. Podobnego wyróżnienia nie dostąpili Cieplakowie, ci od strony zachodniej. Wystarczyło porównać żywopłoty: między Barbarą i Bulwickimi rosły niewysokie pięciorniki, a od strony Cieplaków kłębił się gąszcz leszczyny, z za którego nic nie było widać. Cieplakowie nie mieli prawa wstępu do ogrodu Barbary, gdzie rośliny rosły, jak same chciały, a najbujniej te dzikie. Obie posesje oddzielał mur zieleni, z za którego wyłaniały się fragmenty domu.

Barbara popatrywała na ten budynek z wielką nostalgią.

Około szóstej wszystko było już przygotowane do ucztowania, łącznie z nowym grillem. Sąsiad Jacek Bulwicki nie bardzo się znał na przyjęciach ogrodowych, kiedy jednak Emilka wyznaczyła go na swojego pomocnika, zgodził się bez szemrania. Mimo gorąca machał szczypcami, zaglądał pod pokrywę i uwalniał zapachy przyprawiające głodnych o ślinotok. Był zapalonym myśliwym, a do tego gawędziarzem lubującym się w opowieściach ociekających posoką. Myśliwi kochają takie bajki i nic nie jest w stanie ich zniechęcić, nawet wstręt na twarzach słuchaczy. Bulwicki odgrywał scenę tropienia rannego koziołka, udawał, że strzela z metalowych szczypiec, i pląsał wokół grilla w dzikim tańcu, który ogromnie się podobał sześciolletniemu Danielowi.

Chłopiec kręcił się pod nogami, na krok nie chciał odejść od rozgrzanego piecyka i nic sobie nie robił z przerażonych okrzyków babci Izy w rodzaju:

„Danielu, uważaj, bo się poparzysz!”. Dopiero Leszek Kurczyłło spojrział na malca poważnie spod gęstych brwi i powiedział tonem nieznoszącym sprzeciwu:

- Albo idziesz stąd natychmiast, albo osobiście dopilnuję, żeby zaraz po kotletach dziadek ciebie ustrzelił i upiekł na ruszcie. Będziesz smakować jak małe koźlątko.

Daniel znał się na żartach, jednak zwiodła go sroga mina i kategoryczny głos obcego pana. W sprzeczki wołał nie wchodzić, ale też nie chciał zbyt szybko kapitulować.

- Jestem cały w zarazkach, bo się dzisiaj nie myłem - zawołał.

Leszek wzruszył ramionami.

- Ogień zabije zarazki - wyjaśnił zwięźle. - Resztę załatwi pieprz.

Chłopiec odwrócił się na pięcie i pobiegł w głąb ogrodu. Nie był to dla niego teren zupełnie obcy, bywał u dziadków bardzo często, więc przy okazji przesiadywał z babcią Izą u sąsiadki zza płotu. Z wielką ciekawością patrzył na staruszkę, której młodość umiejscawiał mniej więcej w epoce lodowcowej.

Próbował podpytywać ją o wędrowkę Manfreda, jednak przyszywana prababcia nie kojarzyła Manfreda z mamutem, przyjacielem Sida i Tygrysa, tylko z jakimś Mordredem, podobno siostrzeńcem króla Artura. Daniel jak dotąd nie słyszał o królu, a kiedy jeszcze się okazywało, że prababcia też nie znała tego Artura, tracił zainteresowanie dla przeszłości i oddawał się ciekawszym zajęciom.

Ledwie chłopiec zniknął w wysokim zielsku, Emilka się roześmiała.

- Ładnie to tak straszyć dzieci? - spytała.

Jej brat nie wyglądał na skruszonego.

- Nikogo nie straszylem - wyjaśnił z powagą. - Postawiłem przed młodym alternatywę: albo sobie pójdzie, albo da się upiec. Jak widać, wybrał rozsądne wyjście.

- A gdyby wybrał mniej rozsądnie, to co byś zrobił? - dociekała Emilka.

- To już byłoby zmartwienie dziadka. Ja byłbym za upieczeniem.

- Pan oczywiście żartuje? - upewniła się Iza Bulwicka, babcia kandydata na pieczyste.

- A kto go tam wie! - wykrzyknęła rozbawiona Emilka. - To zawodowy policjant, i tak trzeba na niego patrzeć. Z kim on przestawał całe życie? Ze zbrojeńcami, z bandytami, więc mógł się do nich upodobnić.

Iza poczuła wyraźną antypatię do Leszka Kurczyłły.

Uwierzyć mu nie uwierzyła, jednak sam pomysł uznała za kompletnie głupi. A jak pomysł, to i pomysłodawcę.

Na szczęście nadeszła pora kolacji, więc darowała sobie uszczypliwości i poszła szukać wnuka. Goście przy ogrodowym stole zabrali się do jedzenia.

Barbara Kurczyłłówna, otulona lekkim błękitnym kocykiem, przypominała kruchą, aczkolwiek dość pokaźną lalkę. Cerę miała jasną, do złudzenia przypominającą mocno zgnieciony kawałek jedwabiu w kolorze kości słoniowej. Brązowe oczy rozglądały się wokół żywo i przytomnie. Dla wygody opiekunka posadziła ją na wózku inwalidzkim. Taki wózek łatwiej było przepchać z domu do ogrodu, łatwiej też staruszkę otulić, a nawet nakarmić kaszką z jabłkami. Danie było pomysłem opiekunki, Haliny Lipki, i wyszło na to, że Lipka spokojnie mogła sobie tę kaszkę zjeść sama. Barbara Kurczyłłówna przełknęła dwie pierwsze łyżki, po czym zdecydowanym, choć cichym głosem poprosiła o to, co jedli wszyscy, czyli o kawałek kotleta. Zgodziła się, żeby to był kawałek chudy i

drobno pokrojony. Dziobała go potem z wielkim upodobaniem, zagryzając świeżym chlebem.

- A może piwka? - spytał Waldemar, rozglądając się za szklaneczką dla babci.

- To nierozsądna propozycja! - zgromiła go opiekunka.

Posłała śmiałkowi groźne spojrzenie, które natychmiast powinno położyć kres niemądrym żartom. Jednak Waldemar nie żartował i całkiem szczerze chciał się dzielić z seniorką rodu wszystkim, co najlepsze.

- Nie, nie, chłopcze, dziękuję ci za dobre serce, ale dla mnie piwne czasy już minęły. Teraz nawet po dwu łykach mam zgagę - wyjaśniła babcia, po czym skinęła ręką na panią Halinę i poleciła jej, by przyniosła z kredensu kieliszek nalewki pieprzowej.

- Babcia jest okay! - ucieszył się Feliks Kurczyłło, lekarz z dalekiego Bergen w norweskiej prowincji Hordaland.

Halina Lipka i jemu posłała nieprzychylnie spojrzenie.

- W nocy, gdyby co, to pan doktor będzie babcię ratował, bo ja za godzinkę kończę pracę i jadę do domu.

- Wierzy pani, że ten kieliszek nalewki może zaszkodzić? - zdumiał się Feliks.

- Nie mówię o nalewce, tylko o tej spieczonej świninie - wyjaśniła z godnością Halina Lipka. Postawiła przed babcią kieliszek, a sobie dołożyła kaszki z jabłkami. Kotletów ani skrzydełek nie tknęła.

Barbara Kurczyłłówna niewiele sobie robiła z przerażenia opiekunki, chociaż znakomicie słyszała całą rozmowę. Była postępową staruszką, nie wstydziła się okularów ani aparatu słuchowego wmontowanego w oprawkę.

Pogawędka z nią byłaby prawdziwą przyjemnością, gdyby nie upierała się tak bardzo przy niektórych opiniach.

Kiedy już biesiadnicy zaspokoiли pierwszy głód, popukała kościstym palcem w stół.

- Posłuchajcie, co mam wam do powiedzenia! - zakomunikowała uroczystym tonem. Odczekała, aż się uciszą, i ciągnęła dalej: - Miesiąc temu, za tymi oto krzakami leszczyn, w rodzinnym domu Kurczyłłów został otruty mój brat Władysław.

- Babciu, nie wracajmy do tego! - poprosiła Emilka, co znaczyło, że pomysł z nienaturalnym zejściem dziadka nie był dla niej tajemnicą. Wydawała się znużona i przybita.

- Dlaczego babcia uważa, że został otruty? - spytał Leszek.

- Odezwał się detektyw - mruknęła niechętnie Emilka. - Bo tak właśnie uważa, i to musi ci

wystarczyć, nawet jeśli jesteś zdania, że dziewięćdziesięciosześcioletni człowiek ma prawo umrzeć bez pytania rodziny o zgodę.

- Nie gadaj, bo ciebie przy tym nie było, a ja byłam! - fuknęła gniewnie Barbara. - Miał swoje lata, to prawda, ale był dziarski i zdrowy. A potem nagle podupadł, z dnia na dzień. W sobotę jeszcze z nim rozmawiałam, w niedzielę mnie nie poznał. Oddech miał krótki, urywany, jakby się dusił i - zawiesiła dramatycznie głos - pachniał migdałami. Jest taka silna trucizna, która pachnie migdałami, nazwa wyleciała mi z pamięci...

- Cyjanek - odpowiedział Feliks.

- Możliwe, że cyjanek - przytaknęła Barbara. - Nafaszerowali go cyjankiem.

- Kto? - spytał Leszek.

- Za rękę nikogo nie złapałam! - zachnęła się staruszka. - Ściągnęłam was, bo trzeba złożyć doniesienie do prokuratora, zażądać ekshumacji i przeprowadzić śledztwo, które potwierdzi, że to ja mam rację. Śledztwo powinno też wskazać winnego.

- No, no! - wykrzyknął z podziwem Leszek. - Nasza babcia nieźle się orientuje w kwestiach prawnych.

- Radziła się mecenasa - mruknęła Emilka.

- A owszem! - przytaknęła Barbara. - Mój ojciec, a wasz pradziad mawiał, że do spraw poważnych trzeba podchodzić poważnie. Radziłam się mecenasa...

jak mu tam... Przyznał, że wszystko to razem wygląda podejrzanie. Dla niego zaledwie podejrzanie, a ja swoje wiem.

Otruli go, żeby szybciej dorwać się do majątku. Cieplakowie są mocno niecierpliwi. Oczywiście ta Szarłatowa też ma swoje za uszami.

- A co z żoną dziadka? - zdziwił się Feliks. - Powinna jeszcze żyć, nie dostaliśmy wiadomości, że umarła.

Emilka litościwie pokiwała głową. Nie po raz pierwszy miała okazję się przekonać, jak niewielką wagę przywiązują mężczyźni do koligacji rodzinnych.

Inna rzecz, że babka Barbara mówiła po swojemu, i Feliks miał prawo się pogubić. Emilka usiadła obok niego i starannie dobierając słowa, żeby nie urazić babki, przypomniała koleje losów Władysława Kurczyły. Ze swoją pierwszą żoną Julią dziadek przeżył prawie czterdzieści lat, dochował się syna Marka i wnuka Feliksa, tego samego, który teraz siedział obok i potakiwał. O pierwszym małżeństwie dziadka jego najbliższa rodzina wiedziała prawie wszystko. Luki dotyczyły czasów późniejszych, kiedy Władysław Kurczyło ożenił się powtórnie. Miał wówczas sześćdziesiąt sześć lat, a jego wybranka, Zofia Szarłat, zaledwie czterdzieści cztery. W tym drugim stadle przeżył trzydzieści lat, a więc też szmat czasu. Wydawał się szczęśliwy i nawet rodzona siostra nie zdołała

mu wmówić, że było inaczej. Po prostu Barbara Kurczyłówna nigdy nie uznała drugiej żony brata. Uważała ją za prowincjuszkę odpowiednią na gosposię, ale niegodną miana towarzyszkę życia człowieka wykształconego, kulturalnego, a przede wszystkim dobrze urodzonego. O drugiej żonie brata mówiła „ta Szarłatka” lub „ta kobieta”. Jeszcze większą odrazą przejmowała ją córka Szarłatowej, zwana nie wiadomo czemu Mirabelką, i jej mąż Maciej, czyli Cieplakowie, od trzydziestu prawie lat znieawidzeni sąsiedzi.

- Ci Cieplakowie to rzeczywiście takie straszne gady? - spytał Leszek.

Głos miał tubalny i nawet nie próbował go ściszyć.

Zdziwił się bardzo, kiedy Iza Bulwicka przyłożyła palec do ust i oczami wskazała na leszczynowy żywopłot.

- Mówiliście, że tam nikogo nie ma! - bronił się Leszek wciąż tym samym dźwięcznym basem.

- Bo nie ma - uspokoił go Jacek Bulwicki. - Cieplakowie z matką wyjechali na jakąś rodzinną uroczystość, bodaj na ślub kuzynki.

- Wyjechali, ale nie wiem, czy nie wrócili - zauważyła cicho Iza. - Z całą pewnością ktoś się płacze wokół domu. I Głupol cały czas szczeka.

- A kiedy on nie szczeka? - zdziwił się Jacek.

Iza niecierpliwie machnęła ręką.

- Szukając Daniela, zapuściłam się aż pod płot i wyraźnie słyszałam Cieplaka. Trudno nie poznać jego głosu, bo skrzeczy niczym przyduszony paw.

I tak właśnie skrzeczał. Tłumaczył komuś, że pieniądze nie są najważniejsze.

Dla niego są, więc widocznie mówił o kimś innym - wyjaśniła.

- Przyduszony paw? - roześmiał się Leszek Kurczyłło. - Dzięki tej informacji jedno wiemy na pewno: pani Iza nie znosi Macieja Cieplaka.

Zgadłem?

Milcząca dotąd babka Barbara nagle się ożywiła.

- Jego nikt nie znosi - stwierdziła z mocą. - Jacek świadkiem. Jakiś czas temu nie posłuchał mnie, zadał się z Cieplakiem i na własnej skórze doświadczył, co to za kanalia. A uprzedzałam go, oj, uprzedzałam!

Pogroziła palcem Jackowi Bulwickiemu i się zamyśliła. Od czasu do czasu wpadała w chwilowe odrętwienie, które przypominało drzemkę z otwartymi oczami.

- Nie uwierzył pan babci? - zdziwił się uprzejmie Feliks.

- To nie tak! - Bulwicky machnął ręką. - Znam Cieplaka jak własnych pięć palców. Znamy się od pierwszej klasy liceum, czyli lekko licząc, od czterdziestu kilku lat. Trochę oddechu miałem w czasie studiów, a potem znowu się przyssał.

Przez cały ten czas stara się ze mną konkurować.

- Konkurować!? - prychnęła cicho jego żona. - On nie konkuruje z tobą, on nieudolnie próbuje cię naśladować lub raczej małpować, przy czym wszystko chce mieć bardziej wypasione, mówiąc współczesnym językiem. A że to chłop z nizin, mentalnie i dosłownie, więc o pewnych rzeczach nie ma zielonego pojęcia, brakuje mu gustu i wyrobienia. Pomijam już nieustanny strach, żebyśmy go nie wyprzedzili z marką telewizora czy samochodu, ale wyobraźcie sobie państwo, że on nawet po cichu obmierzył naszego psa.

- Psa! Po co niby? - zdziwiła się Emilka. - Chciał mieć pewność, że jego będzie większy?

Spojrzała na Izę i obie zaczęły się śmiać. W tym momencie w ich beztroski śmiech wdarł się wysoki kobiecy głos. „Na pampersy, idioto, jestem za stara!”. Wszyscy odruchowo popatrzyli na leszczyny, zaraz potem na babcię.

Barbara Kurczyłówna spokojnie drzemała ze zwieszoną głową i pewnie byłaby mocno oburzona, słysząc, że najbliżsi posądzili ją o używanie wstydlivych słów w obecności mężczyzn. Wiedziała, co to pampers, wiedziała, co nocnik, ale nigdy o tych rzeczach nie mówiła publicznie.

Iza spoważniała w jednej chwili.

- Mówiłam, że tam ktoś jest! - powiedziała stłumionym głosem.

- Tam? - obruszył się Jacek. - Przecież to krzyczał ktoś z drugiej strony ulicy.

Nie zgodzili się z nim i poparli Izę.

- Zza leszczyn.

Spór zawisł na włosku i nie przerodził się w drobną sprzeczkę tylko dlatego, że na podwórku Bulwickich rozszczękał się pies. Szykował się wieczór niespodzianek, bo Ar rzadko kiedy szczekał bez powodu. Bulwicky wstał

niechętnie, żeby sprawdzić, kto zakłóca spokój jego domu, natomiast towarzystwo przy stole nabrało ochoty na herbatę. Emilka zerwała się, spojrzała na drzemającą babcię i stanęła na moment przy krześle Feliksa.

- Co sądzicie o babcinym pomysle? - spytała cicho.

Feliks pokręcił głową z nieokreśloną miną.

- Dziewięćdziesiąt sześć lat! - mruknął z podziwem. - Chciałbym dożyć takiego wieku w pełnym zdrowiu.

Sekcji zwłok pewnie nie robiliście?

- A po co? - Emilka wzruszyła ramionami. - Słabł, słabł, aż zgasł. Wcale się nie dziwię żonie, że nie dała go szarpać i kroić po śmierci. Zresztą nie było żadnych podstaw. Babcia przypomniała sobie o tym cyjanku kilka dni po pogrzebie.

- A jeżeli to babcia ma rację? - zastanowił się Leszek.

Spokojna dotąd Emilka w jednej chwili się zagotowała.

- Że też w każdej porządnej rodzinie musi się trafić jakiś detektyw! -

rzuciła przez zęby. - Słyszałeś, ile dziadek miał lat? Słyszałeś. Ostatnio zachorował na zapalenie oskrzeli i to doprowadziło do zgonu. Taką diagnozę postawił lekarz, który opiekował się nim od kilkunastu lat. Musimy wyperswadować babci nedorzeczny pomysł z ekshumacją, jeśli nie chcemy wyjść na durniów.

Przyjmijcie do wiadomości, że Zofia Kurczyło dbała o męża. Nawet babcia z niechęcią przyznaje, że „ta kobieta” sprawdziła się jako gosposia i pielęgniarka, toteż o otruciu przede wszystkim podejrzewa Cieplaków, a Zofię tylko przy okazji. Zresztą pani Halina towarzyszyła babci przy każdej wizycie, nich wam powie, jaki to był dom.

Halina Lipka wywołana do odpowiedzi wyprostowała się odruchowo, prezentując biust, który trzydzieści lat temu przyprawiał mężczyzn o zawrót głowy.

- Nie wiem, jak mieszkają Cieplakowie na piętrze, bo nigdy tam nie byłam. O porządek u nich dba Henia Pełka, a ona nie jest najgorsza.

Chodziłyśmy z panią Barbarą jedynie do starszych państwa, na parter. Złego słowa nie powiem na Zofię - obwieściła uroczystym tonem. - Ona wszystko robiła sama i jeszcze była na każde skinienie pana Władysława. A on bywał

wyjątkowo ostry. Raz to nawet pani Barbara powiedziała: „Władeczk, przesadzasz!”. Ale chyba tylko raz, a powodów było dużo więcej. Dla nas pani Zofia była dość opryskliwa, ale też trudno się dziwić. Powiem szczerze, nie byłabym lepsza, gdyby mi ktoś na każdym kroku czynił bezsensowne uwagi. A pani Barbara potrafiła dokuczyć, i to wcale niepotrzebnie, bo w domu wszystko było idealnie zrobione i na czas. Zofia znała się na sprzątaniu, gotowaniu i na diecie. Do męża odnosiła się ładnie, czego więcej chcieć? Pewnie, że prochu to ona by nie wymyśliła, ale pan Władysław nie tego chyba oczekiwał od żony -

dodała, zerkając trwożnie na swoją podopieczną.

Emilka też spojrzała na babkę, a widząc jej zwieszoną głowę, zdecydowała się jeszcze trochę popracować nad kuzynami. Niepokoił ją zwłaszcza Leszek, który lubił się czepiać. Zawód zawodem,

ale charakter, zwłaszcza upór, to on wziął po przodkach i z czystej przekory mógł obstawać przy ekshumacji. Przeczuwała, że z Leszkiem będą największe kłopoty, i wcale się nie pomyliła.

- Mówisz o nedorzecznym pomysle babci - powiedział, przeciągając się nieznacznie. - Jest on nedorzeczny tylko przy założeniu, że babcia wydumała sobie zbrodnię. A jeśli nie? - Udał poważne zastanowienie. - Oczywiście pamiętam, ile lat miał dziadek, ale może właśnie dlatego, że był stary, chory i uciążliwy, ktoś spróbował skrócić mu doczesną mękę. To nie jest takie nierealne. Warto sobie odpowiedzieć na jedno książkowe pytanie: kto najbardziej zyskał na śmierci dziadka?

- Kto? - mruknęła Emilka. - Dopóki żyje żona, to nie wiem, jak to będzie.

Przecież jej się też coś należy za trzydzieści lat wiernej służby, za pranie, gotowanie i niańczenie dziadka. Na pewno zyska coś syn, czyli stryj Marek, może wnuk, to jest Feliks, wszystko zależy od zapisu. Ty i ja moglibyśmy liczyć najwyżej na drobne pamiątki rodzinne, jakąś szabelkę, ryngraf, ewentualnie miśnieńską wagę babci Julii, pod warunkiem że dziadek chciałby nam to dać.

Niestety, nie ma testamentu, zginęła też intercyza. Babcia Barbara zna treść tych dokumentów, ale to za mało, żeby wygrać z Cieplakami.

- Czyli nic nie jest czyste ani proste - zauważył z satysfakcją Leszek. -

Może rzeczywiście Cieplakowie stracili cierpliwość.

- Człowieku! Wystarczyło im cierpliwości przez trzydzieści lat, to wystarczyłoby przez kilka dni.

- Dlaczego dni? A może dziadek chciał dociągnąć do setki.

- Chcieć mógł, ale w jego wieku zapalenie oskrzeli równa się wyrokowi śmierci - wtrącił milcząco dotąd Feliks.

- No widzisz! - wykrzyknęła Emilka, nie tając rozdrażnienia.

Leszek nieoczekiwanie się roześmiał. Podobno - tak przynajmniej utrzymywał - najtrudniej jest skazańcom przeżyć ostatni miesiąc, a nawet tydzień więzienia. Odsiadują po dziesięć lat, a uciekają dwa tygodnie przed wyjściem na wolność. Emilka nie pojmowała czy też nie chciała pojąć aluzji, zdenerwowała się i pobiegła do domu po herbatę. Przed gankiem zderzyła się z Bulwickim i Danielem.

- I co? Ktoś chciał ukraść Ara? - spytała.

- Patologia! - Bulwicki niechętnie machnął ręką. - Ludziom w głowach się przewraca, uważają, że nie ma złej pory na wyklócanie się o zarobki, a już sobotni wieczór jest do tych celów idealny. Z furtki faceta zdjąłem, skakać chciał, bo uważał, że powinienem siedzieć w domu i czekać na niego. Mówię, durniowi, że z ostrym psem nie miałby szans, a on mi gada, że to nie jego zmartwienie, tylko moje. Chyba pierwszy raz widziałem takiego desperata.

- Pijany? - zainteresowała się Iza.

- Raczej naćpany, wódki nie czułem. W poniedziałek rano kazałem mu zameldować się u Cieplaka. Jeszcze przez niedzielę facet pożyje złudzeniem, że coś załatwi, a w poniedziałek Cieplak ustawi go do pionu. Nie ma innego wyjścia, pracownicy też muszą zrozumieć, że trwa kryzys.

Wzmianka o kryzysie bardzo zainteresowała Feliksa i obydwaj panowie ucieli sobie na boku ekonomiczną pogawędkę. Halina Lipka, korzystając z obecności Emilki, zaczęła się zbierać do odjazdu, żeby - jak to gromko objaśniała - choć trochę pomieszkać we własnym domu.

Upewniła się, czy aby na pewno pani Barbarze niczego nie zabraknie, przypomniała o wodzie do picia na noc i poszła. Waldek ustawił na stole butelki z zimnym piwem i była to dywersja wobec własnej żony. Emilia wróciła z pełnym dzbankiem herbaty i mogła nalać jedynie Izie oraz sobie. Usunęły się z krzeselkami na ubocze, żeby pogadać po kobiecemu.

- Leszek myślał, że to Mirabelka była żoną dziadka - zachichotała Emilka.

- Zobaczył ją wsiadającą do samochodu i ucieszył się, że dziadek Wladek miał dużo ciała do klepania. Typowy facet, jedno mu w głowie.

- Pan Leszek nigdy wcześniej nie spotkał Zofii? - zdziwiła się Iza.

- Skądże! Ostatnio był tutaj za życia babci Julii, jako kilkumiesięczny berbec. Jeszcze wtedy żyli jego rodzice.

Potem, jak wiesz, wychowywał się u nas jako mój starszy braciszek.

Babcia zmarła w siedemdziesiątym piątym i od tamtego czasu mama jakoś przestała przyjeżdżać do stryja. Miała wystarczająco dużo kłopotów ze swoim ojcem, a naszym dziadkiem Henrykiem. Dziadek Henio zmarł w maju, a Wladek po raz drugi ożenił się w czerwcu tego samego osiemdziesiątego roku.

Nikt od nas nie był na tej uroczystości. Babcia Barbara jeszcze niedawno powtarzała, że u Kurczyłłów za szybko „kurczyły” się rodzinne więzi. Ale to prawda. Dopiero ja trochę zmieniałam ten układ. Po zawaleniu matury schowałam się na jakiś czas tutaj, i tak to się zaczęło. Lubię tu przyjeżdżać, lubię babcię i was... Z Torunia to żabi skok. Szkoda tylko, że nasza Martynka wypina się na te wyjazdy. Tak sobie myślimy, że z czasem można by tu urządzić letni dom.

- Mirabelka żoną pana Władysława! - Iza kręciła głową z niedowierzaniem. - Od razu widać, że pan Leszek dziadka również nie znał.

- Zobaczył wielki zadek, to się zachwycił, chociaż myślę, że jemu też sam zadek by nie wystarczył. A dziadek to już w ogóle miał wymagania wobec kobiet. Sam do końca był elegancki, ogolony i pachnący. Nie wyobrażam sobie u jego boku jarmarcznej krasawicy typu Mirabelka. Zofia niby też jest prostą kobietą, ale nie udaje Bóg wie kogo, zachowuje się z umiarem. O Mirabelce nie da się tego powiedzieć.

- Mirabelka nie jest prostą kobietą - zauważyła Iza - tylko prostytutką, a to zasadnicza różnica.

Paskudna jak grzech śmiertelny, głupia jak trampek i jak na ironię zrobiła sobie sztandar z własnej głupoty. Powiewa nim bez żenady... Do takiej baby pasuje każde świństwo. - Gwałtownie się poruszyła, jakby coś sobie przypomniała. - Skoro o świństwie mowa, to... Ktoś mi powiedział w najgłębszej tajemnicy, że...

Nie dokończyła. Ciszę wieczoru przerwały ostre urywane krzyki. Tym razem głosy z całą pewnością dochodziły zza leszczynowych krzewów. Coś łomotnęło o ziemię raz i drugi.

- Co to było? - szepnęła wystraszona Emilka.

Odpowiedź nadeszła z kępy leszczyn, gdzie z nosem przy płocie tkwił

Daniel i prawdopodobnie podglądał to, co się działo na podwórku Cieplaków.

- Leją się, leją! - krzyczał z zachwytem. - Całkiem jak na filmie.

Dziwne głosy umilkły. Do uszu gości zebranych w ogrodzie babci Barbary doleciały strzępy przekleństw wypowiedzianych tonem lekko tylko podniesionym, a to znaczyło, że awantura skończyła się równie nagle, jak się zaczęła. Iza pobiegła szukać wnuka i z trudem wypatrzyła go wśród gałęzi.

Mrok już zapadał, wszystkie kształty się zlewały, a malec ani myślał wyjść.

Dorośla osoba nie miała co marzyć, by do niego dotrzeć.

- Nie wyjdiesz dobrowolnie, to poproszę o pomoc pana Leszka - zagroziła. - To ten pan, co...

- Wiem! - burknął Daniel i niechętnie oderwał się od płotu. - Bili się - powtórzył. - A dlaczego, jak ja ustrzelę robala, to on się nie rusza, powiesz?

- Jeśli go walniesz za mocno, to już nie może się ruszyć.

- Mdleje czy dostaje wylewu wewnętrznego?

- Pogadaj z panem Feliksem, on jest lekarzem - poradziła Iza.

- A ty nie wiesz? Bo ten jeden pan też się nie ruszał, ale potem wstał, więc pomyślałem, że moje robale też mogą ożywać, kiedy ja się odwrócę. A dlaczego...

Iza pociągnęła chłopca za rękę. Było późno i należało jak najszybciej zmykać do domu, żeby położyć dziecko spać o właściwej porze. No, prawie o właściwej. Goście też już odchodzili od stołu. Waldemar pomagał Emilce znosić talerze, a Feliks poszedł się przebrać na górę. Iza odciągnęła męża na bok.

- Nie masz ochoty zajrzeć do ostatniego sprawiedliwego? - spytała. - On z całą pewnością nie

wyjechał, a ja odnoszę wrażenie, że coś się tam dzieje niedobrego.

- Zawsze coś się dzieje, nawet jeśli pozornie nic się nie dzieje - zauważył

filozoficznie Jacek. - Ma telefon? Ma.

Będzie potrzebował pomocy, to zadzwoni. Nie lubię się wciskać między wódkę i zakąskę. Jutro rano przyjedzie Henia, żeby nakarmić i napoić psa. Tyle wiem, reszta mnie nie interesuje. Ciebie chyba też nie? Gdyby się paliło, to co innego, ale pożaru na razie nie widać.

- Coś dziwnego tam się dzieje - powtórzyła Iza. - Chyba że... - zawiesiła domyślnie głos - jakaś zaplanowana randka?

Jacek niechętnie wzruszył ramionami. Męska solidarność nie pozwalała zbyt ochoczo zgodzić się z przypuszczeniami żony. Wychodził z założenia, że im mniej kobiety wiedzą o męskich przewinieniach, tym lepiej dla wszystkich.

Nie wybierał się do Cieplaka, miał całkiem inne plany. Obiecał Feliksowi, że pobiegają razem uliczkami Michelina, i czekał, aż tamten pomoże Emilce wprowadzić do mieszkania wózek z babcią. Ledwie jednak wózek drgnął, babcia natychmiast otworzyła oczy.

- Zdrzemnęłam się! - oświadczyła rześkim głosem. - Wiecie, co mi się śniło? Przyszedł tu do nas, do ogrodu, Władysław. Sam, bez tej kobiety. Tak ładnie wyglądał, miał te swoje delikatne kolorki na policzkach i powiedział mi na ucho: „Musisz się pozbyć Cieplaka. Nie dojdiesz prawdy, dopóki on żyje!”.

- No nie! - wykrzyknął Leszek. - Czy babcia zdaje sobie sprawę, że właśnie zaczęła nas namawiać do popełnienia zbrodni?

- A to dlaczego, chłopcze?

- Przecież babcia sama się go nie pozbędzie, prawda?

A skoro nie sama, to kogo poprosi o przysługę, jak nie najbliższą rodzinę?

I w ten prosty sposób ktoś z nas zgodzi się poderżnąć gardło pasierbowi... to znaczy mężowi pasierbicy świętej pamięci dziadka... - Zaplątał się, wybuchnął

śmiechem, a reszta gości za nim. Babcia Barbara pogroziła im palcem.

- No, no, dzieci! Bez niemądrych żartów - powiedziała.

Potem jeszcze życzyła im dobrej nocy i z wysoko podniesioną głową wjechała do domu.

Wieczorem Iza zasnęła jak kamień, a w środku nocy obudziła się dziwnie obolała. Wszystko jej przeszkadzało: chrapanie Jacka, duchota w pokoju, przede wszystkim zaś nieprzyjemne wzdęcie, które miało ścisły związek z późną kolacją oraz - co tu ukrywać - z metryką.

Wyrzucała sobie, że kobieta po pięćdziesiątce powinna się zachowywać rozważnie, tak choćby jak Lipka, której na pewno nie lęgną się teraz smoki w brzuchu. Po kaszce z jabłkami mało komu coś się lęgnie. Iza z niechęcią odrzuciła cienutki koc i wstała. Bez celu pokręciła się po sypialni, zajrzała do Daniela i wyszła na balkon.

Z przyjemnością wdychała świeże nocne powietrze.

Pachniało sosną i maciejką. Iza kochała te zapachy, tak jak kochała miejsce, w którym przyszło jej żyć. Dla niej Michelin był piękny o każdej porze roku i doby.

Może tylko niepotrzebnie tak się rozrastał i zagęszczał.

Nowe domy, nie zawsze w najlepszym guście, przytłaczały, a czasem wypierały te przedwojenne o szlacheckiej urodzie. Przyłączenie osady do Włocławka miało swoje dobre i złe strony. Trudno powiedzieć, których było więcej. Nie łamała sobie tym głowy, rozkoszując się chłodem i zapachami. Noc była ciepła, jasna, taka typowa noc z bajki o duchach. Krzewy oświetlone rogalem księżyca przyciągały wzrok i miało się wrażenie, że lada moment wychynie z nich biała zjawka z kulą u nogi.

W ogrodzie babci Barbary, tuż przy pięciornikach, błysnął ogieniek. Raz, potem drugi. Iza wątrobę miała sfatygowaną, ale wzrok sokoli.

- Szukasz kwiatu paproci? - spytała przytłumionym głosem.

Odpowiedział jej cichy śmiech Emilki.

- Noc to jedyna pora, kiedy mogę spokojnie zapalić papierosa.

- A ja mam ochotę zawyć do księżyca. Przesadziłam z grillowanym mięsem, przesadziłam z piwem, wątroba mi nawala...

Emilka nie dała jej skończyć i przez najbliższe dwie minuty zachwalała fenomenalne tabletki przywiezione przez Feliksa. Już wszyscy się nimi leczyli z wyjątkiem babci. Zachwalała tak sugestywnie, że Iza z miejsca nabrała ochoty.

Kiedy spotkały się przy ogrodzeniu, miała przy sobie kubeczek z wodą, żeby nie marnować czasu i natychmiast łyknąć lekarstwo podrzucone przez sąsiadkę.

- Próbowałam zajrzeć do Cieplaka - pochwaliła się Emilka - ale nawet po odgarnięciu gałęzi niewiele widać.

Stary na pewno jest w domu, światło świeci się w oknie przybudówki na parterze.

- Jakby Cieplak był w domu, to wiedz, że obowiązkowo migałby telewizor na piętrze. Śmiejemy się z Jackiem, że ten facet, choć łasy na baby, najchętniej sypia z pilotem. Natomiast w przybudówce jest tak zwany ogród zimowy. Kolejne zadęcie Macieja. Wymarzył sobie palmiarnię, wyszła mu graciarnia. Kilka pustych donic, kilka przesuszonych roślin i stare połamane krzesła, czyli ogród jedynie z nazwy. Trzeba być wariatem, żeby w taką noc chować się pod rachityczną araukarię.

Ostatni sprawiedliwy się znalazł, kurczę!

- Dlaczego ostatni sprawiedliwy?

- Zgadnij. - Iza roześmiała się na wspomnienie okazałej sylwetki sąsiada i jego zadowolonej miny bufona. - Sam o sobie tak mówi, zwłaszcza przy Jacku.

Wiesz, na zasadzie: Jacek nie jest, on jest. Kompletny paranoik.

I czub!

- Rzeczywiście na mądrego nie wygląda - przyznała Emilka. - Na sprawiedliwego też nie, ale ma jedną zaletę: lubi się zabawić. Jak chcesz, wyjmę piwo z lodówki i przejdziemy się do palmiarni.

- Beze mnie. Ja z Cieplakiem nie umiem się dobrze bawić - wyjaśniła rozbawiona Iza.

Spędziły przy płocie nie więcej niż kilka minut, ale rano właśnie o tę nocną rozmowę Jacek miał największą pretensję do żony. Niby spał, z całą pewnością chrapał jak piła tarczowa, a podobno przeszkadzały mu szeptki dwu kobiet. Szydził, że całe osiedle już wie o niestrawności Izy. Sądząc po skwaszonej minie, on także musiał odczuwać skutki wieczornego obżarstwa.

Owszem, ogolił się rano i ubrał, ale trudno powiedzieć, żeby tryskał energią.

Natomiast Iza czuła się jak nowo narodzona i w duchu błogosławiła pastylkę doktora Feliksa. Pogoda była prześliczna, więc nakryła do śniadania na tarasie.

Z przyjemnością ustawiała na lnianym obrusie porcelanowe miseczki z serami, dżemem, miodem i masłem.

Kochała się w ładnych nakryciach stołowych i wielką wagę przywiązywała do urozmaiconych posiłków.

- Chłopaki! - krzyknęła, obrzucając stół zadowolonym spojrzeniem. Miała właśnie dodać, że zaprasza na śniadanie, kiedy poraził ją okropny skowyt dochodzący gdzieś z ogrodu babci Barbary. Dziwny to był dźwięk i do niczego niepodobny. Przeciągał się, nie cichł, może tylko odrobinę zmieniał natężenie.

Ze skowytu dało się wyłowić jedno słowo powtarzane na okrągło: „Ludzie, ludzie!...”. Jacek wyskoczył na ulicę, tuż za nim wybiegł Daniel, a Iza wciąż stała na tarasie niczym słup i gapiła się na domek sąsiadki. Odetchnęła i odzyskała władzę w nogach dopiero wówczas, gdy zwabieni krzykiem Kurczyłowie wylegli do ogrodu, co znaczyło, że źródło hałasu położone było gdzieś dalej, poza nimi. Iza wyszła na ulicę w momencie pojawienia się Heni Pełki, gosposi Cieplaków. Henia była niewysoka, obdarzona przez naturę krótkimi nogami, więc kiedy tak biegła na złamanie karku wzdłuż płotu Barbary Kurczyłówny, małutka, pękata, w zielonej sukni, można było odnieść wrażenie, że po chodniku turla się wrzeszczący arbus z wielkim nożem. Wymachiwała nim jak mieczem i waliła prosto do Bulwickich. Jacek wybiegł jej na spotkanie.

Najpierw przytomnie przejął nóż i oddał go żonie, dopiero potem złapał Henię mocno za ramiona, aż kobiecina całkiem ucichła. Ochryplym szeptem powtarzała tylko: „Ludzie, ludzie!”.

- Co się stało? - pytali na zmianę Bulwicy, prowadząc nieoczekiwanego gościa na swój taras.

- Najlepiej, żeby pan Bulwicki sam tam poszedł - wyjęczała - i obejrzał

sobie prawdziwego trupa.

- Pani kogoś zabiła? - spytała z niedowierzaniem Iza.

Kątem oka zerknęła na nóż, ale nie dostrzegła śladów krwi.

- Ja!?! - Henia z miejsca odzyskała głos. - To nie ja!

Nóż wzięłam do obrony, a trup już tam był.

- Tam, to znaczy gdzie?

- W domu... W sypialni. O matuchno święta, i za co to tak! - rozdarła się na całe gardło.

Jacek zaczął wypytywać o klucz od furtki, a kiedy się okazało, że przerażona Henia Pełka nie zamknęła żadnych drzwi, ruszył biegiem. Po drodze poprosił o wsparcie Leszka Kurczyłłę. Feliks z Waldkiem też się z nimi zabrali, gotowi do pomocy, jak nie medycznej, to siłowej. Przed furtką Cieplaków gromadziło się coraz więcej sąsiadów, zaintrygowanych krzykiem Heni Pełki.

Był to krzyk odpowiedni do wielkich i dramatycznych wydarzeń, więc przyciągał ludzi.

Iza próbowała jednocześnie nakarmić wnuka oraz uspokoić przerażoną Henię. Daniel, który nie miał nic ciekawego do powiedzenia, zasypywał ją pytaniami, ale Henia, która wiedziała bardzo dużo, wybrała milczenie.

Iza zaczęła robić kanapki.

- Dlaczego dziadek nie zabrał mnie ze sobą? Powiesz? - dopytywał się wnuczek.

- Widocznie uznał, że jesteś tam zbędny.

- Uznał, zanim tam poszliśmy? A skąd to wiedział?

- Jedz! - Zdecydowanym ruchem podsunęła chłopcu talerzyk. - Jedz i pamiętaj, że nie rozmawiamy z pełną buzią.

Daniel musiał nieźle zgłodnieć, bo rzeczywiście zajął się jedzeniem.

Henryka nie chciała śniadania, poprosiła jedynie o kawę. Przez chwilę gapiała się na filiżankę i wreszcie zaczęła mówić o Cieplakach i o swojej pracy.

Ostatnie wydarzenia pomijała milczeniem, jakby sama jeszcze nie zdołała w nie uwierzyć. Iza bardzo zgrabnie stłumiła zniechęcenie. Nie było dla niej tajemnicą, że Henryka pracowała u Cieplaków jedynie dla pieniędzy.

Niby większość ludzi pracuje dla pieniędzy, ale Pełka tym się różniła od pozostałych, że szczerze nie znosiła swoich pracodawców. Nie znosiła, to mało powiedziane: ona gardziła Cieplakami. Szanowała jedynie, i to po swojemu, Zofię Kurczyłową, matkę Cieplakowej. Ale siebie ustawiała o całe piętro wyżej od Kurczyłowej. Obie niby robiły to samo: prały, gotowały i sprzątały. Zofia mężowi, dopóki oczywiście żył, Henryka obcym Cieplakom, czyli zarobkowo. I właśnie słowo „zarobkowo” przesądzało o wyższości Henryki. Za swoją pracę dostawała pieniądze i tylko ona decydowała, co za nie kupi.

Zofia o wszystko musiała prosić męża. Ubierała się bardzo skromnie, bo Władysław Kurczyłło hojny nie był.

Uważał, że kobiecie do życia wystarczy dobre mążowskie słowo, choć nie można powiedzieć, żeby rozpuszczał żonę pochwałami. Zofia znosiła jego humory ze spokojem. Mało tego, musiała jeszcze znosić urągania szwagierki, wygłupy córki i prostackie uwagi zięcia. Całkiem inaczej rzecz się miała z Henryką. Zmywała naczynia po obiedzie i uwalniała się od Cieplaków aż do rana, a weekendy miała wolne. Tak więc Henryka szanowała Zofię, ale jej współczuła, za to z całego serca pogardzała Mirabelką Cieplakową. Czasem tylko zdarzało się, że w sklepie czy gdzieś między ludźmi wyrwała jej się skarga kobiety inteligentnej, która musi chamom usługiwać.

Nie plotkowała, nie zdradzała domowych tajemnic i otwierała się jedynie przed Izą Bulwicką. Niewykluczone, że w skrytości ducha liczyła na zmianę posady, choć Iza nie nosiła się z zamiarem zatrudniania stałej pomocy. Jej wystarczyła dochodząca kobieta, która solidnie sprzątała raz w tygodniu.

Henryka znała się na prowadzeniu domu, na porządkach i gotowaniu, z czasem przywykła nawet do wygłupów Cieplakowej, tylko jednego jej nigdy nie darowała, a mianowicie powiedzenia: „Moja służąca Henrietta”.

Cieplakowa inaczej nie mówiła o swojej pomocnicy.

Słowo służąca nie brzmiało najlepiej, jednak Henryka machała na nie ręką, natomiast do szauła doprowadzało ją zniekształcanie imienia Henryki, Heni lub Heńki na Henriette. Gdyby rodzice chcieli wybrać dla córki imię zagraniczne, nikt by im tego nie zabronił. Skoro jednak wybrali piękne polskie, powinno się szanować ich wolę. Zofia, kiedy miała osiemnaście lat i jeszcze nie była Kurczyłową, tylko panną Szarłatówną, wybrała dla swojej córki imię Beata. Można powiedzieć, normalne imię, brzydsze niż Basia, ale w Polsce znane. A córka zrobiła z Beaty śliwkę mirabelkę i upierała się, że tak jest ładniej i bardziej światowo.

Henryka, kiedy już zaczęła opowiadać, nie umiała przestać. Iza sto razy słyszała o Henriecie i śliwce, więc nic dziwnego, że zaczęła się trochę niecierpliwić. Tego niedzielnego poranka z całą pewnością wolałaby posłuchać o tajemniczym trupie w sypialni Cieplaków.

- Może chce pani zadzwonić do pani Mirabelki? - spytała, przerywając dość bezceremonialnie wywody swojego gościa. Sięgnęła nawet po telefon komórkowy, żeby służyć pomocą.

- Do kogo? - nie rozumiała Henryka. - Do Mira... - nie dokończyła i przygryzła usta. - Co też pani, kpi ze mnie czy co?

Iza wydawała się zbита z tropu. Krzyk pani Heni, który postawił na nogi pół Michelina, musiał dotyczyć ważnego i tragicznego wydarzenia.

Najtragiczniejsza zwykle bywa śmierć, a że wczoraj wieczorem Cieplak został

w domu, zamiast wyjechać do Lipna, więc rozwiązanie zagadki nasuwało się samo. Ktoś zrobił Cieplakowi poważną krzywdę. W takich sytuacjach zwykle zawiadamia się rodzinę. Próbowala to wytłumaczyć znekanej kobiecie.

- Albo mnie się w głowie miesza, albo pani coś kręci - westchnęła bezradnie Henia. - Cieplaka nigdzie nie widziałam, za to w sypialni o mało nie wlażłam na golutką Cieplakową. Cały dywan zajęła, co przy jej wzroście i tuszy nie powinno nikogo dziwić. Kawałka życia w niej nie było, no to się strasznie zdenerwowałam. - Chlipnęła żałośnie.

Iza patrzyła na nią okrągłymi ze zdziwienia oczami.

- Wieczorem słyszeliśmy zza płotu głos pana Macieja, nie pani Mirabelki

- powiedziała.

- To czemu niby ja się potknęłam o Mirabelkę? Kobitę od chłopca jeszcze odróżnię, zwłaszcza bez ciuchów. Tak ją widziałam jak panią teraz. Leżała na dywanie nogami do przodu. I całe szczęście, że tak, bo inaczej wlażłabym jej na głowę. Włosy miała całe powalane krwią... - Wzdrygnęła się. - Pamiętam, że krzyknęłam. Każdy by krzyknął, widząc tyle krwi. Zaraz potem mnie zamurowało i głosu nie mogłam wydobyć.

Wzmianka o krwi bardzo zaciekała Daniela. Zaczął wypytywać, kto leżał, kto krwawił i kto tak strasznie krzyczał, skoro panią Henię zamurowało.

Nie dawał się nakłonić do opuszczenia tarasu, jakby wyczuwał, że najciekawsze rozmowy dopiero się zaczną. Poderwał się na widok dziadka. Miał sto pytań, ale dziadek nie miał nastroju do udzielenia nawet jednej odpowiedzi. Wpadł do domu na kilka łyków kawy. Pił na stojąco, gotów w każdej chwili pędzić tam, gdzie wzywał go sąsiedzki obowiązek.

- W głowie się nie mieści - mruzczał. - Scena jak z horroru.

- Powiedzie wreszcie, co tam zaszło? - dopytywała się Iza. - Pani Henia mówi, że to Mirabelka nie żyje.

Pokręcił głową.

- Żyje, choć ledwie dycha. Feliks przy niej został, a Leszek z Waldkiem rozglądają się po ogrodzie. Czekamy na pogotowie i policję.

- Pani Mirabelka żyje? - wykrzyknęła zdziwiona Henia. - Dałabym się zabić, że na trupa patrzę! Żeby się choć ruszyła, żeby odetchnęła, a ona nic, istny nieboszczyk.

- A Maciej? - spytała Iza.

- Macieja w sypialni nie było - zaprotestowała Henryka. - Dwóch trupów chyba bym nie przeżyła, padłabym obok na trzeciego.

- Byłoby super, całkiem jak na filmie! - wykrzyknął Daniel.

Skarcony przez dziadka odsunął się, ale nie za daleko, żeby nic nie uronić z rozmowy dorosłych.

- Macieja nigdzie nie ma i chyba nie było - powiedział Bulwicki. -

Przeszukaliśmy dom i ogród... ani śladu.

- Przecież go słyszałam! - zachnęła się Iza. - Pies szczekał, ludzie krzyczeli, mówiłam ci przecież.

- Krzyki były po drugiej stronie ulicy! - zaprotestował Jacek. - Coś ci się musiało przywidzieć.

- Mnie? - Iza patrzyła na męża szeroko otwartymi oczami. - To ty coś kręcisz, i to mocno. Zadzwoń chociaż do Macieja, wyślij wiadomość, nagraj się, zrób coś!

- Jedno ci powiem: to jest patologia! - burknął Jacek.

W milczeniu dopił kawę i wrócił do willi wspólnika.

W domu Barbary Kurczyłówny niedzielny poranek zaczął się od awantury o łazienkę. Stare, zamulone rury i przedpotopowa armatura nie dawały nadziei na skorzystanie z prysznica. Zwykle umycie twarzy i zębów nastęczało kłopotów. Leszek z namydlonym policzkiem wyskoczył do przedpokoju.

- Ja chrzanię! Przecież tu się nawet ogolić nie można! - krzyczał. - Krew z nosa szybciej leci... Jak ta babcia żyje!?

- Babcia się nie goli - wyjaśniła spokojnie Emilka. - Nie zna się też na naprawie rur. Do tego potrzebny jest facet taki jak ty: prężny i zaradny.

- Kanalizacja to nie moja specjalność - fuknął ze złością.

- Możesz nająć fachowców, nikt ci nie zabroni. Stare od nowego chyba odróżniasz, co? Widzisz, że wszystko się sypie i wymaga kapitalnego remontu.

Waldek każdego roku coś naprawia, coś łąta i nawet znaku nie ma, bo tu trzeba wszystko wymienić.

Babcia sama sobie nie poradzi, ktoś powinien jej pomóc, najlepiej kochające wnuczęta.

Leszek odwrócił się na pięcie, a w tej samej chwili Waldek zatrzasnął mu przed nosem drzwi łazienki. Na odległość wymienili niezbyt uprzejme uwagi, jednak godzinę później, przy stole, wszyscy prezentowali się elegancko, nawet detektyw, choć był typowym abnegatem. Babcia zasiadła do stołu z filiżanką herbaty. Śniadanie zjadła wcześniej, teraz nastawiła się na udzielenie wnukom surowej reprimendy głównie za to, że nie interesowali się tradycją rodzinną i nie podtrzymywali kontaktów między sobą.

- Nie macie się czego wstydzić. Kurczyłowie sroce spod ogona nie wylecieli - powiedziała z mocą.
- To była prawdziwa, herbowa szlachta o wspaniałej patriotycznej przeszłości. Swego czasu głośno było...

Babcia nie dokończyła. Na dworze też zrobiło się głośno. Przez otwarte okno słychać było potworny krzyk, który raz się nasilał, raz cichł, ale nie ustawał. Siedzieli jak zahipnotyzowani, patrząc na siebie z wielkim zdziwieniem.

- Znowu jakiś wariat potrącił psa na ulicy - mruknął ze złością Waldek.

- Nie wygląda mi to na psa - zaprotestował Leszek.

Emilka poderwała się i ruszyła przed dom, a za nią reszta. Babcia chwyciła laseczkę i też ruszyła, przytrzymując się ręką ścian i futryny. Ulicą Piołunową biegła z krzykiem Henryka Pełka. Potykała się o własne nogi i gdyby Bulwicki jej nie złapał, nie przytrzymał, pewnie runęłaby jak długa przed jego furtką. Coś mu tam bełkotliwie tłumaczyła, czego nie dało się przez płot usłyszeć.

- No, no! - zauważył z podziwem Feliks. - Kobieta z takim głosem rzadko się trafia. Ze trzy oktawy wyciąga, jak nie cztery.

- Od Cieplaków biegła, więc tam ją coś wystraszyło - domyśliła się Emilka.

- Przecież u Cieplaków nikogo nie ma - zauważyła przytomnie babka Barbara.

Wciąż jeszcze stali w grupce, licząc, że prędzej dowiedzą się czegoś przed domem niż w jadalni przy stole.

- A kto za nimi trafi! - Emilia wzruszyła ramionami. - Cieplak przez cały wieczór kręcił się koło domu.

- Cieplak, mówisz, nie wyjechał? - Babcia zastanowiła się przez moment i uniosła żółtawą dłoń upstrzoną brązowymi plamkami. - Chłopcy! Czy to któryś z was? - spytała groźnie.

- Co któryś z nas? - nie zrozumiał Waldek.

- Mówię o moim wczorajszym śnie - przypomniała babka - i o niemądrych żartach Leszka. Pytam, czy któryś z was zamordował Cieplaka?

- Czysta paranoja! - wykrzyknął Leszek. Spojrzał na staruszkę zdumiony, po czym cmoknął ją w uniesioną rękę. - Co też babci chodzi po głowie! Czy my wyglądamy na morderców?

- A jak twoim zdaniem wygląda morderca, głuptasie?

Chyba normalnie, co?

- Babciu, Leszek widział w swoim życiu kilku morderców - wstawiła się za bratem Emilka. Mimo powagi sytuacji z trudem powstrzymywała śmiech.

- Ja tam będę spokojniejsza, jak oni mi przysięgną na książkę do nabożeństwa - powiedziała z mocą.

Odwróciła się i powolutku podreptała w głąb domu.

Nie było jej, kiedy Bulwicki wpadł na podwórko, szukając pomocy i posiłków.

- Henia się zacukała - mruknął - i cholera wie, co tak naprawdę się stało.

Podobno w sypialni jest trup.

Młodzi mężczyźni poszli za nim, a Emilka obrzuciła smętnym spojrzeniem taras Bulwickich. Zieleniła się tam sukienka Heni Pełki, co znaczyło, że Iza odbierała właśnie wiadomości z pierwszej ręki. Niestety, babka wołała z domu, że diabeł książeczkę ogonem przykrył, więc Emilka musiała biec do babki, a nie pod płot. Zjawiała się w samą porę. Staruszka należała do kobiet bardzo niecierpliwych. Skoro jej wołanie nie odniosło natychmiastowego skutku, przyciągnęła do szafy taboret i przymierzała się właśnie, żeby na niego wejść.

- Co babcia wyprawia! - krzyknęła przerażona Emilka.

- A ty czego krzyczysz? Myślisz, że nie wdrapię się na stołek?

Stołek okazał się całkiem niepotrzebny, bo książeczka leżała nie na szafie, tylko w szafce nocnej. Babka z czułością pogładziła sfatygowaną czarną oprawę.

- Z ręką na świętej książce to już chyba nie zełgają, jak myślisz?

- Babciu, oni mówią prawdę. Żaden z nich nie mógłby zabić. Leszek przez wiele lat zawodowo ścigał przestępców, więc wykluczone, żeby sam mordował. Feliks leczy i ratuje ludzi, a nie wysyła na tamten świat.

Waldka znasz dobrze, myszy z pułapek uwalniał, bo mu zwierzątek było żal.

- Wiem, wiem, ale jak przysięgną, to korony im z głów nie pospadają.

Zresztą wśród Kurczyłłów nie było głów koronowanych. Wołaj, niech przyjdą.

- Nie przyjdą, poszli z Bulwickim zobaczyć, co się stało.

Babka Barbara nie była zadowolona. Chciała rozmawiać z wnukami, chciała ich zaprzysiąc, a oni wynieśli się bez słowa usprawiedliwienia. Wydeła cieniutkie usta i spojrzała gniewnie na Emilkę.

- Jasne! Ważniejsze to, co za płotem, a w domu niech sobie stara babka umiera choćby zaraz. Bez opieki, bez szklanki wody.

- A mnie nie widzisz? Zostałam, żeby się tobą opiekować. W razie czego podam ci szklankę wody, nie bój się.

- O chłopcach mówię - burknęła Barbara nieco łagodniej. - Mężczyźni są solą tej ziemi, i tego nie zmienisz.

Zauważ sobie, że nazwisko idzie za mężem, nie za żoną.

Tylko nieliczne niewiasty gotowe są podporządkować swoje życie rodzinie. Ja tak właśnie zrobiłam i choćby za to należy mi się odrobina szacunku.

- Nikt ci przecież szacunku nie odmawia - powiedziała pojednawczo Emilka.

Przywykła już do starczego egoizmu babki, do jej kaprysów i dziwactw, a przede wszystkim do traktowania kobiet jako ludzi drugiego gatunku. Dla Barbary Kurczyłówny liczyli się wyłącznie mężczyźni, i to zwłaszcza z jej rodu. Kiedyś napomknęła Emilii, że bardzo dawno temu, tuż przed wybuchem drugiej wojny światowej, pojawił się niejaki Alfred, dla którego i ona gotowa była zmienić nazwisko. Emilka z miejsca wyobraziła sobie piękną miłosną historię z dziewczyną, ułanem i okrutną panią wojenką, ale babka nie pociągnęła tego wątku.

Mruknęła tylko, że niebiosy miały ją w swojej opiece i uchroniły przed niegodnym szalawimą. Więcej już nie wracała do tamtych wydarzeń.

- To mówisz, że gdzie oni poszli? - spytała niecierpliwie.

- Do willi Cieplaków - przypomniała Emilka.

- Pewnie chcą pozacierać ślady.

- Raczej zabezpieczyć. Leszek na pewno nie pozwoli niczego zatrzeć -

wyjaśniła spokojnie Emilka.

Babka spojrzała na nią rozbawiona. Uniosła nawet palec i swoim zwyczajem lekko nim pogroziła.

- Jeśli tylko ma powody, to na pewno ślady zatrze. Za mądry jest na to, by dobrowolnie kłaść głowę pod topór - powiedziała, mrużąc znacząco oko.

- Babcia, jak widzę, zdecydowała już za niego! - wykrzyknęła zaskoczona Emilka. - Dlaczego akurat on?

- Bo większy od Feliksa, grubszy i silniejszy. No i napatrzył się, jak to robią inni, więc łatwiej sobie poradzi.

Feliks, bez obrazy, to taka chuda trzcinka, całkiem niepodobna do Kurczyłłów. Do tego uparł się i marznie w tej dziwnej Laponii...

- W Norwegii, babciu.

- A tam, myślisz, cieplej? - zdziwiła się staruszka. - Musimy go więcej trzymać w ogródku, żeby się wygrzał na słońku.

- Ciekawe, dlaczego babcia nie pomyślała o Waldku? - Emilka wróciła do przerwane go wątku. - Wzrostem i siłą nie ustępuje Leszkowi.

- Ciapa - stwierdziła babcia krótko. - Facet, który wynosi pająki do ogrodu, zamiast je zatłuc, to ciapa.

Poza tym on nie jest z Kurczyłłów, on by się tak nie wsłuchiwał w moje sny. Kurczyłłowie to ludzie o silnych charakterach, ale wrażliwi i z wielką fantazją. Jeśli chcesz wiedzieć...

Co do fantazji Emilka nie miała wątpliwości, bo zdążyła poznać dziadka Henryka. We wrażliwość Kurczyłłów nie wierzyła. Gdyby ją ktoś pytał, użyłaby raczej słowa: gruboskórni. Bolało ją trochę, że babka ustawia Waldemara poza rodziną. Ją zresztą też jako krewną w linii żeńskiej. Z wiekiem staruszka robiła się coraz większą dziwaczką. Przyjmowała za rzecz zupełnie oczywistą, że Koryccy wpadają raz w miesiącu, rąbią drewno, remontują piece, naprawiają podłogi, ale ceniła wyłącznie więzy krwi. Bliższy jej był Leszek, którego ostatni raz widziała w pieluchach, i Feliks, który od zrobienia dyplomu lekarskiego, jakieś dziesięć lat temu, już się u dziadka nie pokazał, niż czuwający nad jej wygodą Waldemar. Taka już była, że rodzinę, a zwłaszcza nazwisko, stawiała na piedestale. Emilka oczywiście kochała rodziców i brata, zżyła się z babką, lecz do nazwisk nie przywiązywała aż takiej wagi. Po ojcu nazywała się Jeleniecka, po mężu Korycka, uważała te nazwiska za zacne i wcale nie gorsze od Kurczyłłów. Natomiast nie mogła przestać myśleć o przyszłości staruszki.

Barbara Kurczyłłówna nie nadawała się już do samodzielnego życia.

Mogła przejść powolutku z pokoju do pokoju, mogła wyjść na ganek, ale najprostsze domowe prace, takie jak ugotowanie kaszki czy upranie pończoch, stanowiły dla niej trudność nie do pokonania. Głowę miała w porządku, światłą i myślącą, gorzej z siłami. Dzięki Halinie Lipce żyło jej się całkiem znośnie, jednak Halina Lipka była dopóty, dopóki Władysław Kurczyłło jej płacił.

Skromna urzędnicza emerytura babki Barbary ledwie wystarczała na jedzenie. A co dalej? Emilka z całą pewnością miała się czym martwić.

Dla mieszkańców ulicy Piołunowej to niedzielne przedpołudnie było ciekawsze niż film w telewizorze. Na ekranie wszystko jest umowne, a na ulicy, przed bramą Cieplaków, stała prawdziwa karetka pogotowia i prawdziwy samochód policyjny. Niestety, mniej było widać niż na filmie. Karetka odjechała na sygnale, uwożąc Cieplakową okrytą po samą szyję. Potem długo nic się nie

działo. Dorośli powoli wrócili do domów, snując różne fantastyczne przypuszczenia. W końcu przy furcie zostały same dzieciaki. Policjanci z ekipy dochodzeniowej rozpiechli się po domu i podwórku, fotografowali, oglądali, zabezpieczali ślady. Komisarz sprawiał wrażenie człowieka mocno zmęczonego. Możliwe nawet, że poprzedniego wieczoru uczestniczył w jakiejś koleżeńskej balandze, bo miał podpuchnięte oczy i niezbyt starannie ogolone policzki. Patrzył na Bulwickiego z lekkim roztargnieniem.

- To mówi pan, że całą ulicę zaalarmowała gospoia Cieplaków?

- Henryka Pełka - przytaknął Bulwicki. - Wybiegła stąd z wielkim krzykiem i wielkim nożem. Siedzi teraz na tarasie, dwa domy dalej, pod opieką mojej żony.

- Pełka miała bliżej do sąsiadów na wprost, dlaczego biegła do pana?

Łączą pana z Cieplakiem jakieś inne kontakty?

- Jesteśmy współnikami, prowadzimy firmę szwalniczą Mirabella.

- A pozostali panowie?

Bulwicki przedstawił sąsiadów, wspomniał o zjeździe rodzinnym Kurczyłłów i wczorajszym grillu w ogrodzie babki Barbary. Komisarz wyciągnął z jego słów logiczny wniosek, że skoro panowie są tutejsi, lub tylko chwilowo tutejsi, to nie uciekną i poczekają godzinę albo więcej na złożenie wstępnych zeznań. Obiecał, że do nich wpadnie, i pobiegł w głąb domu, wzywany przez kogoś z ekipy.

Waldek wymyślił, że najlepiej byłoby zrobić powtórkę, czyli zasiąść przy grillu w ogrodzie babki Barbary.

Zakrzętnęli się zatem, zmobilizowali kobiety, ktoś pobiegł do całodobowego sklepu po kielbasę, i pół godziny później rozszedł się po ogrodzie apetyczny zapach ziół i mięsa. Komisarz Jarosław Rębowicz przyszedł w momencie, kiedy Iza Bulwicka rozstawiała talerze na stole.

Nie był już tak oficjalny jak w domu Cieplaków, ale wyglądał na jeszcze bardziej zmęczonego.

- Niektórym to dobrze - mruknął, sadowiąc się w wiklinowym fotelu dla gości.

- Nie narzekamy - zapewnił Leszek. - Basenu co prawda nie ma, woda z kranu ledwo kapie, za to mamy sporo cienia i jest świetnie.

Emilka wprowadziła do ogrodu wózek z drzemiącą babką Barbarą. Co jak co, ale sen staruszka miała zdrowy. Mogła spać długo, pod warunkiem że nikt nie dotykał wózka. Otworzyła oczy, ledwie koła zachyotały na murawie.

Całkiem przytomnie obejrzała sobie ludzi skupionych przy stole. Zobaczyła Leszka i pogroziła mu palcem.

- Musimy pogadać, wisusie! - powiedziała z groźną miną.

Emilka tak manewrowała wózkiem, by ustawić go między sobą a Izą Bulwicką, z dala od komisarza. Nie zdążyła jeszcze wspomnieć o gościu, kiedy babka sama wypatrzyła obcego mężczyznę, który zerkał na nią ciekawie z głębin wiklinowego fotela.

Z miejsca poczuła się panią na włościach.

- A to kto? - spytała władcym tonem, mierząc palcem w pierś nieznanego.

Z wiekiem stawała się coraz bardziej bezpośrednia i takie pojęcia, jak takt czy dyplomacja, stały jej się całkiem obce. Mówiła ludziom w oczy różne niepopularne prawdy, najczęściej to, co o nich myślała, a także pozwalała sobie na wytykanie palcem. Gości prawie nie miewała, ale jeśli już ktoś zabłądził pod jej dach lub choćby do jej ogrodu, obowiązkowo chciała wiedzieć, kto przychodzi i z czym. Emilka wyjaśniła, że to komisarz policji i że właśnie wpadł

na rozmowę. Babka wydeła pogardliwie usta, a zaraz potem ostrym głosikiem wyjaśniła, że wpada to śliwka w kompot, a gość powinien się zapowiedzieć.

Emilka szepnęła uspokajająco, że zapowiedział się, jak najbardziej, tylko Leszek zapomniał babkę uprzedzić. Wiedziała, że Leszkowi wszystko ujdzie na sucho, i zignorowała zaskoczone spojrzenie brata.

Zresztą uszło na sucho także komisarzowi, bo Barbara Kurczyłówna poczuła się nagle głodna. Kazała sobie przynieść kieliszek pieprzówki i nerwowo bawiła się widelcem. Gdyby nie intensywny mięsno-ziółowy zapach, odpytałaby człowieka z rodzinnych koligacji, rozstawiła mu rodzinę po kątach i nic by go nie uratowało. Już ona dobrze wiedziała, że mandatu jej nie wystawi, a gdyby nawet, choćby za to wytykanie palcem, to ona nie zapłaci ani grosza.

Barbara Kurczyłówna czuła się bezkarna i tak się zachowywała. Komisarz patrzył z wielkim zaciekawieniem na dumną postać otuloną błękitnym kocykiem. Zauważył, że staruszka skrzywiła się przy nazwisku Rębowicz.

- Wczoraj po południu byli państwo w tym samym gronie? - spytał, kiedy już gospodyni pozwoliła mu odetchnąć.

Bulwicki przytaknął.

- Siedzieliśmy w ogrodzie od osiemnastej do dwudziestej pierwszej, może drugiej. Potem my z żoną poszliśmy do siebie, a państwo zostali tu w domu.

Skład był trochę inny. Zamiast pani Pełki była z nami pani Halina Lipka, opiekunka babci. Wyszła dość wcześnie, jeszcze przed zmrokiem. Był też mój sześciolatek wnuczek, którego teraz podrzuciliśmy rodzicom - wyjaśnił.

Ledwie wymienił nazwisko Pełki, ta kilka razy westchnęła, a zaraz potem zaniósła się cichym płaczem.

Kiedy tak szlochała, zakrywając twarz dłońmi, oczy zebranych zwróciły się na nią i chyba właśnie o to chodziło. Ambitna Henryka nie chciała pozwolić, by zepchnięto ją w cień, gawędząc o opiekunce, wnuczku i setce spraw niezwiązanych z nieszczęściem w domu Cieplaków. Przecież to dzięki niej biedna Mirabelka trafiła do szpitala jeszcze za życia. Mirabelka nieprzytomna, leżąca na dywanie jak najbardziej zasługiwała na epitet „biedna”.

- Co się stało? - spytał komisarz.

- A bo co sobie przypomnę biedną Cieplakową, to mnie żałość ogarnia.

Jeszcze wczoraj biegała jak z pieprzem, dziabiała jak najęta, a dzisiaj...

Komisarz ze zrozumieniem pokiwał głową.

- Pani Henryka Pełka, tak? Zawsze pani pracuje w niedziele?

Henia osuszyła oczy, wytarła nos i dopiero wtedy wyjaśniła, że ta niedziela była wyjątkowa. Obiecała Cieplakom, oczywiście za dodatkowym wynagrodzeniem, że nakarmi Gapola, a im ugotuje obiad. Śmiało mogła mówić o pieniądzach, ponieważ nie pracowała na czarno, tylko oficjalnie, na umowę, więc miała prawo do nadgodzin. Przyszła więc rano i już przy furtce poczuła, że coś jest nie tak. Jeszcze się nie przelękała, bo niezamknięta na klucz furtka mogła być oznaką wielkiego pośpiechu, niczego więcej. Serce jej zabiło dopiero przy drzwiach do domu. Nacisnęła kłamkę i weszła jak do siebie. Dwa solidne zamki antywłamaniowe robiły wyłącznie za ozdobę. Zatrzymała się w korytarzyku i zaczęła nasłuchiwać. Drzwi do części Kurczyłów, te na wprost wejścia, były jak należy zamknięte na klucz. Drzwi na lewo, te, które prowadziły na schody i na piętro do Cieplaków, były otwarte. Zawahała się, bo też sama nie wiedziała, czy pchać się złodziejom na pożarcie, czy pędzić do Bulwickich i wołać o ratunek. Cisza dzwoniła w uszach.

Na swoje szczęście lub nieszczęście Henryka była twardą kobietą, więc przemogła lęk i zaczęła wchodzić po schodach. Głowa mało jej nie odpadła, tak bardzo kręciła nią na wszystkie strony. Musiała też uważać, żeby nie wdepnąć w majtki ani w wielki stanik pani Mirabelki. Ten bałagan na schodach nie wyglądał normalnie. Cieplakowie nie byli jakimiś przesadnymi pedantami, ale nie mieli zwyczaju rzucać ciuchów za siebie. Sprawdzenie góry Henryka Pełka zaczęła od kuchni, gdzie wyszukała najdłuższy nóż, taki w sam raz do ćwiartowania świniaków. Od razu poczuła się pewniej. Obeszła wszystkie pomieszczenia, na końcu próbowała zajrzeć do sypialni, gdzie stał sejf. Drzwi, choć niezamknięte na klucz, stawiały opór całkiem tak, jakby z drugiej strony ktoś je przytrzymawał. Pchnęła mocniej, na tyle żeby wsadzić głowę i...

- O matuchno święta! - ryknęła teraz już naprawdę głośno. - Moja biedna, kochana pani leżała na podłodze cała we krwi. Golutka i zakrwawiona. Byłam pewna, że ona już trup.

- Nie sprawdziła pani pulsu?

- Miałabym dotknąć trupa? A w życiu! - wykrzyknęła Pełka. - Z miejsca poleciałam do pana Bulwickiego.

- Z nożem?

- Nie pamiętam. - Rozejrzała się bezradnie.

Jacek Bulwicky kiwnął głową, że z nożem, więc skuliła się w sobie i przycichła.

- Przecie nie ukradłam! - mruknęła gniewnie. - Został u sąsiadów, to się przyniesie.

- Zginęło coś z mieszkania? Tak na pierwszy rzut oka, oprócz noża, oczywiście - spytał komisarz.

Kobieta energicznie potrząsnęła głową.

- Meble stały na miejscu, szuflady były pozamykane, obrazki na ścianach wisały jak zawsze, więc po mojemu nic nie zginęło. No może jakieś dokumenty albo coś, co zawsze było schowane i czego nigdy nie widziałam.

Telewizor i to całe sprzęcicho mają takie, że każdy złodziej od niego by zaczynał. Do sejfu nie doszłam, to nie wiem, czy był otwarty. Ale po mojemu, to ona sobie sama głowy nie rozbiła. Ktoś jej musiał pomóc.

- Też tak uważamy - przytaknął komisarz. - Pytanie: kto i dlaczego?

- Tego to już nie wiem - zachnęła się Pełka.

- Cieplakowie mieszkali sami? - spytał komisarz.

W tym momencie babka chrząknęła, uniosła dłoń do góry na znak, że na to pytanie odpowie osobiście. Zaczęła, zanim ktokolwiek zdążył ją ubiec.

- Od tego trzeba zacząć - powiedziała wcale nie takim wątlým głosem - że Cieplakowie to nuworysze, zwykli prostacy, którzy nie mają prawa do zamieszkiwania w tym domu. Ta elegancka willa od roku tysiąc dziewięćset dwudziestego drugiego jest w posiadaniu rodziny Kurczyłłów. Kupili ją moi rodzice po przeprowadzce w te strony. Ja i moi bracia byliśmy wtedy dziećmi.

Zgodnie z ojcowskim testamentem dom przypadł Władysławowi, najstarszemu bratu. Średni brat Henryk wziął pieniądze, a dla mnie Władysław postawił ten oto domek na wydzielonym kawałku. To było krótko przed wojną. Pech chciał, że po śmierci prawowitej żony Władysław poślubił w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym roku swoją gospodynię Zofię Szarłat. Źle zrobił, ale zrobił, i ta kobieta zamieszkała pod jego dachem na stałe.

No cóż, prawo było po stronie tej Szarłat, ale już nie po stronie jej zamężnej córki, zięcia i wnuka. Gnieździli się gdzieś tu niedaleko w jednym wynajętym pokoju i jak tylko wyczuli okazję, nie wypuścili jej z ręki. Omotali mojego brata, otumanili tak skutecznie, że oddał im piętro swojej willi. Stare obrazy, stare sztychy i meble poszły w łapy prostaków, którzy nawet nie wiedzą, co to jest styl chippendale. Tak to właśnie wygląda, panie komendancie.

- Komisarzu - Emilia poprawiła babkę.

Komisarz Rębowicz machnął ręką.

- Co tam tytuły - powiedział. - Gdyby wszyscy mówili tak klarownie i jasno jak szanowna pani, miałbym o połowę mniej pracy.

Babka uznała, że ten komplement jest jak najbardziej zasłużony, uprzejmie skinęła głową i wreszcie spojrzała na komisarza przychylniej. Prawie z sympatią.

- Pan komisarz zna taką truciznę, która się nazywa cyjanek? - spytała.

Nic więcej nie zdążyła dodać, bo przewróciła się filiżanka z herbatą.

Emilka musiała wycierać kocyk i sukienkę babki. Tak staruszkę po cichu zagadała, że cyjanek zszedł na plan dalszy, a komisarz wrócił do tematu zasadniczego.

- Syn Cieplaków mieszkał z nimi?

- Nie. Wyprowadził się wiele lat temu i chyba nie odwiedzał rodziców -

wyjaśnił Bulwicki. - Raz Cieplakowa mówiła, że on wyjechał do Kanady, innym razem, że do Australii, ale dokładnie nie wiadomo. Możliwe, że znalazł pracę gdzieś w Polsce. To dorosły mężczyzna, będzie miał około trzydziestki.

- Wczoraj, o ile dobrze zrozumiałem, dom powinien stać pusty.

- Tak - zgodziła się pośpiesznie Iza Bulwicka. - Siostrzenica pani Zofii wydawała za mąż swoją córkę. Ślub był w Lipnie, wesele w zajeździe pod Lipnem, gdzie zarezerwowano pokoje dla przyjezdnych gości. Cieplakowie mieli zanoć i wrócić dzisiaj po południu...

To znaczy, nie wiem dokładnie, ale zdaje się, Cieplak miał wrócić z panią Zofią, natomiast Mirabelka wspominała coś o Kołobrzegu. Przedwczoraj rozmawialiśmy w przelocie, nie pytałam o szczegóły, ale wyglądało na to, że nad morze wybiera się sama. Całkiem możliwe, bo wczoraj upychała do samochodu wielką walizę. Wyjechali około trzynastej. Akurat wracałam ze sklepu, kiedy oni ruszali. Prowadził Cieplak, żona siedziała obok, teściowa z tyłu.

- W garażu stoi volkswagen, hondy nie ma - stwierdził komisarz.

- Volkswagemem jeździła Cieplakowa - wyjaśniła Iza. - Teraz auto czeka na remont i nie nadaje się do użytku.

Do Lipna wyjechali na pewno hondą, nie wiem tylko, jak wrócili... to znaczy, jak ona wróciła do domu. Nie chce mi się pomieścić w głowie, że przez cały wieczór nie było jej słychać. Ta kobieta nie umie zachowywać się cicho, nie umie milczeć, a myśmy nie ją słyszeli, tylko jej męża. Najpierw z kimś rozmawiał, potem chyba z kimś innym się sprzeczał...

- To wszystko mogło ci się zdawać - fuknął Bulwicki.

- Oczywiście, że go słyszałam - wykrzyknęła Iza. - Niewykluczone, że tam za płotem doszło do bójki.
- Na pewno doszło - wtrącił milczący dotąd Leszek. - Ten mały chłopiec wlaź w krzaki i ich podejrzwał.
- Zaraz podejrzwał! - zdenerwował się Bulwicki. - Zmrok już był, niczego nie mógł widzieć. Fantazjował, jak to sześciolatek.
- Widział więcej, niż pan myśli. To łebski chłopak - wyjaśnił Leszek.

Iza nie wytrzymała:

- I takiego łebskiego chłopca chciał pan upiec jak koziółka?
 - Głodny byłem - zachichotał Leszek. - A całkiem poważnie wam powiem, że nie radzicie sobie ze smarkaczem. Przecież wczoraj on cudem nie przewrócił grilla, nie poparzył się i, co najważniejsze, nie zmarnował takiego pysznego jedzenia.
- Jeżeli poprzedniego dnia Iza nie lubiła Leszka Kurczyły, to po tym wystąpieniu znieubiła go jeszcze bardziej. Jedynie ze względu na obecność komisarza nie odpowiedziała ostro i zdecydowanie.

- Mała utarczka? - zainteresował się komisarz. - O dzieciach, zdaje się, mowa?
- Nie... tak tam... - Bulwicki machnął ręką.

Komisarza nie zniechęciło to machnięcie.

- Mówią państwo o bójce. Kto z kim miałby się bić?

Cieplak z żoną? - zagadnął.

- Z żoną nie - zaprotestowała Iza. - Słyszałam dwa męskie głosy, ale tego drugiego nie rozpoznałam.
- Jeśli dobrze zrozumiałem, wnuk państwa mógł coś widzieć?
- Wykluczone! - uciał Bulwicki. - Było ciemno.

- Przez cały wieczór za płotem działo się coś dziwnego, kręcił się ktoś, kogo nie powinno tam być, ktoś się kłócił, ktoś się bił, a nikomu z państwa nie przyszło do głowy, żeby po prostu podejść do furki i zobaczyć na własne oczy, co się dzieje i dlaczego? - spytał komisarz.

Spoglądali na siebie z lekkim zdziwieniem.

- W końcu nic takiego się nie działo - wyjaśnił Bulwicki. - Każdy może wyjechać i wrócić, jeżeli rzeczywiście Cieplak wrócił, bo ja w to nie wierzę.
- Myślę, że na pana miejscu zajrzałbym do współlnika - stwierdził

komisarz. - Zajrzałbym, żeby się upewnić, że wszystko w porządku. Znieczulica niszczy nam stosunki międzyludzkie.

- Całkiem inaczej na to patrzę - fuknął Bulwicky.

Komisarz nie upierał się. Zaczął wypytywać o Zofię Kurczyłłową, matkę Cieplakowej. Gdzie może być teraz, czy korzysta z komórki, czy prowadzi samochód.

Mnożył pytania, a jego rozmówcy wiedzieli tylko tyle, że Zofia z całą pewnością nie miała prawa jazdy, natomiast komórkę powinna mieć, jak każdy.

- Trzeba chyba do niej zatelefonować - zawahała się Emilka. - Nic dobrego jej w domu nie czeka, lepiej, żeby była przygotowana.

- A kto z państwa ma numer pani Kurczyłłowej? - zainteresował się komisarz.

Patrzyli bezradnie po sobie. Ani Bulwiccy, ani tym bardziej Emilka nigdy wcześniej nie dzwoniли do Zofii.

Podobnie Henia Pełka, która jeśli się kontaktowała, to jedynie ze swoją chlebodawczynią.

- O! Przecie Cieplakowa powinna mieć numer matki w komórce -

wykrzyknęła Henia.

- Pewnie ma - przytaknął komisarz - ale my nie znaleźliśmy komórki. W

torebce miała kosmetyki, portfel, chusteczki higieniczne i klucze.

- Dziwne. - Iza Bulwicka pokręciła głową z wielkim zdumieniem. - Ona nawet do łazienki zabierała komórkę, tak przynajmniej się chwaliła. Może warto rozważyć taki wariant, że ten, kto na nią napadł, zabrał jej komórkę.

- Po co niby? - zdziwił się zjadliwie Bulwicky. - Chciał się wkręcić do jej fryzjera czy do kosmetyczki?

- Nie wiem! - zachnęła się Iza. - Może miała w komórce numer napastnika, może przechowywała jakieś ważne wiadomości...

- Mirabelka i ważne wiadomości! - prychnął Jacek.

Przejechał ręką po twarzy i zamilkł, wyraźnie rozzłoszczony.

- A telefon Cieplaka? - spytał komisarz.

Wszyscy odruchowo spojrzeli na Bulwickiego, bo kto jak kto, ale wspólnicy powinni się kontaktować, i to wcale nie tak rzadko.

- Niestety, nie mogę panu pomóc. - Jacek Bulwicki rozłożył ręce w geście bezradności. - W ubiegłym tygodniu Maciej zgubił komórkę i nie jestem pewien, czy zdążył kupić nową. W każdym razie ja nie mam nowego numeru.

- Rzeczywiście pech - mruknął komisarz Rębowicz.

- O kurczę! - westchnęła Emilka. - Najbardziej żal mi pani Zofii. Nie zdążyła ochłonąć po pogrzebie męża, a tu następne nieszczęścia. Będziemy musieli zająć się nią, jak tylko wróci.

- A mną kto się zajmie? - ocknęła się babka.

- Jak to kto? - zdziwiła się Emilka. - Mamy tu przecież Feliksa, można powiedzieć: rodzinnego lekarza.

Barbara Kurczyłówna nasrożyła się i wydeła usta. Coś bardzo nieporadnego czaiło się w tych gestach. W wózku, zamiast władczej pani na włościach, siedziała teraz rozkapryszona stara dziewczynka.

- Już ja was znam - mruknęła. - Wszyscy zadrzecie ogony i pobiegniecie do tej kobiety, a ja zostanę bez szklanki wody.

Emilka pogładziła staruszkę po rękę i tym ciepłym gestem trochę ją uspokoiła.

Komisarz powoli szykował się do wyjścia. Rzucił jeszcze okiem na notatki.

- Jaka to jest rodzina? - spytał. - Chodzi mi o relację między matką a Cieplakami. Zgadzą się, wspierają w trudnych chwilach?

- Według mnie oni żyją oddzielnie - powiedziała ostrożnie Iza. - W

każdym razie tak było za czasów pana Kurczyłły.

- Czy Cieplakowie mają wrogów?

Ostatnie pytanie zostało skierowane do wszystkich, ale komisarz wyraźnie spoglądał na Bulwickiego. Ten zaczął się wiercić i poprawiać na krześle, aż w końcu bąknął wymijająco, że dostatek kłuje w oczy, że ludzie biznesu, zwłaszcza ci, którym się powiodło, rzadko kiedy cieszą się sympatią otoczenia. Trochę się zasupłał i nie wyszedł poza te dwie myśli.

- Biedni ci biznesmeni, tylko im współczuć - mruknął Leszek.

Bulwicki wyraźnie się speszył i żona pośpieszyła mu z pomocą.

- Mąż niewiele przesadził, jest właśnie tak, jak powiedział. Cieplakowa ponadto miała niedobry zwyczaj głośnego chwalenia się i obnoszenia z bogactwem.

Czasem mocno przesadzała, ale ludzie tego nie wiedzieli i zazdrościli jej kosmetyków prosto z

Paryża czy butów ściąganych z Włoch. Obgadywali ją za plecami.

- Ten napad nie miał charakteru rabunkowego - powiedział wolno komisarz. - W każdym razie nic na to nie wskazuje. Sejf był zamknięty, ofiara miała na ręku trzy złote pierścionki, w jej torebce znaleźliśmy prawie pięć tysięcy złotych, więc nie o dobra doczesne chodziło. Stąd moje pytanie o wrogów.

- Nie wiem... O wrogach nic mi nie wiadomo - bronił się Bulwicki.

Nieoczekiwanie z pomocą przyszła mu Barbara Kurczyłówna.

- Ja z całą pewnością jestem wrogiem Cieplaków - powiedziała mocnym głosem. Zastanowiła się moment i spojrzała na komisarza niemal kokieteryjnie.

- Czy sądzi pan, że zabójstwo z powodów uczuciowych zasługuje na takie samo potępienie jak ordynarna zbrodnia?

- Z powodów uczuciowych? - zdziwił się komisarz.

- No tak - ciągnęła niezrażona. - Cieplak mógł zginąć z ręki kogoś bardzo sprawiedliwego.

Wszyscy rzucili się, by ją uspokajać. Słysząc było:

„Babciu...”, „Co też babcia...”, „To nie jest dobra pora na żarty...”.

- Zaraz, zaraz! - komisarz uciszył to rodzinne gdakanie wokół staruszki. -

Skąd pewność, że Cieplak zginął?

Barbara Kurczyłówna roześmiała się i pokręciła głową z miną: „A ja tam swoje wiem”.

Do komisarza podszedł Feliks.

- Babcia skończyła dziewięćdziesiąt lat, całe życie była sentymentalna, i to są skutki. Nie można jej słów traktować zbyt serio - powiedział cicho. -

Mówię to panu jako lekarz.

Komisarz wstał wreszcie z fotela.

- Gwarantuję państwu, że jeszcze się spotkamy - zapewnił na odchodnym.

- Dużo roboty przede mną i moim okrojonym zespołem. Lato to świetna pora jedynie dla tych, którzy mają urlopy. Ja niestety swój już wykorzystałem.

- Zapraszamy do naszego ogrodu - zawołała wesoło Emilka.

Prosto z ogrodu Barbary Kurczyłówny komisarz pojechał do komendy.

Przed swoim domem na Robotniczej znalazł się dopiero pod koniec dnia. Już od parteru słychać było głośny, zdecydowany płacz dziecka. Im wyżej, tym głos bardziej się nasilał, a na trzecim piętrze dosłownie rozsadał bębni w uszach.

Komisarz z ciężkim westchnieniem pokonywał schody. Gdy wreszcie doszedł

do drzwi z tabliczką „J. J. Rębowiczowie”, miał ochotę odwrócić się na pięcie i przebiec ten sam dystans, tyle że dwa razy szybciej i w odwrotnym kierunku...

niechby nawet do niezbyt przytulnej komendy. Powtarzał sobie, że jest ogromnie zadowolony i szczęśliwy, że uwielbia swoją rodzinę i bez niej nie ma dla niego życia. Nie kłamał. Był zadowolony, był szczęśliwy może nawet ponad miarę, ponieważ jego szczęście z trudem dawało się ogarnąć. Właśnie skończył

czterdzieści trzy lata, czyli wszedł w wiek całkiem przyzwoity dla męża i kochanka, ale za poważny dla młodego tatusia. On, który nieźle sobie radził z uwalnianiem społeczeństwa od różnych groźnych twardej, kompletnie tracił

głowę, słysząc płacz malutkiej Zuzi. Schować się przed nim nie mógł, bo w trzypokojowym mieszkaniu z wielkiej płyty było to raczej niemożliwe. Patrzył

więc na buzię czerwona z wysiłku, a może ze złości i zastanawiał się, o co w tym wszystkim chodzi: czy dziecko komunikuje, że nie podoba mu się kolor ścian, czy raczej wymusza huśtanie na rękach. Zuzia była dziewczynką zdecydowaną: zamykała się, czyli cichła, jedynie w czasie jedzenia, kąpieli i snu. Sypiała głównie w dzień, kiedy ojciec wychodził do pracy. Szczęśliwy tata próbował sobie przypomnieć, czy Alik, syn z pierwszego małżeństwa, też był

tak dokuczliwym niemowlęciem, i wychodziło mu, że jednak nie był. Alik właściwie wychował się sam. Jeśli nawet niezupełnie sam, ale z pomocą dziadków i matki, to dla Jarosława nie był to proces uciążliwy. Kończył w tym czasie studia, więc rzadko bywał w domu, potem zajął się pracą i robieniem kariery. Jaka ta kariera była, taka była, ale głównie jej się poświęcał. Pierwsze małżeństwo rozpadło się, syn został z matką, a on żył sobie samotnie, oddany pracy oraz złym nawykom żywieniowym i towarzyskim. Gnuśniał trochę, bo jeśli nie pracował i nie balował z kolegami, to szalał na motorze lub spał.

Wreszcie któregoś dnia spotkał kobietę, która zamieniła mu pochmurny listopadowy dzień w najprawdziwszą wiosnę. Nie dość, że młoda i śliczna, to na dodatek niegłupia. Miłość wybuchła z wielką siłą.

Jej owoc koncertował właśnie za drzwiami.

Jarosław Rębowicz zdecydowanym ruchem wyjął klucz i otworzył drzwi.

W przedpokoju pachniało oliwką i chusteczkami do wycierania niemowlęcej pupy.

- Jak leci? - spytał, całując żonę w okolice ucha.

- O matko, już później przyjść nie mogłeś! - zawołała Justyna. - Bałam się, że nawet na kąpiel nie zdążysz.

Kąpanie było świętem rodzinnym. Rębowiczowie nie mieli obok mam ani ciotek i od początku sami musieli sobie radzić. Wcześniej, w poprzednim małżeństwie, Jarosław nie był dopuszczany do pomocy przy niemowlaku.

Wokół Alika skakała matka z babką i nie pozwoliły mu dotknąć syna, dopóki malec nie skończył sześciu miesięcy. Teraz z wielką satysfakcją odrabiał

zaległości.

Spokojnie zanurzał duże, silne dłonie w wodzie, a ludzka okruszyna leżała w nich pewnie niczym w kolebce.

Mało tego: natychmiast przestawała się wydierać i wyglądała tak, jakby słuchała. Cały czas mówił i zagadywał, bo sprawiało mu przyjemność, że córka nie wrzeszczy, tylko patrzy rozumnie.

- I pomyśleć - mówił - że za kilka lat będziesz mnie wyrzucała z łazienki.

A za następne kilka moje miejsce zajmie jakiś łysol z kolczykiem w brodzie.

- A ciebie mama do ilu lat kąpała? - zdziwiła się rozbawiona Justyna.

- Mężczyźni to co innego - mruknął.

- Faktycznie. Was dłużej trzeba pilnować, żebyście myli szyję i uszy.

Przerabiałam to ze swoim młodszym bratem.

- Uszy! - prychnął. - Za kilka lat to maleństwo będzie łamało męskie serca, a ty mi o uszach...

- Jeśli chodzi o ścisłość, jedno już złamała. Patrzysz na nią całkiem maślanymi oczami.

- Możliwe, ale wychowam ją tak, jak mnie wychowywano, czyli surowo.

Musi dziewczyna znać mores.

Justyna okryła małą ręcznikiem i śmiała się już całkiem jawnie.

- Jak na faceta wychowywanego surowo jesteś wyjątkowo rozpaprany.

Spóźniasz się, masz dziurawą pamięć i dwie lewe ręce, rozwalasz ciuchy po mieszkaniu, każesz sobie usługiwać... Mam wyliczać dalej?

Burknął, że bez łaski, i wylał wodę z wanienki. Ubieraniem i kosmetyką córki zajmowała się Justyna. Potem szła do pokoju karmić małą, a on zaczynał

sprzątać łazienkę, choć prawdę mówiąc, tylko zaczynał, bo prawie nigdy nie kończył. Wciąż coś stawało na przeszkodzie.

A to zadzwonił telefon, a to trzeba było włączyć telewizor, żeby wysłuchać wiadomości lub po prostu w ciszy przejrzeć jakiś dokument.

Szczyście Rębowicza byłoby stokroć większe, gdyby Zuzia mniej krzyczała i pozwoliła ojcu wieczorem popracować albo obejrzeć film, a w nocy wreszcie się wyspać.

Tym razem też nie zdążył rozwiesić ręczników i wytrzeć posadzki.

Schował jedynie wanienkę i rzucił się do komputera w poszukiwaniu dokumentów z zamykanej właśnie sprawy o ciężkie pobicie i trwałe uszkodzenie ciała. Papierów nigdzie nie było, więc wsadził głowę do sypialni.

Żona leżała z córeczką przy piersi i chyba drzemała.

- Wydruki! - szepnął trochę zbyt głośno, bo Zuzia przestała na moment ssać.

- Wydruki? - Justyna patrzyła niezbyt przytomnie. - Jakie?

- Te, o które prosiłem rano.

- Puknij się w łepetynę! Kiedy niby miałam usiąść do komputera? -

spytała.

- To co ty robiłaś przez cały dzień? - zdziwił się już całkiem głośno i bardzo szczerze.

Sporej wielkości niedźwiadek przeleciał tuż obok jego głowy, więc na wszelki wypadek zamknął drzwi. Był ciężko zafrasowany. Mógł, co prawda, sam sprawdzić tekst i wydrukować, ale Justyna czytała uważniej i lepiej znała się na interpunkcji. Zdecydował, że nie będzie odbierał żonie satysfakcji i pozwoli sobie pomóc. Rozumiał, że prasowanie, że spacer i karmienie, ale przecież czerwcowy dzień miał kilkanaście godzin, a stron było malutko, najwyżej osiemnaście. Włączył telewizor i w tym samym momencie zaklął nie gorzej niż uliczny menel. Za ścianą u Rojków szykowała się awantura, co znaczyło, że przez najbliższą godzinę nie da się słuchać niczego więcej poza Rojkami. Trzy, cztery razy w miesiącu, chyba po jakichś wypłatach, ci dość sympatyczni na oko ludzie zaczynali głośno wytykać sobie przywary ściśle powiązane z grzechami głównymi. Miało to miejsce w porze nasilenia programów informacyjnych i publicystycznych. Może nie robili tego złośliwie, może po prostu był to ich czas powrotu do domu. Od wymiany opinii zwykle się zaczynało. W tej rundzie głośniejsza i bardziej natarczywa była żona. Dopiero po dłuższej chwili na prowadzenie wychodził mąż i następowała runda druga.

Rojek odzywał się niewiele, uderzał chyba celnie, bo każdemu ciosowi towarzyszył kobiecy krzyk, czasem jęk. Trzy, cztery ciosy, tyleż tępych walnięć o podłogę lub ścianę, na koniec krótka sentencja typu:

„Z tobą, cholero, to po dobroci nie można”, i zapadała błoga cisza. Ale nie zawsze. Czasami Rojkowa czuła się wyraźnie niedobita i po kilku minutach podnosiła wielkie larum, rozpoczynając tym samym rundę trzecią. Ciskała w męża obelgami, a sądząc po odgłosach, trafiało się też szkło lub porcelana.

Dopóty poczyniała sobie bardzo śmiało, dopóki nie obudziła w ślubnym mężczyźnie woli walki. Kiedy wreszcie ruszał do ataku, wyskakiwała na klatkę schodową, wrzeszcząc nieprzytomnie: „Ludzie, ratunku! To bydle me zabije!”.

Półtora roku temu, kiedy Rębowiczowie zostali sąsiadami Rojków, Justyna zmusiła Jarosława do interwencji.

Wypchnęła go na klatkę, krzycząc: „Oni naprawdę gotowi się pozabijać!

Zrób coś, jesteś policjantem!” Z największą niechęcią ruszył tyłek z fotela. Nie chciał wtrącać się w cudze życie właśnie dlatego, że pracował w policji.; Z tych samych powodów wahał się przed wezwaniem patrolu. Na schodach Rojkowa darła buzię i, co ciekawsze, łapami wielkimi jak łopaty darła bluzkę na sobie.

Na pytania nie reagowała, więc ją ominął i pchnął niedomknięte drzwi mieszkania na wprost. Rojek, niewielki, chudy mężczyzna w przybrudzonej podkoszulce, siedział na wersalce, palił papierosa i pstrykał pilotem.; Na widok sąsiada zjeżył się lekko, burknął coś o Tomku i domku, ale prawdziwy popis sąsiedzkiej niechęci dała dopiero jego żona. Wpadła za intruzem do przedpokoju i narobiła takiego wrzasku, że Jarosław Rębowicz zwyczajnie zrejterował. Wrócił do Justyny i powiedział:

„Nigdy więcej nie każ mi godzić wariatów. Ta suka’ w obronie ślubnego prześladowcy gotowa była poorać’ mi gębę pazurami. A ma czym. Zapamiętaj sobie, że; w ich wydaniu tak właśnie wygląda miłość i lojalność małżeńska, a postronnym nic do tego”. Jarosław, mimo że na co dzień bardziej otrząskany z przemocą niż jego; żona, subtelna kobieta i farmaceutka z zawodu, słowa’

dotrzymał i nigdy już nie próbował sąsiadów uspokajać.

Jeśli za mocno hałasowali, chował się w sypialni, gdzie było mniej słyhać.

Justyna weszła do pokoju w czasie, kiedy Rojek walił Rojkową. Odgłosy bijatyki były cichsze niż zwykle.

Mąż się nie przykładał, żona wrzeszczała na pół gwizdka, bez większego zaangażowania, co znaczyło, że oboje za mało wypili.

- Jeśli obudzą Zuzię, to osobiście ich zatłukę! - powiedziała zgnębionym głosem. I zaraz się poprawiła. - Ją zatłukę, bo on bywa przydatny. Już kilka razy wniósł mi wózek na górę. Nie musiałam prosić, łapał sam i zasuwał. Sąsiadki mówią, że te wszystkie jazdy prowokuje Rojkowa, kiedy chce sobie coś nowego kupić. Podobno po każdej awanturze Rojek jest bardziej hojny niż Unia Europejska. Odkupuje to, co zniszczył i czego nie zdążył nawet tknąć.

- Babskie gadanie! - mruknął Rębowicz.

- Pewnie, że babskie. Tylko kobiety mają coś ciekawego do powiedzenia o sąsiadach - obruszyła się Justyna. - Ty może byś nie odkupił, Rojek odkupuje.

- Ja nie tłukę ani ciebie, ani zastawy! - zawołał zdumiony.

- Wiem, ale i bez tłuczenia mógłbyś mi od czasu do czasu coś ładnego kupić. Głodny jesteś?

Jarosław nie był głodny. Marzyło mu się, że żona zaparzy dwie filiżanki aromatycznej herbaty i usiądzie obok, tak jak lubiła siadać, zanim na świat przyszła Zuzia. Teraz wydawała się zmęczona i mizerna. Weszła na moment do łazienki i utknęła na dobre.

- Gdzie ta herbata? - krzyknął.

Justyna puściła mimo uszu uwagę o herbacie, natomiast skupiła się na bałaganie w łazience i męzowskiej nieodpowiedzialności. Wciąż jeszcze nie mogła się przyzwycząić do smutnej prawdy, że Jarosław chętniej obiecywał, niż spełniał obietnice. Czegoś całkiem innego spodziewała się po statecznym mężczyźnie, który jedno małżeństwo miał już z głowy. Nie przewidziała, może nawet nie zauważyła, że poślubia dużego, wyrosniętego chłopca, który nie jest zbyt mocny w wyciąganiu Wniosków ze swojego postępowania. Z cudzego tak, ze swojego nie. Owszem, czasami ruszało go sumienie, jak choćby tego niedzielnego wieczoru. Bez słowa wstał z fotela i poszedł zrobić coś pożytecznego, a mianowicie dwie herbaty. O wiele lepiej radził sobie z czajnikiem w kuchni niż ze ścierkami w łazience.

Justyna wróciła do pokoju w różowej koszulce nocnej.

Mokre włosy gładko zaczesła do tyłu i wyglądała jak mała dziewczynka.

Mąż eleganckim gestem wskazał jej fotel i parującą filiżankę na stoliku. Jego zdaniem nic; tak nie gasiło w lecie pragnienia, jak właśnie mocna, gorąca herbata.

- Pogodzili się czy pozabijali? - Justyna wskazała głową ścianę oddzielającą ich od Rojków.

- Nie wywołujmy wilka z lasu - poprosił, sadowiąc się wygodnie. I zaraz dodał, że kroi mu się kolejna ciekawa, sprawa.

Prawdę powiedziawszy, sprawa Cieplakowej wcale niezapowiadała się interesująco. Kobieta znaleziona we własnej sypialni miała dwie rany na głowie, kilkanaście siniaków na całym ciele, lecz nic nie wskazywało na to, że spędziła noc w ramionach mężczyzny. Zapisał w papierach, że było to pobicie bez podtekstu erotycznego i rabunkowego. Cios mógł zadać mąż, mógł kochanek, jeśli takiego miała, lub jeszcze ktoś inny. Ślady w domu, ślady w ogrodzie mogły zmienić kwalifikację czynu, ale na razie tak to właśnie wyglądało.

Wypadek zdarzył się w domu, który powinien być chwilowo pusty. Zeznania sąsiadów nie były zbyt precyzyjne. Trochę kręcili, zwłaszcza współnik Cieplaka, ale świadkowie mają to do siebie, że kręcą.

- Poznałem dzisiaj bardzo interesującą kobietę - powiedział z zagadkową miną Jarosław.

- Myślisz, że byłaby chętniejsza do sprzątnia łazienki i zbierania po domu twoich skarpetek? - zaciekawiała się Justyna.

- Nie sądzę - przyznał uczciwie. - Jest interesująca z innego powodu. Ma pięćdziesiąt lat, jeździ na wózku, grillowane mięso popija pieprzówką i wbrew temu, co mówi rodzina, umysł ma nadspodziewanie sprawny. Jak myślisz, czy kobieta w tym wieku może się jeszcze kochać w mężczyźnie?

- Bo ja wiem? Za sześćdziesiąt, siedemdziesiąt lat spróbuję ci odpowiedzieć i na to pytanie. Ale, ale! - Zawiesiła głos. - Mówiąc o mężczyźnie, myślisz o sobie?

- Tylko ty uważasz, że wszystkie kobiety na mnie lecą - zaprotestował

łagodnie. - Mężczyzna jest w sile wieku, gdzieś około sześćdziesiątki. Jego żona ma pięćdziesiąt kilka, a ukochana miałaby pięćdziesiąt.

Panna Kurczyłło, ta staruszka właśnie, uważa, że mężczyzna z miłości do niej próbował zamordować żonę i sam gdzieś tam zginął w niewyjaśnionych okolicznościach.

- A zginął?

- Tego nie wiem. Do popołudnia się nie pojawił.

Jego żona wciąż jest nieprzytomna, a świadkowie jak to świadkowie, każdemu coś innego w duszy gra.

Justyna nie była specjalnie zdziwiona różnicą wieku ewentualnych kochanków. W głębi ducha uważała się za feministkę, zatem mężczyzna młodszy od kobiety o trzydzieści lat nie dziwił jej ani nie gorszył. Spróbowała spojrzeć na sprawę trzeźwo.

- Bogata jest ta staruszka?

- Kiedyś była bogata, teraz wątpię. Powiem ci, że ona bardzo źle się wyraża o tym mężczyźnie. Gardzi nim,; nazywa go prostakiem i nuworyszem.

- No to masz odpowiedź! - zawołała Justyna. - My, kobiety, nie kochamy mężczyzn, którymi gardzimy.

Poślubić ewentualnie możemy, ale nie pokochać.

- A jeśli jest to gadanie celowe, żeby odwrócić podejrzenia?

- Ale wymyśliłeś! - zawołała. - Nawet Zuzia nie chce słuchać takich bzdur.

Za drzwiami, w sypialni, Zuzia obudziła się i dawała upust irytacji.

Gdyby umiała mówić, powiedziałałab mniej więcej tak: „Po to się ma dzieci, żeby się nimi zajmować, mielenie słów może poczekać”.

Rębowicz westchnął ciężko. Poczł nagle, że sprawa Cieplakowej, która jeszcze pół godziny temu wydawała się pospolita i mało ciekawa, przyczyni mu wiele kłopotów. Miewał od czasu do czasu takie zawodowe przeczucia, które się sprawdzały. Jego babka chętnie operowała słowem intuicja. Może rzeczywiście była to intuicja w wydaniu policyjnym. Przed oczami wciąż miał obraz miłych, pogodnych ludzi, skupionych w ogrodzie starej damy. Żartowali, chętnie odpowiadali na pytania, zachowywali się całkiem tak, jakby tuż za płotem nie wydarzyła się wielka tragedia. Owszem, ciekawi byli, kto, co i dlaczego, ale nikt z nich nawet nie spytał o stan zdrowia sąsiadki. Szkoda, bo Jarosław Rębowicz dysponował najświeższymi doniesieniami ze szpitala.

Po wyjściu komisarza, który był bardzo uprzejmy i zabrał do miasta Henrykę Pełkę, towarzystwo w ogrodzie Barbary Kurczyłówny zajęło się prowadzeniem własnego śledztwa. Z ciekawości i dla rozrywki, bo przecież nie z chęci wyręczenia policji. Babcia drzemała otulona kocykiem, a oni gawędzili początkowo leniwie, potem coraz bardziej zadziornie.

- Co o tym myślicie? - spytała Emilka. Pytała wszystkich, ale tarosiła za rękę Leszka.

- A co mam myśleć? - zdziwił się Leszek. - Odkąd odszedłem z policji, to już nie jest moja działka. Teraz specjalizuję się w sprawach rozwodowych.

Będiesz podejrzewała męża o romans, dzwoń do mnie, a ja ci dam dowody do garści. Wezmę chłopa pod lupę i nie ma siły, żebym czegoś nie znalazł. Dobry jestem.

- Ale niezbyt mądry - fuknęła Emilka. - Już ty lepiej zostaw Waldka w spokoju i zajmij się sąsiadami. Nie zastanawia cię, co tam się stało?

- Przecież wiem, co się stało - mruknął Leszek. - Cieplak umiał

kalkulować. Wynajęcie detektywa i koszt dziennej obserwacji współmałżonka waha się, licząc już z podatkiem, w granicach tysiąca dwustu, tysiąca trzystu złotych. Kilka lub kilkanaście takich dni to niebagatelny wydatek. Zamiast bulić, prościej jest walnąć babę w łeb, a wtedy rozwód przyjdzie sam.

- Pan zawsze taki romantyczny? - spytała z przekąsem Iza Bulwicka.

Leszek Kurczyłło wzruszył ramionami. Był przeciwnikiem romantyzmu i nagłych zaślepień. O ile na początku znajomości takie uczuciowe rozmazanie można od biedy usprawiedliwić, o tyle na końcu staje się ono; całkiem zbędnym balastem. Sam nigdy się nie ożenił.

Lubił kobiety, nawet bardzo, lecz miał złe zdanie o trwałych związkach.

Nie wierzył w święte więzy małżeńskie, ot co.

- Stawiam na Cieplaka - powiedział.

- Ty stawiasz na Cieplakową - poprawiła go Emilka. - Zakładasz mianowicie, że Cieplakowa zdradzała męża; bo w przeciwnym wypadku na diabła byłby mu detektyw i to całe mordowanie. Mnie się to nie podoba.

Cieplakowa już wyczerpała limit swoich wielbicieli: jeden, i dość. Kto by się na takie brzydactwo połaszczył!?

- Gadasz jak typowa baba - zdenerwował się Leszek. - Tobie może się Cieplakowa nie podobać, a ja uważam, że to kawał fajnego mięsa, w sam raz do obłapiania.

- Widziałeś ją nieprzytomną. Poczekałbyś, aż zacznie trzaskać jęzorem i prezentować swoje przemyślenia, to zmieniłbyś zdanie. Naprawdę lubisz takie rozlażłe galarety?

- Powtarzam: Cieplak chciał się pozbyć żony i może nawet jeszcze nie wie, że mu się nie udało - mruknął Leszek.

Feliks popatrzył na kuzyna z jawną kpina.

- Taki luzak jak ty mógł zapomnieć, że niechęć w związku bywa zwykle dwustronna - wyjaśnił. - Jeśli Cieplak nie znosił żony, to jak wytłumaczysz pośpiech, z jakim ta żona pozbywała się ubrania w oczekiwaniu na męża?

Wygląda na to, że zaczęła się rozbierać już na schodach. Sama, bez niczyjej pomocy, bo bielizna nie była podarta.

- O właśnie! - wykrzyknęła Iza Bulwicka. - Mnie ta gorliwość Cieplakowej też dziwi. Jeśli się rozbierała w wielkim pośpiechu, to z całą pewnością nie dla męża.

Oni na co dzień żarli się jak pies z kotem i wcale nie kryli wzajemnej niechęci.

- A ty najwięcej wiesz, jak tam między nimi było! - krzyknął Bulwicki. -

Żarli się, nie żarli...

Iza nie dała mu skończyć.

- Zgoda. Niech ci będzie, że jedli sobie z dziobków.

I że właśnie wczoraj, w porze wesela, zebrało im się na miłość. To czemu nie poszli do swojego pokoju w zajeździe, tylko tłukli się trzydzieści kilka kilometrów? Przecież to jest chore.

- Wystarczy, że im pasowało! - wtrącił ze złością Bulwicki. - Najlepiej, jeśli każdy zajmie się swoim życiem, nie cudzym.

- O! - wykrzyknął z satysfakcją Leszek. - I tu mi pan podpadłeś, panie Jacku, po raz kolejny. Rozumiem, że chroni pan wnuka, bo nieletni, ale żona świetnie sobie daje radę bez pana. Jest bystra, spostrzegawcza i myśli logicznie, a pan ją wciąż sprowadza do parteru. Tego nie widziała, tamtego

nie mogła słyszeć, to jej się wydaje... Nie dość, że sam pan kręci, to jeszcze próbuje zmusić do kręcenia żonę.

- Oszalał pan! Nie kręcę, tylko daleki jestem od rozsiewania plotek. Mnie interesuje naga prawda.

Leszek zachichotał złośliwie.

- To czemu powiedział pan komisarzowi, że wczoraj wieczorem, kiedy się już rozstawaliśmy, pan wyszedł z żoną, a my grzecznie zostaliśmy z babcią. To ma być naga prawda? Przecież to jest głównie prawda! Pani Iza wyszła z wnukiem, Emilka została z babką, natomiast Waldek, Feliks, pan i ja poszliśmy w osiedle. Kawalek razem, potem oddzielnie. To diablo ważna informacja, a pan z jakichś powodów ją zataił. W czyjej drużynie pan gra, panie Jacku?

Przez kilka sekund Jacek Bulwicky wyglądał jak człowiek, który oberwał

pięścią między oczy. Pozbierał się w miarę szybko i nawet próbował żartować, że zbyt szczere pogawędki z policją nikomu nie wychodzą na zdrowie.

- Tere-fere! - mruknął Leszek. - Nie każę panu mylić komisarza z konfesjonałem, pytam tylko, po cholere pan ściemnia? Wczoraj ten babski głos, który mówił o pampersach, wyraźnie dochodził z ogrodu Cieplaków. Jedynie pan się upierał, że z drugiej strony drogi.

Bijatyki wieczornej też pan nie słyszał. Nie przekonały pana nawet ślady bójk, które dzisiaj oglądaliśmy za płotem. „Głupi pies zrył ziemię”. Może i pies, ale czyja była krew? Upiera się pan, że wczoraj wieczorem Cieplaka tu nie było. Skąd ta pewność?

- Przecież wyjechał do Lipna - bąknął Bulwicky.

- Faktycznie! - wykrzyknął Leszek. - Wyjechał do Lipna razem z żoną i teściową. Jednak żona wróciła. Mogła ona, mógł i on. Jak pan myśli, czy to spotkanie było dla nich dużą niespodzianką?

- A odczep się pan - krzyknął Bulwicky. Był wyraźnie zdenerwowany i powoli przestawał panować nad sobą.

- Cii! - Emilka przyłożyła palec do ust. - Wściekaj się, jeśli musisz, byleś nie krzyczał. Obudzisz babcię i będziemy musieli przerwać zabawę.

- To nie jest zabawa, to zwykła nagonka - irytował się Bulwicky. - Nie mam przyjemności robić za kozła ofiarnego.

Podniósł się i chciał uciekać. Emilka przytrzymała go za koszulę.

- Ty dokąd? Teraz dobierzemy się do skóry Leszkowi.

Babcia uważa, że to on zamordował Cieplaka w hołdzie dla niej i dla nazwiska Kurczyłłów. Nazywa to zabójstwem ze względów uczuciowych.

Trudno zgadnąć, co dalej wymyśli.

- Babci się pokręciło albo źle usłyszała - zaprotestował Waldek. - Ona uważa, że zginął Cieplak. Facet wróci do domu i wszystko się wyjaśni. Według mnie Leszkowi nic nie grozi.

- Tak myślisz? - ucieszyła się Emilka. Spojrzała na drzemiącą staruszkę i dokończyła znacznie ciszej:
- Babcia ma jeszcze w zanadrzu cyjanek i otrucie dziadka Władysława. Leszek gardłował za ekshumacją i może się jej doczekać prędzej, niż myśli. Policja zechce sprawdzić, czy miał powody, by usunąć Cieplakową i czaić się na Cieplaka. Wy tłumaczenie proste: majątek ucieka z rodziny i przechodzi w obce ręce. Skąd komisarz ma wiedzieć, że Leszkowi do życia wystarczy stół, krzesło i kawałek szafy. Toż on nawet firanek w oknach nie ma, kawałka dywanika nie ma, a łóżko nakrywa kocem. Po co komuś takiemu majątek. Wycieczek zagranicznych też nie lubi. Przestańcie chichotać.

Nie mogę cały czas siedzieć przy babci i oblewać jej herbatą. Ona narobi nam jeszcze takiego bigosu, że z krzesel pospadamy.

Najgłośniej śmiał się Leszek. Emilka parę razy musiała go uciszać ze strachu, że swoim dźwięcznym basem obudzi babcię. Leszek najwyraźniej nie czuł zażenowania z powodu nieoczekiwanego awansu ze skromnego świadka na głównego podejrzanego. Zaprotestował tylko przeciwko mordowaniu Cieplaków. Dla majątku Kurczyłłów zagrożeniem mogła być wdowa po dziadku, nie zaś jej dorosła córka z mężem. Do wdowy na razie się nie przymierzał. Z przepastnej kieszeni bojówek wyciągnął zmiętą kartkę i długopis.

- Dobra, zanim komisarz zacznie grzebać nam w życiorysach, sprawdźmy, co wiemy na pewno - powiedział. - Oczywiście w randkę Cieplaków ja też nie wierzę, co nie znaczy, że uwalniam Cieplaka od winy.

Mógł rąbnąć żonę z zaskoczenia. A teraz po kolei. Wczoraj około trzynastej Cieplakowie z Zofią Kurczyłową wyjechali hondą do Lipna na ślub. Widziała ich pani Iza, widzieliśmy i my z Emilką. Wieczorem, między osiemnastą a dziewiętnastą, jakaś dama, powiedzmy pani A, obwieściła za płotem, że jest za stara na pampersy.

Iza podniosła dwa palce do góry.

- Coś nie tak? - spytał Leszek.

- Około osiemnastej siadaliśmy do stołu, a ja poszłam szukać wnuka i dotarłam pod płot. Wtedy wyraźnie słyszałam głos Cieplaka. Mówił coś o pieniądzach, że pieniądze to nie wszystko. Druga osoba milczała. Ta rozmowa miała miejsce przed pampersami.

- Okay! - kiwnął głową Leszek. - Zapisujemy, że około osiemnastej Cieplak był w domu. Nie wiemy dlaczego i nie wiemy, o której dokładnie wrócił. Prawdopodobnie wyrwał się już po ślubie, a więc nie z kościoła, tylko z zajazdu. Przed każdą ucztą jest zawsze sporo bałaganu i najłatwiej wtedy zniknąć. Około osiemnastej, czy trochę po osiemnastej, odwiedził go pan lub pani X.

Rozmawiali o pieniądzach, może o jakimś rachunku.

Krótko potem przyszła pani A. Nie wiemy, czy osoby te były umówione, nie wiemy też, czy się spotkały. Pani A wbiła się w naszą pamięć dzięki zdaniu:

„Za stara jestem na pampersy”.

- Ty idioto... - dorzuciła Iza słodkim głosem.

Leszek wyglądał na zaskoczonego.

- Tam było: idioto? - spytał.

- Było! - przytaknęła Emilka.

- Okay! - zgodził się potulnie. - Co może znaczyć takie zdanie w ustach kobiety?

- Że gardzi tatusiem swojego poczętego dziecka - zdecydowała Emilka. -

Nic innego nie przychodzi mi do głowy poza dzieckiem w drodze.

- A może Cieplak miał swoiste poczucie humoru i wysłał jej pampersy na Dzień Dziecka? - zastanowił się Waldek.

Chętnie podchwycili ten wątek, bo gwarantował choć trochę zabawy.

Leszek uciszył towarzystwo i ponownie wcielił się w szefa zespołu dochodzeniowego. Następne pytanie skierował bezpośrednio do Izy.

- Mielibyśmy zatem do czynienia z romansem. To był kochliwy facet?

Podrywał dziewczyny, słynął ze skandali?

- W szwalni pracuje dużo młodych dziewczyn - zauważyła ostrożnie. -

Nie gwałcił ich chyba, nie zniewalał, bo żadnej afery nie wywołał, ale co jakiś czas słyszało się o tej lub owej panience.

- Powtarzasz zwykłe ploty - burknął Jacek i ucichł pod wpływem uważnego spojrzenia Leszka.

- No to jeszcze dodaj - fuknęła Iza - że twój kumpel od siedmiu boleści był chodzącą dyskrecją. Powtarzam to, co słyszałam od niego. Chwalił się swoimi podbojami na lewo i na prawo. Z myśleniem mógł mieć kłopoty, z potencją nigdy, tak przynajmniej wynikało z jego gadania.

- Żona to tolerowała? - zdziwił się Feliks.

- Ona była nie lepsza, przynajmniej w języku. Im wystarczył jeden słuchacz, żeby zaczęli sobie wyciągać wszystkie prawdziwe i urojone przewinienia. Tak było, odkąd ich poznałam. Z czasem doszły jeszcze gadki o niewierności.

Przestali być o siebie zazdrośni, to pewne.

- Szurnięte towarzyszo - mruknął Leszek. - No a jeśli to były czeze przechwałki? Jeśli on tych dziewczyn nie zaliczał?

- Tę od pampersów widać zaliczył - zauważył Waldek.

- Niech wam będzie! - zgodził się Leszek. - Szukajmy dalej. Mamy bójkę za płotem. Zmrok zapada krótko przed dwudziestą pierwszą, więc to musiało być w tym czasie. Dwaj faceci mocno się szcepili, bo poląła się krew. Sądząc po głosach, jednym z nich był Cieplak.

Coś tam z krzaków widział ten mały i niech dziadek nie protestuje, bo jestem pewien, że widział. Krzyknął nawet, że się leją. Pytanie, z kim Cieplak chwycił się za bary? Czy z panem X, tym od rachunków, czy doszedł jeszcze ktoś inny. Ruch za płotem był jak na Marszałkowskiej.

- Jacku! - wykrzyknęła Emilka. - A ten młody facet, który próbował

przeskoczyć twoją furtkę, pamiętasz?

Odesłałeś go do Cieplaka. Jemu może za długo było czekać do poniedziałku i wpadł tam od razu. To był jakiś wasz pracownik?

- Nie znam gościa! Pierwszy raz widziałem go na oczy.

- Myślałam, że w szwalni pracują same kobiety, że mężczyzn jest ledwie kilku. Jakiś mechanik, jakiś elektryk... Naprawdę go nie znasz?

- Kadrami zajmował się Cieplak - fuknął dość niegrzecznie Bulwicki.

- A ty jesteś od innych spraw? - drażyła Emilka.

Bulwicki podniósł się dość energicznie.

- Od zupełnie innych - wyjaśnił. - Poza tym mam urlop. Za chwilę zjawią się koledzy i pojedziemy do lasu tropić koziołka. Trwa właśnie sezon. I wiedzcie, że całe to wasze śledztwo mam w głębokim poważaniu.

- Nie wątpimy! - Leszek uśmiechnął się szeroko do pleców Bulwickiego.

- To nawet fajnie się składa: domniemany kozioł ofiarny jedzie do lasu tropić koziołka. - Spojrzał na Izę i nie dodał nic więcej.

Bulwicki zatrzymał się na moment, potem nagle przyspieszył kroku i trzasnął furtką nieco za mocno. Iza milczała ze wzrokiem wbitym gdzieś w gałęzie brzozy.

Ciszę przerwał Feliks.

- Niewiele mamy tych pewników - zauważył, pochylając się nad zapiskami kuzyna. - Całe szczęście, że to nie my prowadzimy dochodzenie, bo kiepski byłby nasz los Leszek spojrział na niego z odrobiną ironii.

- Gadasz jak typowy obywatel, który jest za sprawiedliwością, ale uważa, że sprawiedliwość robi się sama. Jakies wnioski dadzą się wyciągnąć, choćby zaraz. Cieplakowie wyjechali razem, lecz wrócili do domu oddzielnie.

On przed osiemnastą, ona dużo później, może nawet już po naszym rozejściu się, bo jakoś jej nie słyszeliśmy.

Pani Iza mówi, że w normalnych warunkach niemożliwością byłoby nie słyszeć tej kobiety. Jeśli umówiła się z mężczyzną, to możemy założyć, że z nim przyjechała.

Hondą prawdopodobnie poruszał się mąż.

- Wczoraj wieczorem nie było żadnego samochodu przed domem -

przypomniał Waldek.

- Możliwe, że i Cieplaka już nie było, kiedy wyszliśmy na przechadzkę -

zgodził się Leszek. - Ewentualnie ukrył samochód, żeby nie budzić podejrzeń.

Ciekawe, czy sąsiedzi z naprzeciwka czegoś nie zauważyli. Bo kto jeszcze mógłby zapuścić żurawia za płot Cieplaków?

My przez leszczyny i ci z drugiej strony Piołunowej przez bramę. Nikt więcej. Przy głównej ulicy Cieplakowie graniczą z pawilonem, ale wczoraj wieczorem apteka i kwiaciarnia były zamknięte. Poszedłbym do tych sąsiadów z naprzeciwka, tylko nie wiem, czy zechcą ze mną gadać.

- Mogę iść z panem - zaofiarowała się Iza. - Znam dobrze Ewę i Rysia Szymków, to bardzo mili ludzie.

Wstała nawet, gotowa wyruszać choćby zaraz, najpierw jednak musiała odebrać klucz od męża. Jacek Bulwicki, w letnim myśliwskim stroju i z fuzją na ramieniu, pojawił się właśnie przy furtce. Iza wyszła do niego na ulicę.

W tej samej chwili, kiedy terenowy hyundai z myśliwymi ruszył w kierunku lasu, od głównej ulicy nadjechała czarna honda Cieplaków i zatrzymała się na wprost ich domu. Samochód zawrócił i po kilku sekundach, wystarczających na wysadzenie pasażera, pojechał w kierunku miasta. Iza zdążyła krzyknąć za płot, że są, i wybiegła naprzeciw Zofii Kurczyłowej.

Spotkały się przy furtce. Starsza pani wyglądała na zmęczoną, a czerń jeszcze pogłębiała bladość twarzy i cienie pod oczami.

W ręku trzymała niewielką sportową torbę z wizerunkiem pumy. Pustą prawie, bo w przeciwieństwie

do swojej córki nie kochała się w szmatkach.

Oparła torbę o furtkę i próbowała znaleźć klucz. Oszalały Gapol rzucał się na ogrodzenie i szczekał radośnie.

- Aż taki głupi nie jesteś, poznajesz rękę, która cię; karmi - odezwała się do niego.

Iza, zwykle trzeźwa i wygadana, tym razem nie wie-’ działa, od czego zacząć. Kurczyłowa budziła w niej respekt. Nie należała do kobiet, z którymi można było wymienić ploteczki czy pogadać o niczym. Była surowa, zamknięta w sobie i bardzo godna. Na szczęście nadcią-; gały posiłki. Emilka wytypowała Feliksa, który w czasie studiów bywał u Kurczyłłów i chyba najlepiej z młodych poznał drugą żonę dziadka. Feliks z szacunkiem pochylił się nad ręką przyszywanej babki. Zwracał się* do niej oficjalnie per pani.

- Od wczoraj trochę się tu wydarzyło - powiedział - i chcieliśmy porozmawiać, zanim wejdzie pani do domu. Może przeszlibyśmy do nas.

Zawahał się i wskazał dom babki Barbary. Zofia kategorycznie pokręciła głową.

- Nigdy nie wchodzę tam, gdzie mnie nie chcą.

- Babcia śpi - zauważył niezbyt dyplomatycznie Feliks.

- Tym bardziej nie wejdę. A co się niby wydarzyło takiego strasznego, co wymaga mojej obecności za płotem? Otrułam jeszcze kogoś oprócz męża?

- Och, nie! - zaprzeczyła pośpiesznie Iza. - Chodzi o Mirabelkę. Wróciła do domu prawdopodobnie w nocy i ktoś próbował ją zabić. Jest w szpitalu.

Drzwi na górze mogą być zaplombowane... A może nie, sama nie wiem.

- Moje mieszkanie też jest oklejone?

- Nie sędzę.

- I chwala Bogu. No cóż - zawahała się, spoglądając to na Izę, to na Feliksa - nie jestem bez serca, ale nieraz już się zastanawiałam, jak długo rodzice mogą ponosić odpowiedzialność za wygłupy swoich dzieci. Do ich pełnoletności czy dłużej? Moja córka jest po trzykroć pełnoletnia, co nie znaczy, że poważna i mądra.

Powiem tyle: jeśli wpadła w tarapaty, sama jest sobie winna. Dzisiaj zadzwonię do szpitala, jutro może nawet tam pojadę, jednak nic więcej dla niej nie mogę zrobić.

Tu - dotknęła ręką piersi. - Tu czuję kamień.

- Wiedziała pani, że ona wróciła do domu? - spytała cicho Iza.

Zofia Kurczyłowa westchnęła ciężko. W jej oczach za migotały łzy.

- O tym skandalu jeszcze długo będzie się opowiadało w rodzinie -

szeptnęła. - Żeby tak na oczach wszystkich całować się z gachem, żeby tak nie mieć szacunku dla siebie samej... Wstyd.

Iza z trudem się powstrzymała, żeby nie przygarnąć znekanej kobiety do siebie. Z natury była wylewna i reagowała spontanicznie. Zofia Kurczyłowa nie sprawiała jednak wrażenia kobiety, która chce być tulona i obcałowywana.

- Wielki wstyd! - powtórzyła starsza pani zgnębnym głosem.

- A co na to Maciej? - spytała Iza.

- Tej nocy przynajmniej on zachował się jak człowiek.

Bawił się i udawał, że wszystko jest w najlepszym porządku. Przywiózł

mnie do domu i pojechał jeszcze coś załatwić. Muszę powiedzieć, że... że myśmy wiedzieli o tym wypadku. Przed wyjazdem z Lipna zięć odsłuchiwał

pocztę głosową i powiedział mi o wszystkim. Po drodze dzwonił do szpitala. Stan podobno ciężki, choć stabilny.

Ten język medyczny jest taki dziwny. Stabilny to znaczy || co? Ani wte, ani wewte?

- Właśnie tak. Nie ma pogorszenia i nie ma poprawy -; przytaknęła Iza. -

Wie pani, kto dzwonił do Macieja?!,

- Nie mówił. Przekazał mi tylko wiadomość o wypadku. Smutne to, bardzo smutne.

Szła potem ścieżką, pochylona pod ciężarem lekkiej torby z pumą, a Izie serce się kroilo na ten widok. Szepnęła nawet do Feliksa, że samotność bywa okrutna.

Komisarz Rębowicz przyjechał na ulicę Piołunową z samego rana.

Najpierw złożył wizytę Zofii Kurczyłowej.

Nie musiał się długo dobijać do furki. Gapol narobił takiego hałasu, tak wył i skakał, że zachodziła obawa, czy przypadkiem nie sforsuje płotu i nie rozszarpie komisarza żywcem. Psisko było nieokreślonej rasy, za to wielkie niczym niedźwiedź. Zofia zagoniła psa do piwnicy, dopiero potem wpuściła gościa na podwórko.

- To zwierzę wzbudza respekt wielkością, nie rozumem - tłumaczyła. -

Nie bez powodu nazwali go Gapolem. Naprawdę jest łagodny jak baranek i nawet przed złodziejem merdałby ogonem. Zamykamy go, żeby nie straszyć gości, a sąsiadom pokazać, że mamy groźnego psa.

Nie była zaskoczona wizytą. Zaprosiła komisarza do ładnego, jasnego saloniku. Rębowicz nie znalazł się na meblach, ale te, na które patrzył, musiały mieć swoje lata. Były piękne i pięknie zachowane. Wszystko wokół aż lśniło, od podłogi z desek po mosiężny żyrandol na suficie. Gospodyni wskazała mu fotel, sama usiadła na wprost i splotła ręce na piersiach. Była gotowa do odpowiedzi na pytania.

- Stan pani córki jest stabilny, choć ciężki - powiedział komisarz.

Skinęła głową.

- Wiem, dzwoniłam do szpitala.

- Wie pani też, że zięć z córką wrócili w trakcie wesela do domu, i to, zdaje się, niezależnie od siebie? - spytał Rębowicz.

Spojrzała na niego uważnie, z pionową zmarszczką między brwiami.

- Z tego, co w tej chwili wiem, córka rzeczywiście tu przyjechała. Na własną zgubę, ale przyjechała. Jeśli chodzi o zięcia, muszę zaprzeczyć. W czasie wesela bawił się ze wszystkimi, noc spędził w swoim pokoju i wczoraj przywiózł mnie do domu. Uważam, że on nie opuszczał zajazdu.

- To było duże wesele?

- Nie takie duże, na osiemdziesiąt par. Miało być osiemdziesiąt pięć, tylko nie wszyscy dopisali.

- Jest pani pewna, że w tym tłumie, bo to jednak był tłum, widziała pani zięcia przez cały czas, także w sobotę między godziną siedemnastą trzydzieści a dwudziestą pierwszą z minutami?

- Było bardzo ciepło, ludzie bawili się na sali, częścio-j wo na tarasie i w ogrodzie, ale mojego zięcia trudno jest stracić z oczu. To wielki mężczyzna i dość hałaśliwy,, poza tym lubi wypić. Powiedziałabym, że nie opuszczał

zabawy na dłużej niż kilkanaście minut. Oczywiście nie tańczyłam z nim, nawet nie siedziałam obok, jednaka migał mi na sali to tu, to tam.

- Proszę opowiedzieć o córce.

- Córka wyszła przed oczepinami, czyli krótko przed północą. Nie, źle mówię: wyszła o dwudziestej drugiej*'

Przez całe wesele bawiła się z jednym tylko mężczyzną.

Oboje wyglądali na bardzo pijanych. To mnie trochę zastanowiło, bo moja córka wśród swoich niewielu zalet jedną miała na pewno: była abstynentką. Widocznie i to jej się odmieniło na gorsze.

Cieżko matce o tym mówić, naprawdę ciężko, ale jeśli ja panu nie powiem, zrobi to zięć. Skandal wybuchł, kiedy się przewrócili w tańcu. Ludzie, jeśli już upadną, to starają się jak najszybciej wrócić do pionu, oni zaś zaczęli zachowywać się tak, jakby byli sami w... w łóżku. Moja siostra do nich podeszła i zareagowała ostro. Pijani widać są drażliwsi od trzeźwych, bo pozbierali się z parkietu i obrażeni wyszli.

Potem się dowiedziałam, że wyjechali.

- Czym wyjechali, jeśli oboje byli pijani?

- Chyba taksówką. Na pewno taksówką, no bo czym.

- Zna pani tego mężczyznę?

- Widziałam go pierwszy raz. Jeśli to panu potrzebne, zadzwonię do siostry i spytam o jego personalia. To jest ktoś albo ze strony panny młodej, albo pana młodego, innej możliwości nie ma.

- Może go pani opisać?

- Rzadko się trafia podobnie brzydki mężczyzna.

Średniego wzrostu, drobny, z przodu łysina, z tyłu włosy do ramion, a twarz typowego Kałmuka. Nos krótki, spłaszczony, oczy skośne, kości policzkowe wystające...

Brzydki człowiek i brzydki charakter, jeśli poleciał na starszą od siebie mężatkę. Sam nie miał więcej niż czterdzieści kilka lat.

Głośne szczekanie Gapola sprawiło, że gospodyni zaczęła nasłuchiwać.

Było to jednak szczekanie radosne.

Chwilę potem dało się słyszeć pukanie do drzwi i Zofia Kurczyłłowa wpuściła do holu Henię Pełkę.

- Pan jest na górze? - spytała cicho Henia, jakby bała się zakłócić spokój mieszkania dotkniętego nieszczęściem.

- Nie widziałam go dzisiaj - odparła Zofia normalnym, spokojnym tonem.

- O tej porze powinien być już w pracy.

- Co za nieszczęście! - Henia chlipnęła zdawkowo, po czym energicznie wytarła nos. - Ja tu do roboty, nie do płakania przyszłam. Pani Kurczyłłowa, jak pani myśli, mam sprzątać, czy policja może mnie posądzić o zacieranie śladów?

Wolałabym przez panią Mirabelkę nie iść do więzienia. Widziała pani tego policjanta od śledztwa?

Przystojny gościu, nie ma co, ale jak fajny, tak srogi.

Żartów widać nie lubi, tylko pyta i pyta. Jak spyta: „Pani Heniu, po jaką cholere polazła pani na górę? Muszę panią zaarrestować”, to co zrobię?

- Nic pani nie zrobi, pójdzie pani siedzieć - odpowiedziała poważnie Zofia. - O sprzątanie radziłabym spytać pana komisarza osobiście. Właśnie jest u mnie.

Henia Pełka wydała serię okrzyków świadczących o tym, że poczuła się mocno zażenowana. Wyraziła nawet obawę, co pan komisarz sobie o niej pomyśli, po czym z chichotem zajrzała do salonu i z jeszcze większym chichotem cofnęła głowę. Komisarz Rębowicz nie przepadał za filuternymi kobietkami, i to niezależnie od ich wieku. Nie włączył się do zabawy, nie wstał

na-*: wet z fotela, tylko krótko wyjaśnił, że sprzątać na górze; można, a nawet należy. Henia Pełka ociągała się z wyjściem. Najwyraźniej miała ochotę zająć trzeci fotel, by posłuchać, co tych dwoje miało do powiedzenia, ewentualnie jeszcze raz, z detalami, wspomnieć swoje wczorajsze przerażenie. Została jednak grzecznie wyproszona za drzwi pod pretekstem, że czas to pieniądz.

Zofia Kurczyłowa wróciła do salonu, niosąc przed sobą piękną srebrną tacę z dzbankiem i kryształowymi szklankami. W powietrzu zapachniało skórka cytrynową. Kiedy rozlewała lemoniadę do szklanek, jej ruchy były spokojne i bardzo oszczędne. Jeśli nawet poprzedniego dnia stara dama mówiła prawdę i ta kobieta przed wielu laty była gosposią, to nie dało jej się porównać z taką choćby Henią Pełką. Wszystko je różniło: sposób zachowania, język, maniery, a także wygląd. Henia, w zależności od koloru sukienki, mogła wyglądać raz jak arbuz, raz jak dynia, ale nigdy jak elegancka kobieta. Zofia natomiast zachowała szczupłą, prostą sylwetkę i w garsonce z czarnej żorżety prezentowała się bardzo nobliwie i właśnie elegancko.

- Co jeszcze chciałby pan wiedzieć? - spytała, wróciwszy na swój fotel.

- Zięć panią wczoraj odwiózł i co działo się dalej?

Poszedł na górę?

- Nie wchodził do domu. Miał coś do załatwienia w mieście i odjechał.

Nie słyszałam, kiedy wrócił, i coś mi się zdaje, że nie nocował w domu. Ani wieczorem, ani dziś rano nie było na górze żadnego ruchu.

- Miał gdzie zanocować w mieście?

Kobieta przez moment się zawahała.

- Myślę, że tak, chociaż adresu nie znam. Już od dłuższego czasu między zięciem i córką nie najlepiej się układało. Każde z nich miało swoje życie, o którym ja nic nie wiem. Mnie się nie zwierzali. Czasem, nie za często, słyszałam na górze kłótnie, częściej jednak milczeli.

Ich uczucia wypaliły się do cna. Są ze sobą chyba tylko z wygodnictwa.

- Ten dom był własnością Władysława Kurczyłły.

Do kogo należy teraz?

- Dół należy do mnie, góra do Cieplaka. Dom ma dwóch pełnoprawnych współwłaścicieli.

- Mówi pani Cieplak, ale to chyba jest własność obojga małżonków?

- Tak, oczywiście, ale moja córka w życiu nie zarobiła złotówki i umie wyłącznie wydawać. Gdyby Cieplak jej nie ograniczał, puściłaby go z torbami.

To on ma głowę do interesów i wyłącznie dzięki niemu żyją dostatnio.

- Czy pani mąż zostawił testament?

- Spisał swoją ostatnią wolę w obecności dwu świadków: naszego sąsiada Jacka Bulwickiego i mecenasa Janusza Sarneckiego.

- Jakie były kontakty męża z synem Markiem? Pytam z czystej ciekawości, bo to do sprawy nie należy.

- Nie było żadnych kontaktów. Pan Marek nie interesował się ojcem. Nie był nawet na pogrzebie, przysłał jedynie skromny wieniec.

- Może choruje?

- Najpewniej na zanik pamięci. Nigdy nie darował ojcu, że się ponownie ożenił. Gdyby młody Kurczyłło był człowiekiem wartościowym i sprawiedliwym, wziąłby pod uwagę choćby to, że przeżyłam z jego ojcem trzy*

dzieści lat, że się nim opiekowałam i byłam na każde skinienie. Zresztą nie o mnie tu chodzi. Syn nie powinien przyczyniać ojcu zgryzot, to chciałam powiedzieć. Na kilka miesięcy przed śmiercią męża wysłałam do pana Marka dwa listy i nie dostałam odpowiedzi na żaden.

Pan Feliks, wnuk męża i syn Marka, mówi, że jego ojciec podobno chciał

odpisać, tylko nie wiedział co. Takie tam gadanie. Prosta kobieta wie, jak napisać list, a pan profesor nie wie, jak odpisać. W końcu zamiast bawić się w pisanie, mógł po prostu przyjechać na kilka godzin, bo o to mi tylko chodziło.

Rozgadałam się, przepraszam, ale rodzina Kurczyłłów dała mi się tak we znaki, że ledwie zaczynam mówić o jej członkach, ponosi mnie złość.

Komisarz nie miał za złe Zofii Kurczyłłowej, że ją ponosiło. Poprosił o sprawdzenie, kim był nocny amant Cieplakowej, i obiecał niebawem wpaść.

Klarowne i logiczne zeznania kobiety w jednym miejscu poważnie mu zazgrzytały. Zdążył już nabrać przekonania, że Maciej Cieplak z całą pewnością spędził wieczór w domu. Noc może nie, ale wieczór tak. Najchętniej pogadałby z samym Cieplakiem, co wymagało podjechania do firmy

szwalniczej. Zawahał

się, czy jechać najpierw do Mirabelli, czy zajrzeć do sąsiadów z naprzeciwka.

Zdecydował się na sąsiadów, wyszedł na ulicę i wpadł na Izę Bulwicką wracającą z zakupami. Krótka rozmowa wystarczyła, by chwilowo zrezygnował

z wyprawy do szwalni.

Iza była rozszalona na męża. Poprzedniego dnia wyjechał tropić koziołka i tak się w lesie zasiedziało, że wrócił późną nocą, kiedy ona już spała. Zerwał się skoro świt i znów zaczął nawijać o koziołku. W domu obowiązywał

kategoryczny zakaz snucia krwawych opowieści, więc tylko napomknął, że wieczorem zwierzę zranili, teraz jadą dobić. „Sam jesteś stary, głupi kozioł -

powiedziała ze złością. - To ciebie należałoby dobić za bezmyślne kłamstwa i krętactwa. Co ty plotłeś komisarzowi o komórce Macieja? Że zgubił? To na jaki numer dzwoniłeś, żeby go uprzedzić o wypadku Mirabelki? Wszystko się sypnie i wylądujesz jako pierwszy podejrzany”. Jacek zachnął się, pytanie żony pominął milczeniem, za to w złości powiedział o jedno zdanie za dużo:

„Zabraniam ci mieszać się do śledztwa i pod żadnym pozorem nie pozwalam mieszać w to Daniela”. Wkurzył ją na dobre. Co do Daniela mogła się zastanowić, natomiast kategoryczny zakaz pod swoim adresem uznała za idiotyczny i przekraczający męzowskie uprawnienia. Rzuciła to Jackowi prosto w twarz. On też się wkurzył, ale już bardziej żył koziołkiem niż awanturą, nie zdążył się rozkręcić i pojechał. Koło ósmej zadzwonił gdzieś z głębi lasu i kazał

jej natychmiast wieźć klucze do szwalni.

Maciej, który zawsze rano otwierał zakład, tego dnia był nieuchwytny.

Ludzie z porannej zmiany stali przed zamkniętymi drzwiami i szukali pomocy u drugiego współnika, choć ten był właśnie na urlopie.

Iza wsiadła do samochodu i pojechała. Mogła się wściekać, że Jacek bywa niepoważny i śmieszny, jednak tam, gdzie w grę wchodziły obowiązki, nie było miejsca na dąsy. Zawiozła klucze, otworzyła pracownikom szwalnię, ale nie mogła się pozbyć wrażenia, że jest wykorzystywana. Jeden dureń dobijał

koziołka w lesie, drugi pozwalał się dobijać jakiejś panience, a ona pędziła z kluczami przez całe osiedle niczym goniec. Podsycała w sobie tę złość, podsycała, aż wreszcie wracając ze sklepu z zakupami, zaczęła rozwodzić się z mężem. Chwilami miała go serdecznie dosyć, i to właśnie była taka chwila. Nie chodziło o to, że po trzydziestu kilku latach małżeństwa chciała nadzorować każdy krok ukochanego mężczyzny, a może jeszcze liczyć mu zmarszczki.

Nadzorcą nie była nawet w młodości, jednak w ich związku to ona wciąż musiała z czegoś rezygnować i swoje plany podporządkowywać planom polowań. Rzadko spędzali wspólnie

weekendy, nie jeździli razem na wczasy ani na wycieczki. Iza nauczyła się w końcu organizować sobie czas wspólnie z córkami, póki były małe, i czuła się trochę tak, jakby już była rozwiedziona.

Teoretycznie męża miała, i na teorii się kończyło. Dlatego od czasu do czasu rzucała go przynajmniej w myślach, a przy okazji uwalniała się od Cieplaków.

Dom, w którym mieszkała z mężem, należał od trzech pokoleń do rodziny Bulwickich, więc to ona musiała się wynieść. Pakowała rzeczy osobiste do dwu, trzech toreb podróżnych, wsiadała do swojego samochodu i odjeżdżała przed siebie... to znaczy gdzieś tam jechała, bez wyraźnego celu, byle dalej od Bulwickiego. Miała właśnie wnieść ostatnią torbę, kiedy przed domem Zofii Kurczyłowej natknęła się na komisarza. Szedł do Szymków, ledwie jednak wspomniała mu o Cieplaku, zawrócił i odprowadził ją do domu.

- Zdarzyło się już kiedyś, żeby Cieplak nie przyszedł do pracy? - spytał.

- Dwa, może trzy razy, nie więcej. Jeśli chodzi o dyscyplinę pracy, on jest bardzo odpowiedzialny. Czasem bardziej od mojego Jacka, bo nie ma tak czasochłonnego hobby, jakim jest polowanie. Pan też ma jakieś hobby?

- Czemu pani pyta?

- Bo jestem wściekła na męża, a jak trochę tę wściekłość rozłożę na innych mężczyzn, to mi będzie lżej.

Więc ma pan, czy nie?

- Mogę powiedzieć, że mam. Lubię motocykle.

- O matko! - jęknęła. - Ja wyszłam za dubeltówkę, pana żona za harleya, nie wiem, która z nas trafiła gorzej. Nie znoszę polowań, a pańska żona lubi szybką jazdę?

- Nie za bardzo.

- No cóż, ma dwa wyjścia: przyzwyczać się lub rozwieść. Mówmy raczej o Cieplaku.

- Zgoda! - westchnął z ulgą. - Domyśla się pani, gdzie Cieplak mógł się zatrzymać? Zofia Kurczyłowa twierdzi, że najprawdopodobniej nie nocował w domu.

Iza bezradnie pokręciła głową. Niewiele wiedziała o znajomych Cieplaka i Cieplakowej. Nie lubiła tej pary ani razem, ani oddzielnie, więc ograniczyła kontakty do minimum. Bardziej już się nie dało, bo przeprowadzka czy zmiana firmy nie wchodziły w rachubę. Odkąd przestała słuchać przechwałek Maćka i tokowania Mirabelki, była o wiele zdrowsza.

- W szwalni pracuje taka Mariola Żurek, brygadzistka - powiedziała po namyśle. - jeszcze do niedawna Cieplak bardzo ją faworyzował, co denerwowało mojego męża. Mówił, że jawne wyróżnianie jednego pracownika źle działa na zespół. Tak długo truł Cieplakowi głowę, aż tamten podobno zrozumiał. Wątpię, żeby Cieplak cokolwiek zrozumiał, dlatego uważam, że warto

porozmawiać z tą Mariolą. Dzisiaj, kiedy otwierałam szwalnię, była zaskoczona tak samo jak wszyscy, stąd wniosek, że szef u niej nie nocował.

Może dziewczyna przypadkowo coś wie o swoich konkurentkach i w złości się wygada.

Komisarz Rębowicz roześmiał się, choć sytuacja wcale nie była zabawna.

- Uważa pani, że kobieta w złości zdradzi każdą tajemnicę?

Iza wzruszyła ramionami.

- Cieplak nie jest kobietą, a każdą tajemnicę zdradzi, oczywiście przy założeniu, że w grę wchodzi kochanka, awans lub bezinteresowna zazdrość. Pan próbuje myśleć starymi kategoriami: kobiety to intrygantki i plotkarki, a mężczyźni to uosobienie dyskrecji. Nawet jeśli kiedyś, w zamierzchłych czasach, tak właśnie było, to już nie jest.

Zatracają się różnice między płciami. Te anatomiczne pewnie jeszcze nie, ale psychiczne całkowicie. Kobiety klną, piją i utrzymują rodziny, mężczyźni intrygują, roznoszą ploty i depilują sobie klatkę piersiową.

- Niech mi pani zdradzi - poprosił Rębowicz - dlaczego w nazwie firmy mówi się o żonie jednego tylko wspólnika.

- Myśli pan, że lepsza byłaby jakaś Izamira? - spytała, nie tając rozbawienia.

- No powiedzmy...

- Przecież tak właśnie jest. Mira - od Mirabelki, - bella od dawnej formy Izabella, a że całość brzmi niemal identycznie jak przybrane imię Cieplakowej, to już czysty przypadek. A może nie tyle przypadek, ile pech. Cieplak mocno w tym czasie podpadł żonie i w ten prosty sposób próbował jej się podlizać. Nie mieszałam się do nazwy, bo byłam przeciwna spółce. Dla mnie mogłoby się nazwać Stringami Kopciuszka i też byłoby ślicznie.

Stanęli właśnie przed furtką Bulwickich. Komisarz zdradzał spore zainteresowanie historią firmy, więc Iza miała do wyboru albo przenieść rozmowę do swojego domu, albo dalej spacerować po ulicy z przystojnym mężczyzną, budząc zainteresowanie sąsiadów. Po przeciwnej stronie Piołunowej firanki drgały niemal konwulsyjnie, w innych domach pewnie też.

- Zapraszam pana do siebie na mrożoną kawę. Historia jest dość długa i nie da się jej opowiedzieć między furtką naszą i pani Zofii.

Posadziła gościa na tarasie i zajęła się przygotowaniem obiecannej kawy. Ubijała śmietanę i myślała, jak opowiedzieć o fuzji dwu przedsiębiorstw, żeby było logicznie i prawdziwie. Sama często się zastanawiała, po jakie лихо Jackowi była spółka. Niby wszystko rozgryzła, niby wszystko wiedziała, lecz pojąć wciąż jeszcze nie mogła. Pod koniec lat dziewięćdziesiątych, po różnych próbach z prywatnym biznesem, Jacek stworzył Stylową Modę, firmę pracującą na zlecenie odbiorców niemieckich. Z dogadaniem się nie miał najmniejszych kłopotów, bo język znał jak swój

własny. Niemcy dawali materiały, nici, guziki i wykroje, Polacy dobrą siłę roboczą.

Jacek bardzo starannie skompletował załogę, poza tym płacił uczciwie, więc chętnych do pracy nie brakowało.

Interes szedł świetnie. Bulwickim nigdy źle się nie powodziło, oboje byli wykształceni i zaradni, ale dopiero Stylowa Moda przeniosła ich z rzędu ludzi zamożnych do grona bogatych. Jacek nie należał do pracoholików, codzienna ciężka robota od rana do wieczora nie była dla niego przyjemnością, a jedynie sposobem zdobycia pieniędzy. I kiedy wreszcie bez żadnych kłopotów i pożyczek mógł się wybrać na safari, to na przeszkodzie stanął brak czasu.

Wkurzał się coraz częściej, bo safari śniło mu się po nocach. Zaczął namawiać żonę, żeby rzuciła pracę w starostwie i dołączyła do jego firmy jako zastępca szefa. Iza była architektem z zawodu i mądrą kobietą, która dobrze знаła swojego męża. Intencje Jacka były czytelne jak elementarz. On nie szukał

zastępcy, on szukał kogoś, kto przejąłby większość obowiązków w firmie, a jakby się dało, to i wszystkie. Wiadomo, że taki zastępca powinien być człowiekiem pewnym i godnym zaufania, więc wskazał palcem na żonę i uważał, że rozwiązał swój największy problem. Czarował, kusił i nęcił całkiem na próżno. Krzyczał: „Nie znam nikogo, kto nie chciałby pracować na swoim!”.

Iza odpowiadała spokojnie: „Przestań kłamać, przecież znasz mnie”. Zapała się i nie chciała zostać jedynym żywicielem rodziny. Jacek był rozżalony. „Chcesz, żebym się zaorał na śmierć?”, pytał. Tego akurat nie chciała, chociaż praca we własnej firmie miała jeden plus: nie zostawiała wiele czasu na polowania. Ona jednak była realistką, wiedziała że sześćdziesięcioletniego faceta nie da się zmienić ani przemodelować. Radziła: „Przyjmij szefa produkcji czy kierownika szwalni, jak go zwał, tak zwał, w każdym razie kogoś, kto będzie umiał cię zastąpić. Masz prawo; do urlopu, a brygadystki nie pociągną produkcji”.

Bulwicki niby nie miał węża w kieszeni, niby rozumiał, że ludziom za dobrą pracę należy się dobra zapłata, a jakoś w tym konkretnym wypadku wciąż miał

kłopoty ze znalezieniem odpowiedniego człowieka. Cztery lata z rzędu nie brał

urlopu, nadwątlone siły ratował jedynie w czasie długich weekendów i wyraźnie tracił radość życia.

Gdzieś dwa lata po otwarciu Stylowej Mody, dwie przecznice dalej Maciej Cieplak, który lubił się trzymać blisko Bulwickiego, otworzył firmę szwalniczą Nasza Praca. Szwalnia Cieplaka była nastawiona wyłącznie na zysk.

Były jakie hale, były jakie maszyny, no i kadry w drugim, może nawet trzecim gatunku. Cieplak z upodobaniem powtarzał, że mała przyuczona do szycia robiłaby dokładnie to samo co jego ludzie. O dziwo, przy tych minimalistycznych założeniach Nasza Praca znalazła sobie odbiorców i całkiem nieźle prosperowała, a po roku dwa tysiące trzecim zaczęła prosperować znacznie lepiej od Stylowej Mody. Miała dużo niższe koszty, żyłowała pracowników i nie inwestowała w rozwój. Początkowo Bulwickiemu bardzo się to nie podobało. Każdego wieczoru, przy kolacji, wyśmiewał

przed Izą głupotę i pazerność Macieja Cieplaka, wróżył mu rychły oraz tragiczny koniec.

Wiadomo, że z takiego gadania niewiele wynika. Aż któregoś dnia, w porze kolacji, obwieścił, że wchodzi w spółkę z Maciejem. Iza parsknęła śmiechem, raczej mizernym śmieszkiem, bo żart nie był specjalnie zabawny. Jacek zachował powagę.

Dołożył sobie sałatki z tuńczykiem i jeszcze raz powtórzył to samo. Trzy miesiące później zamiast dwóch firm była już jedna: Mirabella. Tak mniej więcej wyglądała historia słynnej na całą okolicę fuzji. Iza opowiedziała ją komisarzowi, unikając zbędnych szczegółów i nie waląc w męża jak w kaczy kuper, choć mu się należało.

- Czyj model firmy zwyciężył: Cieplaka czy pani męża? - spytał

komisarz.

Po momencie wahania Iza przyznała, że Cieplaka, natychmiast jednak dodała, że Jacek mocno się temu sprzeciwiał.

- Widać jednak niewystarczająco mocno - mruknął komisarz.

W duchu Iza musiała przyznać mu rację. Wiedziała, choćby od byłych pracowników, że Cieplak wciąż zmniejszał koszty i ludzi traktował jak śmiecie.

Powiedzonko o małpie przyuczonej do szycia stało się powszechne. A że w okolicy panowało wielkie bezrobocie, to Cieplak był górą.

- Powiem panu, że dla mnie jest to porażka - westchnęła. - Przy mężu nie mogę złego słowa powiedzieć na firmę, bo zaraz słyszę, że to moja wina, że gdybym została współnikiem Styłowej Mody, wszystko byłoby po staremu.

Znam się na paru rzeczach, jednak moje krawieckie umiejętności zaczynają się i kończą na przyszyciu guzika. Wiem, że nie święci garnki lepia, ale bez przesady. Mam swój zawód i po dziurki w nosie cudzej niefrasobliwości.

Nie powiedziała mężowskiej, tylko cudzej, żeby nie wyglądało na ciągłe podgryzanie. Zaraz też dodała, że to bardzo uczciwy i prawy człowiek, który trochę sobie nie radzi z wielkim krętaczem, jakim jest Cieplak.

- Pani Zofia Kurczyłowa nie nazywała Cieplaka krętaczem - zauważył

komisarz. - Z jej słów wynikało, że zięć w interesach nie oszukiwał.

- Ach, ta pani Zofia! - mruknęła Iza. - Dla pani Zofii; każdy, kto nie pochodzi z rodu Kurczyłów, to człowiek szlachetny. Zresztą ona mogła mówić tylko o spłacie domu, bo wątpię, żeby cokolwiek wiedziała o firmie.

Ja z kolei niewiele wiem o spłacie poza tym, że podobno rzeczywiście Maciej wywiązał się z

umowy. Jednak domu to coś zupełnie innego. i Zamilkła na chwilę. Musiała dobrze się zastanowić* jak opowiedzieć komisarzowi starą historię sprzed wielu lat, żeby nie wypaczyć jej sensu złośliwymi uwagami*

Tak się składało, że szkolni koledzy, Jacek i Maciej, pochodzili z całkiem różnych środowisk. Biegunowo różnych. Jacek był potomkiem starej, świetnie wykształconej inteligencji. Dziad architekt pobudował piękny dom, który odziedziczył jego syn, wzięty prawnik. Mecenas Bulwicki, ojciec Jacka, nie miał kłopotów z utrzymaniem rodziny nawet po wojnie, kiedy ludziom żyło się skromnie i byle jak. Natomiast rodzina Macieja Cieplaka należała do biedoty wiejskiej. Na wsi im się nie wiodło, więc zjechali do miasta, by przez kolejne lata należeć do biedoty miejskiej. Rodzice z kupą dzieciaków koczowali w budzie przerobionej z jakiegoś warsztatu. Z tego, co zapamiętał Jacek, było to jedno pomieszczenie przedzielone ciemną kotarą. Za kotarą prawdopodobnie znajdowała się kuchnia. Śmierdziało wilgocią i biedą. Nic więc dziwnego, że kiedy Maciek pierwszy raz przekroczył próg domu Bulwickich, a było to w drugiej klasie liceum, stanął jak wryty. Kto wie, czy już wtedy nie zakodował

sobie w głowie, że w przyszłości musi mieć taki sam dom, a jak się da, to jeszcze trochę większy. I postawił na swoim. Chłopski upór i wielka determinacja potrafią zdziałać cuda. Prawdopodobnie już wtedy założył sobie jakiś plan. Zaczął odwiedzać Jacka w soboty po lekcjach. Nie przesiadywał w domu, nie udzielał się towarzysko, tylko wyciągał kolegę na spacer po okolicy.

W tym czasie Michelin nie był jeszcze dzielnicą Włocławka, lecz podmiejską wsią, która aspirowała do miana letniska. Wille, w większości przedwojenne, stały wśród sosnowego lasu i w czasie wakacji chętnie użyczaly gościny mieszczuchom. Był to jeden ze sposobów na podratowanie budżetu coraz biedniejszych właścicieli, choć niektórym wciąż wiodło się nieźle. Maciej rozglądał się uważnie, czasem zagadywał do ludzi na podwórkach i dość szybko zaczął u nich pracować dorywczo. Rąbał drewno, kopał ogródki, naprawiał

ploty, i nie dość, że miał z tego parę groszy na własne potrzeby, to jeszcze zdobywał informacje. W końcu trafił do willi Władysława Kurczyłły.

Oczywiście Kurczyłło miał w nosie takich małych pomocników jak Maciek, ale jego gospodyni, Zofia Szarłat, doceniła siłę i pracowitość chłopaka. Pewnie już wtedy go polubiła, bo jakimś cudem wkręcił się do jej domu i poznał córkę.

Trzeba mu oddać, że nie śpieszył się z deklaracjami ani ze ślubem. Po szkole odsłużył wojsko, potem pracował\ tu i ówdzie, widywało się go z różnymi dziewczynami, ale Mirabelkę przez cały czas trzymał w odwodzie.

Zakochał się w niej tuż przed trzydziestką, a dokładnie; wtedy, kiedy pan Władysław poprosił Zofię o rękę. Star-: si państwo wzięli ślub w czerwcu, młodzi w grudniu.;

Mały Kacper był już wtedy w drodze.

Rębowicz pilnie słuchał. Nie przerywał, nie potakiwał, patrzył na rozmówczynię i wszystko notował w pamięci.'

- Wie pan - powiedziała Iza. - Wczoraj babci Barbarze trochę się pokręciło, kiedy poczęstowała pana historyjką o koczowaniu Cieplaków gdzieś tu, pod bokiem.

Przez jakiś czas Maciek mieszkał z Mirabelką w mieszkaniu pani Zofii.

Mieszkanie to brzmi dumnie. Zofia odziedziczyła po ciotce czy babce mały pokój z sienią w takiej przybudówce. Tam przez jakiś czas koczowali młodzi.

Nie dłużej niż pół roku, czyli od jednego ślubu do drugiego. Od grudnia Maciej miał wymarzony dom i... słodką Mirabelkę na karku.

- Myśli pani, że przewidział ślub Zofii Szarłat? - W głosie komisarza słychać było niedowierzanie.

- Nie, raczej czekał na szczególną okazję, na jakieś mieszkanie za opiekę albo za pomoc. Starsi właściciele domów szukają czasem kogoś takiego.

Szczęście mu dopisało, bo lepiej trafić nie mógł. Pani Zofia szczerze go poparła i powiem więcej, nie można jej poparcia lekceważyć. Zajmowała się domem jeszcze za życia Julii Kurczyłowej, znała się na podatkach i drobnych remontach, była wiarygodna. Sam Kurczyłło był miłym, kulturalnym panem, wielkim dżentelmenem, ale tylko wobec obcych kobiet. Znał się na legalizacji termometrów czy tam manometrów i pasjonował historią starożytną. Godzinami potrafił rozprawiać o wojnach peloponeskich czy Termopilach. W życiu codziennym był wyjątkowym skąpcem, takim, co to chciałby zjeść ciastko i mieć ciastko. Jemu mogło się podobać, że ktoś za darmo będzie dbał o dom, odśnieżał, remontował i tak dalej. Z panią Zofią też ożenił się ze skąpstwa i z wygodnictwa. Płatną dochodzącą gospozię zamienił na żonę i miał trzy w jednym. Na dodatek była to osoba młoda, silna, która tyle go kosztowała, ile zjadła. Młodsza od męża ponad dwadzieścia lat, pan to czuje? Można jej tylko współczuć.

- Coś jednak na tym małżeństwie zyskała - powiedział komisarz Rębowicz, niemile dotknięty wyliczeniami Izy. Sam był starszy od swojej żony szesnaście lat i nieco inaczej patrzył na podobne mariaże.

- Tylko współczuć - powtórzyła Iza. - Nawet Henia Pełka to rozumie. Ze świecą szukać drugiego takiego agenta jak pan Władysław. Oddychał i żuł

samodzielnie, o resztę dbała pani Zofia. Ten człowiek szklanki po sobie nie umył, wody nad wanną nie zakręcił, bo to należało do żony. Nie wiem, jak było z obsługą WC.

Byłabym bardzo zaskoczona, gdyby się okazało, że sam uruchamiał spłuczkę.

Komisarz Rębowicz natychmiast zmienił temat.

- Wczoraj pani sąsiadka, ta staruszka, wspomniała coś o morderstwie ze względów uczuciowych. Domyśla się pani, o co tu chodzi?

- Rzeczywiście coś takiego mówiła, ale to jest przekorna staruszka.

Ogólnie mówi to, co myśli, chociaż ostatnio nie zawsze myśli logicznie. Pan Leszek Kurczyłło i Emilka więcej panu powiedzą.

- Czyli znowu wróciliśmy do Kurczyłłów. Czy Marek, syn Władysława, często odwiedzał ojca?

- Profesor Marek Kurczyłło jest rzadkim oryginałem.

Obraził się na ojca za to, że ten, żeniąc się z panią Zofią zbrukał pamięć matki. Można by powiedzieć: wyjątkowo surowy człowiek o wyjątkowo surowych zasadach, prawda? Filozof z wykształcenia. No to proszę sobie wyobrazić, że ten filozof przed rokiem wziął sobie trzecią żonę;?

Wszystkie żony żyją i każda kolejna jest dużo młodsza od poprzedniej. Ta pierwsza urodziła mu syna Feliksa.

Widać matka rodzona i matka syna to dwa całkiem różne gatunki matek.

Moim zdaniem profesor Kurczyłło ma poglądy bardzo wygodne dla siebie, i to mu chyba wystarcza. Nie przyjaźnimy się, chociaż Jacek utrzymuje z nim kontakty. Od czasu do czasu dzwonią do siebie, a jak im pasuje, to spotykają się w Warszawie. Kiedyś byli sobie bliscy niczym bracia i zdani na siebie z prostego powodu: w bliskim sąsiedztwie nie było innych dzieci w ich wieku. Co prawda Kurczyłło jest trochę starszy, ale to podobno nie miało znaczenia. Z

latami młodzieńcza przyjaźń zbladła. Ja jakoś nie zdołałam przekonać się do Marka. Teraz czekam, kiedy zacznie podważać testament ojca, bo że zacznie, to pewne. Sądzi pan, że on... że Kurczyłłowie mogą mieć coś wspólnego z wypadkiem Mirabelki?

Komisarz Rębowicz rozłożył ręce. Chwilowo jeszcze nie wiązał

Kurczyłłów z pobiciem Cieplakowej, co nie znaczy, że ich wykluczał. Nikogo nie wykluczał, nawet swojej rozmówczyni, sympatycznej Izy Bulwickiej. Byłby, co prawda, bardzo zdziwiony, gdyby się okazało, że to jej wypielęgnowane dłonie zadały Mirabelce dwa ciosy w głowę, jednak nie takie cuda już widział w swojej pracy.

- Czy Cieplakowa piła? Pytam, rzecz jasna, o alkohol, nie o wodę.

- Cieplak na pewno lubił wypić, i to wcale nie tak mało, natomiast Mirabelka raczej nie.

- Była abstygentką?

- Tego bym nie powiedziała. Nie odwracała kieliszka do góry dnem i jeśli trafiła się okazja, sączyła jakieś wino lub likier. Nie musiała pić, żeby zachowywać się niepoczytalnie. Była solidnie szurnięta, tak bym to określiła.

To znaczy jest solidnie szurnięta, bo przecież ona żyje.

Mam nadzieję, że wyzdrowieje i opowie nam o wypadku. Maciej też pewnie niedługo przyjedzie i wszystko powinno się samo wyjaśnić.

Jarosław Rębowicz nie był aż takim optymistą jak Iza Bulwicka. Z

doświadczenia wiedział, że samo to jedynie może wykipieć mleko. W pracy dochodzeniowej rozwikłanie sprawy nawet na pozór prostej wymagało sporo zachodu i umiejętności. A jeszcze jak na złość współpracownicy nie tylko korzystali z planowych urlopów, ale także zafundowali sobie całkiem nieplanowe zwolnienia lekarskie. Rębowicz został sam na sam ze sprawą Cieplakowej. Na razie miał tylko jedną pewną wiadomość, a mianowicie doniesienie ze szpitala. Beata Cieplakowa nie wybudziła się jeszcze ze śpiączki spowodowanej urazem głowy i zatruciem alkoholowym. W chwili przyjęcia na oddział intensywnej opieki medycznej miała trzy i trzy dziesiąte promila alkoholu we krwi, czyli stanowczo za dużo jak na kobietę pijącą mało i rzadko.

Jedna rana głowy, ta bardziej zakrwawiona, wydawała się powierzchowna i niezbyt groźna, natomiast druga prawdopodobnie spowodowała wstrząśnienie mózgu.

Chwilowo komisarz mógł tylko pomarzyć o rozmowie z Mirabelką. Jak na złość zapodział się też Cieplak, jeśli nie główny podejrzany, to w każdym razie człowiek, który miał jakiś tam motyw, żeby rozprawić się z żoną.

W willi przy Piołunowej noc z soboty na niedzielę musiała być dość niespokojna i komisarz dałby wiele, żeby się dowiedzieć, kto płątał się po podwórku i w jakim celu. Wróciwszy od Izy Bulwickiej, wstąpił do sąsiadów mieszkających na wprost Cieplaków. Zastał jedynie panią domu, Ewę Szymkę, która usypiała kilkumiesięczne niemowlę. Nie wydawała się zachwycona wizytą, spoglądała znacząco to na wózek, to na stertę bielizny do prasowania, jakby dawała do zrozumienia, że czasu nie ma w nadmiarze. Rębowicz się nie zrażał. Opowiedział o Zuzi oraz jej nocnych koncertach, czym przełamał

pierwsze lody. A kiedy się okazało, że w małym palcu ma wiedzę o wzdęciach, biegunkach oraz naparach z koperku, nie sympatii była już bardzo wyraźna i pani Ewa chętnie włączyła się do śledztwa.

- Tłumaczyłam pani Izie i temu policjantowi od pani Barbary, że my przesiadujemy wyłącznie na tarasie z tyłu domu i nie widzimy, co się dzieje na Piołunowej.

Od frontu nie da się odpoczywać z uwagi na Gapola.

Gołym okiem widać, że ten pies cierpi na szczekające ADHD. Tak się wierci, że od samego patrzenia bolą oczy. Ta kobieta oczywiście się nie bała.

- Jaka kobieta? Pani Iza? - spytał lekko oszołomiony komisarz.

Ewa Szymka należała do osób, które tym samym tonem wypowiadały myśl główną i wszystkie poboczne skojarzenia, więc czasem trudno było uchwycić właściwy sens przekazu.

- Nie, Iza była wczoraj na kawie z tym policjantem od pani Barbary i pytali o to samo co pan.

Kobieta przy furtce była inna, zaraz powiem. Weszłam do kuchni po piwo dla męża i spojrzałam na ulicę. Okno wychodzi na Piołunową. Nie podglądałam przecież, tylko spojrzałam. Przed furtką Cieplaków stała kobieta. Wyraźnie chciała wejść, machała, dawała znaki, ale Cieplak jej nie wpuścił. A ona jakby się uparła, stała i stała. Zamachnęła się nawet ręką, jakby próbowała go uderzyć, ale on był za daleko. To był taki gest symboliczny. On zniknął, a ona jeszcze stała. Wydała mi się znajoma, chociaż pewności nie miałam. Dopiero kiedy się odwróciła i rozejrzała na boki, zobaczyłam jej wielki biust i wtedy już byłam w domu. To ta opiekunka pani Barbary. Nazwiska nie znam, a na imię ma Halina. Spotykamy się w: sklepie i na ulicy, mówimy sobie dzień dobry, i tyle.

- Czy widziała pani w sobotę wieczorem Cieplaka?

- Widziałam. Rano wyjechał na ślub, a wieczorem wiercił się po podwórku razem z Gapolem i chyba jeszcze takim jednym... Nie psem, znaczy, tylko facetem.

Na pewno tam było dwu mężczyzn. Ten drugi też mi mignął parę razy.

Był drobniejszy, chudszy od Cieplaka i miał na głowie chustkę zawiązaną po piracku. Nic więcej o nim nie powiem. Ileż to można zapamiętać z takiego mignięcia? Zresztą gdybym wiedziała, że to się okaże takie bardzo ważne, to zrobiłabym facetowi zdjęcie. Przy dobrym sprzęcie to żadna sztuka.

- Czy w sobotę wieczorem ktoś jeszcze kręcił się przy furtce Cieplaka lub po podwórku?

- Być może, bo Gapola było słychać nawet na naszym tarasie. Tylko wie pan, gdyby gospodarzy nie było w domu, to ja bym wysłała męża, żeby zerknął, co tam się dzieje. Cieplak jednak był, więc nie wypadało wściubiać nosa w cudze sprawy.

- Bardzo ładne sąsiedzkie podejście - zgodził się Rębowicz - choć nie do końca przemyślane. Czasem warto zainteresować się życiem sąsiadów, czy nawet wkroczyć w nie, jeśli zachodzi potrzeba. Przepadło, teraz już nic nie poradzimy. A samochody jakieś kręciły się koło bramy? Może widziała pani taksówkę?

- Przykro mi, nic więcej nie zauważyłam - powiedziała pani Ewa zmartwionym głosem. Widać współdziałal w śledztwie bardziej ją pociągał niż prasowanie. Po pierwszej niechęci nie było już śladu. Z własnej woli obiecała, że jeśli cokolwiek sobie przypomni, to na pewno zadzwoni.

Komisarz wychodził od Szymków z niejasnym przeświadczeniem, że Iza Bulwicka próbuje prowadzić śledztwo na własną rękę. Nie było to miłe odkrycie. Akurat jej nie podejrzewał o chęć konkurowania z policją, już prędzej detektywa Kurczyłłę, a bardzo nie lubił, gdy ktoś obcy pętał mu się pod nogami.

Spotkanie z panią Haliną odłożył na później i pojechał do Mirabelli.

Łudził się, że może Cieplak już tam na niego czeka.

Niestety, nie czekał, i wyraźnie widać było, jak harcują myszy pod nieobecność kota. Tylko nieliczne szwaczki siedziały przy maszynach, a jeszcze mniej liczne pracowały. Kobiety i dziewczyny stały w

grupkach, głównie na korytarzu. Jedne żywo o czymś rozprawiły, inne wyraźnie się nudziły.

Rębowicz podszedł do ślicznej czarnulki, która przeglądała się w szybie okiennej. Błysnął legitymacją, spytał o panią Mariolę Żurek.

- To brygadzystka - powiedziała ślicznotka i znowu utkwiała oczy w szybie. Jakiś kosmyk na głowie nie leżał tak, jak powinien, co sprawiało dziewczynie sporo kłopotu. Rębowicz skinął głową na znak, że wie, kim w firmie jest pani Mariola.

- Mogłaby ją pani odnaleźć? - poprosił.

- No mogłabym - przytaknęła, nie ruszając się z miejsca. - Pan jest z prawdziwej policji?

- To jest jeszcze jakaś nieprawdziwa? - spytał zaskoczony.

- No pewnie! - Panienka zatrzepotała wdzięcznie rzęsami. - Na przykład serialowa.

- Całkiem zapomniałem - wyjaśnił skruszony Rębowicz. - Proszę zapewnić panią Żurek, że ja jestem z tej prawdziwej.

Tym razem czarnulka omiotła go powłóczyстым spojrzeniem i bez pośpiechu zniknęła wśród kobiet. Niektóre już wcześniej zauważyły obcego mężczyznę, zerkały ciekawie i coś tam sobie szeptały.

Mariola Żurek okazała się wysoką, masywną trzydziestolatką o czerwonych włosach. Nie rudych, nie kaszta* nowych, tylko czerwonych i upiętych w fantazyjny kok.

Nie była ładna, miała pospolitą twarz o grubych rysach. Na pierwszy rzut oka przypominała trochę Mirabelkę. Najwyraźniej Cieplak uparcie trzymał się jednego typu kobiety. Mężczyźni miewają różne dziwne upodobania i pomysły.

Rębowicz uśmiechnął się na wspomnienie kolegi z działu, podkomisarza Mietka Uchalskiego. Ten na przykład podrywał wyłącznie panny o imieniu Magda.

Żonę miał też Magdę i dzięki temu nigdy nie wpadł na głupiej pomyłce z imieniem. Na szczęście to nie były zmartwienia komisarza. Nie miał zamiaru zdradzać ani tym bardziej zmieniać swojej Justyny, więc nie interesowały go męskie sztuczki. Mariola Żurek bardzo mu się nie podobała jako kobieta, i to wszystko.

- Szukam współwłaściciela firmy, Macieja Cieplaka - powiedział na powitanie.

- Nie ma go dzisiaj w pracy - mruknęła Mariola z miną, która mówiła dużo więcej od słów.

Komisarz mógł sobie dośpiewać, że gdyby brygadzystka dorwała szefa, to jego los byłby ciężki, oczywiście proporcjonalnie do zażyłości.

- O, to widać gołym okiem, choćby po dyscyplinie pracy. Liczę, że pani pomoże mi go odnaleźć - oznajmił stanowczym tonem.

- Ja? Dlaczego akurat ja? - zachnęła się ze złością.

- Gdyby nie była pani bystra i inteligentna, Cieplak nie zrobiłby pani brygadystką. - Nie dał jej ochłonąć po komplementach, nie zawiesił głosu, tylko kuł żelazo póki gorące. - Jako osoba znajdująca się blisko szefa musi pani znać przynajmniej niektórych jego znajomych lub znajome. Gdyby sprawa nie była gardłowa, nie zawracałbym pani głowy.

Na niepiękną twarz Marioli Żurek widać było głębokie zastanowienie.

Zmarszczyła czoło, przygryzła wargę.

- Ja to myślałam - powiedziała, rozciągając niepotrzebnie słowa - że on jest u takiej jednej w mieście. Ale tamta dzwoniła godzinę temu i chciała z nim rozmawiać, co znaczy, że nie jest u niej.

- Kim jest ta kobieta? Zna ją pani?

- Mówią na nią Agata, a na nazwisko to ma Sitak.

Jest kelnerką w tej wielkiej restauracji koło dworca. Nie wiem, gdzie mieszka. Ma dzieciaka.

- Z Cieplakiem?

- Nastąpiła do naszej firmy już z dzieckiem i nie wyglądało na to, żeby się wcześniej znali. Będzie rok, jak odeszła. Widziałam ją raz z szefem w mieście.

Wychodzili z naleśnikami.

- Ile może mieć lat?

- Szef?

- Nie, Agata Sitak.

- A, ona. Po trzydziestce. Nie wygląda na swoje lata.

Te chude zawsze wyglądają trochę młodziej.

- Wie pani, gdzie mieszka Cieplak?

- No... wszyscy to wiedzą. Niedaleko drugiego przy-; * stanku.

- Była pani tam kiedyś?

- Nie, nie! - krzyknęła, jakby sama myśl o odwiedzinach u szefa wydała jej się nedorzeczna lub grzeszna,]

- Szef ma jakichś kolegów, przyjaciół?

- Z mężczyznami to on raczej nie przestaje.

- A Jacek Bulwicky, wspólnik?

- E! Wspólnik to tylko z nazwy i z pieniędzy, które bierze. Wpadnie do firmy, pokręci się po hali i już go nie ma. Nikt nie wie, czym się Bulwicky zajmuje, bo wszystkim zajmuje się Maciej, to znaczy Cieplak.

- Ceni pani Cieplaka jako szefa?

- Bo ja wiem? Chyba tak - powiedziała, zerkając niepewnie na boki.

Jej słowa zagłuszył niemiłosierny jazgot. Kobiety, które do tej chwili stały w grupkach, przesuwały się wiedzione ciekawością, krok po kroku. Teraz były na wyciągnięcie ręki i krzyczały jedna przez drugą. Z ich wrzasków dało się zrozumieć, że cały świat nie zna bardziej bezwzględnego i bardziej pazerneho szefa niż Cieplak. Za nadgodziny płaci jak za dniówkę, obcina stawki, nie ceni fachowości i krzywdzi ludzi na każdym kroku.

- I dlatego nie pracujecie? - spytał komisarz.

Mariola Żurek uprzedziła kolejny atak jazgotu.

- Nie mają co robić - wyjaśniła. - Szef zwykle planuje robotę, kroi, a tu nie ma wykrojów, nie ma nic.

Komisarz Jarosław Rębowicz bardzo szybko pożegnał się z pracownikami Mirabelli. Nie był Państwową Inspekcją Pracy, nie mógł ukarać szefa za łamanie kodeksu pracy, natomiast za wszelką cenę chciał tego szefa znaleźć.

Zawrócił na ulicę Piołunową. Ustawił samochód przed furtką Barbary Kurczyłówny i wszedł do ogrodu, z nadzieją, że starsza pani będzie drzemała, co zwolni go z towarzyskich pogaduszek. Nastrój miał coraz bardziej minorowy.

Od rana rozmawiał z ludźmi, a śledztwo nie posunęło się nawet o krok.

Wszystko to razem zaczynało wyglądać coraz dziwniej. Nawet porządnego nieboszczyka nie było. Owszem, ktoś zaatakował Cieplakową w jej własnym domu, we własnej sypialni, i prawdopodobnie był to ktoś, kogo ona знаła.

Niewiele więcej dało się o całej sprawie powiedzieć, poza tym, że ofiara wciąż była nieprzytomna, a jej mąż gdzieś się ulotnił. Zofia Kurczyłowa nie dzwoniła, czyli Cieplak wciąż jeszcze był poza domem.

Emilka pierwsza dostrzegła gościa i zamachała przyjaźnie. Siedziała przy ogrodowym stole z Leszkiem Kurczyłłą i tęgą kobietą, której komisarz wcześniej nie widział. Domyślił się, że jest to Halina Lipka, opiekunka babki.

- A gdzie reszta państwa? - spytał komisarz.

- Babcia zdrzemnęła się w domu - wyjaśniła Emilka - więc jej nie ruszaliśmy, mój mąż musiał wrócić do Torunia, bo szef się za nim stęsknił, a Feliks pojechał odwiedzić ojca w Ciechocinku. Jeśli wszystko ułoży się dobrze, zatrzyma się tam ze dwa, trzy dni. Mamy ich telefony, więc gdyby pan potrzebował...

Leszek przerwał siostrze. Wydawał się mocno czymś poruszony.

- Mieliśmy właśnie do pana dzwonić! - zawołał. - Koniecznie powinien pan porozmawiać z panią Haliną.

Ma całkiem ciekawe wiadomości.

- Czy to znaczy, że pan zaczął niezależne śledztwo? - spytał ironicznie komisarz.

- Bez przesady! - Leszek roześmiał się. - Powiem panu tak: ciągnie wilka do lasu. Jest sprawa, a ja od razu zaczynam węszyć. Jeśli się panu nie przydam, to na pewno nie zaszkodzę.

Komisarz zmełł w ustach złośliwą ripostę. W porę przypomniał sobie o strasznych pustkach w wydziale, o urlopach i połamaniach. Obok siebie nie miał

ani jednego człowieka, który byłby w stanie mu pomóc, więc głupotą byłoby odtrącać wyciągniętą rękę. Poza tym Kurczyłło nie był pierwszym lepszym szeryfem, któremu przedwczoraj ktoś przyczepił metalową gwiazdę. To był

człowiek z wieloletnim stażem w dochodzeniówce.

- Nigdy nie lekceważę pomocników - mruknął komisarz. - Co tam państwo mają w zanadru?

- Udzielmy głosu kobiecie - powiedział Leszek, wskazując Halinę Lipkę.

Lipka poprawiła się w krześle, chrząknęła, chwilę mościła się jak osoby nieprzywykłe do publicznych wystąpień, wreszcie zaczęła mówić.

- Rzadko mam okazję jechać do domu trochę wcześniej, więc kiedy pani Emilka zgodziła się zająć starszą panią, zdecydowałam się na przedostatni autobus. Wysłałam stąd trochę za późno i musiałam się śpieszyć.

Przechodząc obok domu Cieplaków, zobaczyłam pana Macieja.

Zaciekawiło mnie, czemu nie jest z rodziną na weselu. Krzyknęłam „dobry wieczór”, ale on udał, że mnie nie widzi i nie słyszy.

- Długo stała pani przy furtce? - spytał komisarz.

- Wcale nie stałam. Zagadałam do niego, przechodząc.

- Widziała pani Cieplaka? Był sam czy może jeszcze ktoś kręcił się po podwórku?

- Pana Macieja widziałam wyraźnie, ale nikogo więcej tam nie było.

Poszłam swoją drogą, bo czas mnie gonił.

Na rogu, koło apteki, kręcił się jakiś mężczyzna. Jak mi zaszedł drogę, to gotowa byłam wzywać pomocy.

Wyglądał na typowego lumpa. Starszawy, taki pod pięćdziesiątkę, zarośnięty, niechlujny, włosy niby długie, ale pozlepiane w piórka. Na oko bardzo nieciekawe indywiduum. Tylko na oko, bo ledwie się odezwał, strach minął. Był bardzo grzeczny. Przeprosił, że zaczepia na ulicy, i spytał, czy jestem tutejsza. Pomyślałam, że tyle czasu już tu przyjeżdżam, że chyba jestem tutejsza, i kiwnęłam głową. Chodziło mu o adres właściciela firmy krawieckiej Mirabelka. Powiedziałam, że firma nazywa się Mirabella, że ma dwu właścicieli i obydwaj mieszkają przy tej ulicy. Wskazałam nawet ręką, bo staliśmy na rogu.

Zastanowił się chwilę i powiedział, że szuka tego, co ma piękną żonę i psa. No to ja nawet nie pomyślałam o Cieplakach, tylko z miejsca dałam mu numer domu Bulwickich. Pani Iza, choć ma swoje lata, to młodsza jest od Mirabelki i zachowała urodę. Psa też mają ułożonego, nie to co Cieplakowa.

- Czyżby to był ten sam człowiek, który chciał skakać do Bulwickich przez furtkę? - zastanowił się komisarz.

Wszyscy gwałtownie zaprzeczyli. Rozważali już ten wariant i wyszło im, że próba przeskoczenia furtki Bulwickich miała miejsce przed wyjściem Haliny Lipki.

- Ten zdjęty z furtki był młody - wyjaśnił Leszek. - Chwilę stał przy naszym płocie, to go sobie obejrzałem przez kuchenne okno. Szczupły, krótko ostrzyżony w kolorowej koszulce. Normalny trzydziestolatek. Ani oryginał, ani lump.

- Ten mój - uzupełniła Halina Lipka - miał na sobie jakieś drelichy.

Szerokie portki ściągnięte skórzanym paskiem i flakowatą marynarkę na gołym torsie. Był chudy i taki... żyłasty.

- Oprócz furiata na furcie - zażartował komisarz - nikt więcej nie próbował wejść do Bulwickich, czyli co?

Żyłasty w drelichach się rozmyślił?

Emilka aż podskakiwała na krześle, żeby się dorwać do głosu.

- Niech pan posłucha! - zawołała przejęta. - Jak się skręca z głównej ulicy w Piołunową, to pierwszy jest pawilon z apteką i kwiaciarnią, a zaraz potem dom dziadka Władysława. Zatem wytłumaczenie jest tylko jedno: przechodząc obok ogrodzenia, drelichowiec poznał gościa, o którego mu chodziło, i

już dalej nie szukał.

- Gościa, mówi pani? - zastanowił się komisarz. - Powiedziałbym raczej, że to był znajomy Cieplakowej.

Chyba nieprzypadkowo pytał o firmę Mirabelka. Mógł znać żonę, ale męża niekoniecznie.

- Mógł jeszcze znać psa - dorzucił Leszek. - Jeśli poważnie potraktujemy jego pytanie, to powinien znać psa i żonę. O firmie i właścicielach wiedział

niewiele lub zgoła nic.

- To już brzmi lepiej! - Komisarz wyraźnie się ożywił. - Facet zobaczył

psa i po psie trafił do Cieplaka, bo Cieplakowej przecież nie było w domu.

Rodzi się następne pytanie: skąd drelichowiec znał psa. Gdyby wcześniej był u Cieplaków, nie pytałby o adres. Musiał poznać Gapola poza domem. Gołym okiem widać, że Gapol to nie jest spacerowy piesek, który dałby się prowadzić swojej pani na smyczy. Przeciągnąłby Cieplakową po błocie aż miło.

Pani Halina nagle się ocknęła.

- Ta piękna żona to niby Mirabelka? - wykrzyknęła z oburzeniem. - Co też, państwo, opowiadacie!

- Nie wszystko, co się podoba mężczyznom, musi się podobać kobietom -

orzekł Leszek i spojrzał na siostrę.

- Po prostu faceci mają wypaczony gust - wyjaśniła Emilka.

Rębowicz przerwał rodzinne przekomarzania. Interesowało go, czy człowiek spotkany przez Halinę Lipkę miał kałmucką twarz, jak to wcześniej określiła Zofia Kurczyłowa.

- Mówi pan: płaski nos, wystające kości policzkowe, skośne oczy... taki Mongoł, znaczy? - uściśliła kobieta.

- Mniej więcej - przyznał komisarz.

- Nie. Ten miał nos raczej alkoholowy, z żyłkami, oczy jak oczy i brakowało mu dwóch zębów na dole.

Oczywiście mógł celowo wyjąć protezkę - zauważyła pani Halina.

- Po co? - zdziwił się Leszek.

- Żeby pokazać światu, że jest szczerbaty - mruknęła Emilka. - A jak świat zacznie szukać

szczerbatego, to on szybko włoży protezkę i pokaże uśmiech niczym z reklamy szczoteczek do zębów.

- Ale po co? - powtórzył pytanie Leszek.

- Dla niepoznaki - odparła Emilka, z trudem hamując śmiech.

Chciała jeszcze coś dodać, jednak z głębi domu doleciał jakiś nieprzeciętny rumor i obie kobiety popędziły na wyścigi sprawdzać, co też babcia wymyśliła nowego.

- Nie bardzo mi pasują zeznania pani Lipki - powiedział w zamyśleniu komisarz.

- Kobiątka częściowo zmyśla - zgodził się Leszek. - Ona podpadła mi już w sobotę. Ze dwa razy zapowiadała swoje wyjście i robiła to tak jak aktorzy w starych farsach. Wie pan, o co mi chodzi? Pojawia się taki na proscenium i gada do publiczności na kolegów, a ci koledzy, choć stoją dwa kroki dalej, nie słyszą ani słowa, bo kwestia nie jest przeznaczona dla nich. Pani Lipka nie nas informowała, że już idzie. To raczej była zapowiedź wizyty: „Uważaj, Cieplaku, zaraz będę u ciebie!”.

Uczciwie przyznaję, że jest to interpretacja dzisiejsza, w sobotę na nią nie wpadłem, za to sprawdziłem czas.

Lipka wyszła kwadrans przed dwudziestą. Dziś rano obejrzałem rozkład jazdy. Przedostatni autobus odchodzi o dwudziestej osiemnaście. Od nas do przystanku idzie się niecałe pięć minut. Pani Halina zostawiła sobie pół godziny, więc mogła nie tylko postać przed furtką Cieplaka, mogła tam nawet zapuścić korzonki. Rozmawiał pan z sąsiadką z naprzeciwka?

- Rozmawiałem - przytaknął Rębowicz. - Nie tała, że pan był pierwszy.

Leszek Kurczyłło rozłożył ręce w przeproszającym geście, ale przeprosiny sobie darował.

- Nie rozumiem, czemu Cieplak nie wpuścił Lipki, tylko trzymał ją przy furtce, żeby wszyscy mogli sobie obejrzeć, jak ona macha i podskakuje. Nie lubił jej? Miał coś do ukrycia? Śpieszył się i szkoda mu było czasu?

Przyzna pan, że to dość dziwne zachowanie. Kobieta uprzedza, że idzie, a on jej nie wpuszcza.

- A ja z kolei zastanawiam się, co jeszcze ta miła kobiecina wymyśliła, żeby nas zmylić i dlaczego? - westchnął komisarz. - Przelecieć galopem obok furtki czy sterczeć przy niej kilka minut, to zasadnicza różnica.

Myśli pan, że drelichowiec jest prawdziwy?

- Moim zdaniem prawdziwy. Lipka może coś skrócić, przemilczeć, natomiast nie jest w stanie wymyślić postaci dramatu, łącznie z wyglądem i sposobem mówienia. Wybujała fantazja... żadna fantazja do niej nie pasuje, ona jest zasadnicza aż do bólu zębów. Nie wiem jak Cieplak, ale nawet gdyby był

urodzonym scenarzystą, to w sobotę nie mógł Lipce nic podpowiedzieć, bo zdaniem pani Ewy nie zamienili nawet słowa. Tam powinien być jeszcze jeden facet, w pirackiej chustce na głowie. Chwilowo nic więcej o nim nie wiemy.

Mnie jednak intryguje para:

Lipka i Cieplak. Emilka twierdzi, że oni nie mogli mieć żadnych interesów, że to wszystko są moje wymysły.

- Pana zdaniem, kto płacił pensję Lipce? - spytał komisarz.

- Emilka twierdzi, że dziadek Władysław. Co będzie teraz, po jego śmierci, nie wiemy.

- A może właśnie płacił Cieplak, choćby na zasadzie umowy z Władysławem Kurczyłłą. Płacił i chciał traktować Lipkę jak swojego człowieka.

- To nie jest takie niemożliwe - przyznał Leszek po chwili zastanowienia.

- Załóżmy, że płacił Cieplak i jakoś się potem rozliczał z dziadkiem. Tylko po co mu były donosy Lipki? O czym go miała informować, o śniadaniach babci, o wypróżnieniach? Co takiego mogła wiedzieć, o czym nie wiedziałby Cieplak?

Babcia nie kryła się ze swoimi przekonaniem, mówiła to, co myślała, a wątpię, żeby miała jakieś tajemnice. To już prędzej uwierzę w romans. Lipka jest w wieku Cieplakowej, czyli obie są takimi piecykami, w których pali diabeł.

- Cieplak podobno woli młodsze - sprostował komisarz.

- Woli, woli! Można sobie woleć, ale bierze się to, co daje los. Pan tak nie robi?

- Nie, ja starannie wybieram.

- To całkiem jak ja - roześmiał się Leszek.

- Lipka mieszka sama? - spytał komisarz.

- Podobno tak. Mąż umarł kilka lat temu, dzieciaki rozjechały się po kraju, natomiast...

Musieli przerwać, bo w ogrodzie pojawił się temat ich rozmowy. Parę kroków od nich Halina Lipka zaczęła rozwieszać niebieski koc. Na jej błękitnej bluzce, na jednej z imponujących piersi, pyszniła się plama przypominająca but.

Komisarz pomyślał nawet, że gdyby zgadzała się półkula, but mógłby robić za Włochy.

- Starsi ludzie są gorsi niż dzieci - mamrotała Lipka na tyle głośno, by obydwaj mężczyźni dobrze słyszeli. - Pani Barbara chciała sprawdzić, co jest na stole, i pociągnęła za serwetę. Wazon z kwiatami się przewrócił, koc się zamoczył. Przecież taki ciężki wazon mógł jej złamać nogę.

Złośliwa się zrobiła, znowu zaczęła pluć.

Ale żeby pluć owocami, żeby ich nie połknąć dla zdrowia! Dziwaczeje nam pani Barbara, strasznie dziwaczeje.

Za moment Emilka przywiezie ją do ogrodu, więc gdyby pan komisarz chciał porozmawiać, będzie okazja.

Komisarz Rębowicz przypomniał sobie o trzech telefonach oraz dwu pilnych spotkaniach i pożegnał się, zanim pani Barbara zdążyła nadjechać. Po drodze wstąpił jeszcze do Zofii Kurczyłowej.

- Dzwoniłam do siostry - powiedziała pani Zofia - i proszę sobie wyobrazić, że tego amanta mojej córki nikt nie znał. Goście pana młodego myśleli, że on jest ze strony panny młodej, i odwrotnie. Narobił niezłego zamieszania, więc nic dziwnego, że rodzina siostry była ciekawa, kto to jest. Na pewno przyszedł sam, bo poza mną i jeszcze trzema starszymi paniami nie było samotnych kobiet. Co ciekawe, ten Kałmuk pojawił się dopiero na przyjęciu, w kościele go nie było. Siostra przejrzała cały film nagrany przez jej zięcia. W

kościelce, gdzie widać ławkę po ławce, człowieka nie ma, w zajeździe człowiek jest. I przy stole, i na parkiecie, i w ogrodzie.

Całkiem możliwe, że on się tam zjawił dla mojej córki i że wcześniej byli umówieni.

- O której był ślub?

- O siedemnastej trzydzieści.

- Czy pani w dalszym ciągu uważa, że Maciej Cieplak przez cały sobotni wieczór nie ruszał się z zajazdu?

- A czemu pan pyta? Czy coś się stało?

- Co najmniej dwie osoby widziały go między osiemnastą a dwudziestą pierwszą, jak kręcił się tutaj, wokół domu.

Pani Zofia ciężko westchnęła.

- Przecież to niemożliwe, żeby człowiek wyskoczył na trzy godziny i żeby nikt tego nie zauważył!

- Na dłużej niż trzy godziny. On musiał jeszcze dojechać i wrócić -

wyjaśnił komisarz. - Przy okazji proszę spytać siostrę, czy na filmie kręconym w kościele pojawia się Maciej Cieplak. To bardzo pilne.

Komisarz Rębowicz zabrał z przystanku Henrykę Pełkę.

Stała smętnie w tłumie, więc elegancko się zatrzymał i zaprosił kobiecinę do samochodu. Z

poprzedniego dnia pamiętał, ile słów na minutę jest w stanie wyrzucić z siebie pani Henia. Trzaskała jak karabin maszynowy głównie to, co sama chciała, ale przy okazji mogła powiedzieć też coś interesującego.

- Wrócił Cieplak? - spytał komisarz, dociskając panią Henrykę pasem do fotela.

- A nie, nie! I w robocie go nie było, bo dzwonili.

Ależ ja się dzisiaj spracowałam! - wykrzyknęła. Nabrała powietrza w płuca, żeby z detalami opowiedzieć o zmaganiach z wiadrem i ścierką.

Komisarz nie dał jej szans.

- Czy Cieplakowa często wychodziła z psem na spacer?

- A niby po co? Gapol cały dzień lata wokół domu, to ruchu ma aż nadto.

Całkiem jak ja dzisiaj. Ależ...

- To może wozila go do weterynarza?

- E, to zdrowe bydło. Chciałabym mieć jego siły.

- Nawet najzdrowsze bydło trzeba zaszczepić.

- Niby tak. Na sąsiedniej ulicy jest taki weteryniarz, co na wezwanie chodzi po domach i szczepi psy.

- A może Gapol chodził do psiej szkoły?

- Co też pan opowiada?! W szkole by się chyba czegoś nauczył, no nie?

To całkiem głupi pies. Nawet psycholog powiedział, że to rzadki przypadek nadruchliwości... czy jakoś tak.

- Psycholog? - zdziwił się komisarz.

- Psi psycholog - wyjaśniła Henia. - Po mojemu to on się zajmuje tresowaniem psów, bo czym niby? Pani Mirabelka jeździła do niego z Gapolem przez trzy miesiące i pies jak był ruchliwy, tak został.

- Zna pani adres tego psychologa?

- Powinien być na kwitach. A co, pan też ma psa?

- Właśnie! I też nadruchliwego.

- Szkoda pieniędzy - stwierdziła Henia. - Nie uwierzy pan, ale facet kazał

sobie płacić tysiąc złotych miesięcznie. Nie kłamię, widziałam rachunki. W

życiu bym nie dała takiej kasy za nic.

- To co, znajdzie mi pani ten adres?

- Ale pan uparty! - Henia z niezadowoleniem pokręciła głową, ale po starej znajomości zgodziła się wyszukać rachunki i dostarczyć komisarzowi nazwisko i adres specjalisty od psiej psychologii. Nawet sama zastrzegła, że nikomu nie piśnie słowa, w co już komisarz nie uwierzył. Żegnając kobiecinę pod jej domem, wcale nie żałował czasu spędzonego na wspólnej podróży.

Prosto od Heni pojechał do komendy. Najpierw obleciał specjalistów od daktyloskopii, fotografii i wszelkich innych śladów, a następnie utknął w papierach. Unijny szal papierowych sprawozdań nie ominął też policji, przy czym najciekawsze było to, że wszyscy pisali, a nikt się nie kwapił, żeby czytać te bzdety. I znowu Rębowicz ledwie zdążył na kąpiel Zuzi. Z wielką przyjemnością zachwyił się fałdkami córki, gawędził z nią o diecie i odchudzaniu.

- Mieszasz dziewczynie w głowie - powiedziała poważnie Justyna. -

Dzisiaj niewiele jadła.

- Z powodu upału, a nie mojego gadania - zastrzegł Rębowicz.

- Możliwe, ale dzisiaj był bardzo dziwny dzień. Masz czasem takie wrażenie, że jesteś zdenerwowany i nie wiesz dlaczego?

- Dopadły cię jakieś przeczucia?

- Sama nie wiem. Rojkwie już od rana mieli jazdę, a potem któreś z nich jęczało. To nie był normalny odgłos. Te znam na pamięć. Bałam się tego jęku, serce mi stawało. Zapukałam do nich, ale mi nie otworzyli.

- I po cholere pukają! - zdenerwował się komisarz i ojciec rodziny w jednej osobie.

Przez całą kąpiel Justyna miała czego słuchać. Nie powinna pukać, nie powinna wściubiać nosa w życie Rojków, którzy są nieprzewidywalni jak żywioł, a może właśnie przewidywalni, w każdym razie najlepiej zostawić ich własnemu losowi.

- Albo skończ gadać, albo wyjdź! - powiedziała w pewnym momencie Justyna.

Powiedziała ciut głośniej, niż należało, i Jarosław spojrział na nią zaskoczony. Zobaczył bladą twarz, zaciśnięte usta i pionową zmarszczkę między brwiami.

- Przecież ja to mówię dla twojego dobra - wyjaśnił łagodnie, niemal ciepło.

- Jeśli dla mojego dobra, to przestań! - powtórzyła.

Wyszła z Zuzią do sypialni, a on, po raz pierwszy od bardzo dawna, nie tylko wylał wodę z wanienki, ale stał podłogę, pozbierał ciuszki małej i upchnął

je w pralce.

Porządkując łazienkę, przypomniał sobie rozmowę z Izą Bulwicką i jej opowieści o panu Władysławie, który kranu w łazience sam nie zakręcił.

Zastanawiał się, dlaczego niektórzy mężczyźni trafiają na łagodne, usługowe kobiety, które zdmuchują im pyłki spod nóg, inni zaś muszą własnoręcznie sprzątać łazienkę i nie bardzo mogą liczyć na pomoc żony także w innych kwestiach. Justyna znowu nie wydrukowała potrzebnych materiałów, choć rano jej przypominał. Zniechęcony wrócił na wersalkę i włączył telewizor. Ze dwa razy powtórzył sobie, że jest bardzo szczęśliwy, że uwielbia swoje dwie kobiety, i trochę się uspokoił. Za ścianą u Rojków panowała absolutna cisza, co znaczyło, że wieczór minie spokojnie. I minął.

Justyna tak się zdziwiła na widok wysprzątaney łazienki, że bez przypominania usiadła do komputera i ślęczała przy nim do północy. Na szczęście skończyła wydruki, zanim obudziła się Zuzia. Potem to już tylko uspokajała i nosiła małą prawie do świtu.

Rano Rębowicz miał spotkanie z prokuratorem Szopskim. Głównie omawiali zakończoną już sprawę pobicia z ciężkim uszkodzeniem ciała. Były to bezwzględne porachunki narkotykowe. Źle się robiło na samą myśl o nich.

- A jak tam to najnowsze śledztwo? - spytał Szopski.

- Po jednym dniu mogę powiedzieć, że nic mnie w tej sprawie nie zdziwi

- wyjaśnił krótko Rębowicz. - To może być małżeńska awantura, może być wendeta rodowa albo niewiarygodny przypadek. Nie zdziwię się też, jeśli to pies będzie mordercą.

- Pies mordercą?

I na to prokuratorskie zaskoczenie Rębowicz właśnie liczył. Zniknął

szybciej, niż się pojawił, by kwadrans potem błąkać się po zapleczu nowej restauracji przy dworcu. Nie bez drobnych kłopotów zdobył adres Agaty Sitak.

Niby wszyscy próbują policji pomagać, a kiedy przychodzi do konkretów, urzędniczki zaczynają łapać figury. Z tą restauracyjną paniusią Rębowicz musiał

pojechać ostro.

- Nie może pani znaleźć adresu pracownicy? Aż taki bałagan ma pani w papierach? - zdziwił się chłodno i zjadliwie.

Nikt nie lubi posądzenia o bałagan, zwłaszcza jeśli posądza policja, i po chwili adres już był. Prowadził na ulicę Łęgską, do najstarszej dzielnicy miasta.

Ciemne schody aż śliskie były od brudu. Drzwi do mieszkania też nie wyglądały dobrze. Rębowicz zadzwonił i czekał na pojawienie się jakiejś masywnej postaci, podobnej do Mirabelki lub

czerwonowłosej panny Zurek. Zdziwił się bardzo, kiedy na progu stanęła wysoka, długonoga blondynka o subtelnej twarzy elfa.

- Pan mnie pyta o Macieja Cieplaka? - spytała zaskoczona.

- Nie zna pani Cieplaka?

- Oczywiście, że znam.

Dziewczyna usunęła się z progu i zaprosiła komisarza do mieszkania. I tu na Rębowicza czekało następne zaskoczenie. Znalazł się we wnętrzu bardzo kolorowym i bardzo czystym. Oczywiście nie były to żadne meblowe luksusy, ale mieszkanie sprawiało wrażenie radosnego. Dużo w nim było kwiatów i serwetek, na ścianach wisiały ilustracje z dziecięcych bajek, a przy piecu mieścił

się kącik zabawkowy.

- To synka - wyjaśniła Agata. - Ja już nie bawię się samochodzikami.

126

- Kiedy ostatni raz widziała pani Cieplaka? - spytał Rębowicz, wracając do twardej rzeczywistości.

- Kiedy? - Dziewczyna się zamyśliła. - Nie pamiętam, ale to musiało być dawno. Chyba jesienią ubiegłego roku spotkał mnie na ulicy i zaprosił do jakiegoś baru na obiad. Chciał się wygadać.

- O czym rozmawialiście?

- Z Cieplakiem właściwie nie ma rozmowy. Najpierw pyta o to, co jego interesuje, potem opowiada o swoich sukcesach. Lubi się chwalić.

- O co panią pytał?

- Głównie o synka i o to, jak sobie radzę. Namawiał mnie, żebym wróciła do Mirabelli, proponował stanowisko drugiej brygadziarki, zachęcał, kusił

gruszkami na wierzbie.

- Dlaczego odeszła pani z Mirabelli?

- Firma płaciła marnie, a żądała pracy po godzinach.

Szłam na ranną zmianę, wracałam wieczorem lub późną nocą. Przy małym dziecku nie dało się tego dłużej ciągnąć. Musiałam sobie poszukać czegoś innego.

- Praca kelnerki jest lepsza? - zdziwił się komisarz. - Ma pani zajęte popołudnia i wieczory.

- Tylko co jakiś czas. Pracuję na zmiany i mogę sobie ustawić z teściową godziny opieki nad

Lucjanem.

- A mąż?

- Nie żyje.

- Nie wiedziałem - mruknął Rębowicz, jakby to miało jakieś znaczenie. -

Mnie w zasadzie interesuje wyłącznie Cieplak. Zaginął, próbujemy go odnaleźć i sprawdzamy wszystkie powiązania.

- Zaginął? - zdziwiła się dziewczyna. - To bardzo przykre, jednak nie sądzę, żebym była z tym powiązana.

Proszę mnie źle nie zrozumieć: życzę mu dobrze, nawet bardzo dobrze.

Raz w życiu mi pomógł i tego mu nigdy nie zapomnę. Ale jako szef był do niczego. Zna pan to jego powiedzonko, że małą się przyuczy i będzie szyła?

On tak właśnie myślał. Przez trzy lata pracy nie dostałam ani razu podwyżki, chociaż byłam jedną z najwydajniejszych pracownic. Chciał się ze mną żenić -

roześmiała się. - Naprawdę. Obiecywał złote góry i szczęście na ziemi. To dobry człowiek, choć jednocześnie straszny palant.

- Powiedziała pani, że raz w życiu pani pomógł. Jaka to była pomoc?

- Nie do przecenienia. Mój synek zachorował, tutejsi lekarze byli bezradni, ja załamana i wtedy Cieplak nie tylko znalazł mi lekarza w Bydgoszczy, ale jeszcze zapłacił za kurację. Całkiem bezinteresownie, jeśli chce pan wiedzieć. Krótco potem odeszłam z firmy, jednak rozstaliśmy się w przyjaźni. Ze dwa razy zaprosił mnie do lokalu, żeby pogadać. I to wszystko.

- Był kiedyś u pani w mieszkaniu?

- Nigdy.

- Czy dzwoniła pani wczoraj do niego?

Na ślicznej twarzy dziewczyny odmalowało się niekłamane zdumienie i Rębowicz nie miał wątpliwości, jaka będzie odpowiedź.

- Nie. Na święta wysłałam mu SMS od siebie i Lucjana, potem na Macieja drugi. Mój mąż też był Maciek, więc dzień pamiętam. Uważam, że Cieplak zasłużył sobie na naszą pamięć i wdzięczność, ale rozmawiać z nim nie bardzo lubię.

- Telefon, o którym mówię, był do firmy.

- Odkąd odeszłam z firmy, nie dzwoniłam tam ani razu. Nie miałam takiej potrzeby.

- Czy zna pani kogoś, u kogo Cieplak mógłby się bezpiecznie przechować?

- On lubił panienki i lubił przechwalać się podbojami, tylko nie wiem, ile w tym gadaniu było prawdy, a ile fantazji. Myślę, że to były takie żarty w stylu Cieplaka: bajerował, uwodził, a jak dziewczyna wydawała się chętna, to zmykał.

Znałam kilka takich zawiedzionych.

Chyba ostatnią dziewczyną taką bardzo serio była brygadzystka Mariola Żurek. To było jesienią ubiegłego roku. Nie wiem, czy ona mieszka sama, wiem natomiast, że zaczęli się spotykać, kiedy jeszcze pracowałam w Mirabelli. Mnie to zupełnie nie przeszkadzało, bo nigdy nie myślałam o Cieplaku jako o swoim partnerze, natomiast czułam wyraźnie, że ja przeszkadzałam Marioli.

Odetchnęła, kiedy się zwolniłam. Była jeszcze jakaś kobieta, którą Cieplak nazywał swoją przyjaciółką.

O panienkach nigdy tak nie mówił. Nie wiem, kto to był, i nie wiem, czy wciąż jest, bo dawno już nic nie słyszałam. Wiem, że ta przyjaciółka obracała się gdzieś w pobliżu Cieplaka, lecz nie sądzę, żeby to była gosposia. On bardzo nisko cenił takie kobiety, mimo że prały mu gatki i prasowały koszule. O przyjaciółce mówił tak normalnie, nie kpił z niej.

Wyjeżdżając z Łęskiej, Rębowicz zastanawiał się, która z dwu młodych kobiet próbowała wprowadzić go w błąd. Wszystko wskazywało na to, że Mariola Żurek.

To ona kierowała jego uwagę na Agatę Sitak, całkiem jakby próbowała kogoś osłaniać. Najpewniej siebie, a więc musiała mieć powody. Zasłużyła sobie, by znaleźć się na liście kobiet podejrzanych. Tuż obok Haliny Lipki.

Agata też była na tej liście, tylko dużo, dużo niżej, obok Emilki czy Izy. Panie z dołu rejestru broniły się przed podejrzeniami, chociaż na tym etapie śledztwa Rębowicz nie wykluczał nikogo, nawet Gapola. Coraz bardziej intrygowała go Halina Lipka. Zastanawiał się też, jak zaklasyfikować Zofię Kurczyłową. Niby stała na uboczu, ale wyraźnie próbowała osłaniać zięcia. Celowo i z premedytacją czy tylko z rodzinnej sympatii?

Wizyty na Piołunowej zaczął od Bulwickich. Otworzyła mu Iza. Mąż upolował wreszcie koziółka, nabrał ochoty na następnego i potrzebny był granat, żeby oderwać chłopca od dubeltówki i wykopać do firmy. Bronił się jak mały chłopiec, zasłaniał urlopem i żadne argumenty do niego nie docierały. Wreszcie kiedy Iza zagroziła, że wyniesie się do córki na czas nieokreślony, Jacek wsiadł

rano w samochód i pojechał do Mirabelli.

- Nie było żadnych telefonów od Cieplaka? - spytał komisarz.

- Mąż nic nie mówił, więc raczej nie. Jest wściekły jak szerszeń, bo zamiast do lasu, musiał pojechać

do pracy. Dorosły facet, a czasem się zachowuje gorzej niż Daniel.

- O właśnie, gdzie jest pani rezolutny wnuczek?

- Siedzi w mieście u drugiej babci. Dzisiaj chyba go przywiozę, niech trochę poszaleje w ogrodzie, dopóki jeszcze mam urlop. Przecież my tu mieszkamy całkiem jak na wsi. Dla dzieciaka to raj większy niż piaskownica pod blokiem.

- Chciałbym zamienić z nim kilka zdań.

- Byle nie przy mężu, bo on jest uczulony na całe to śledztwo, na Cieplaka i... chyba na mnie. Daniela chce chronić, ale to niegłupi chłopiec i mógł coś zobaczyć.

Wierzę, że pan będzie wiedział, jak z nim rozmawiać.

Komisarz mruknął, że sam ma syna i rozmowy z chłopcami to dla niego bułka z masłem. Plotąc te androny, zrobił w myślach przegląd swoich rozmów z Alikiem. Czasem siedzieli godzinę i nie zamienili słowa.

Rozmowy z dziećmi, wbrew temu, co tłumaczył Izie, nie były jego mocną stroną. Założył sobie, że z córką będzie całkiem inaczej, i od początku bardzo się starał, żeby było inaczej.

- Zastanawiała się pani, gdzie może być Cieplak? - spytał.

- Pojęcia nie mam - westchnęła bezradnie Iza. - Mam głupie przeczucie, że przytrafiło mu się coś złego. Rozmawiałam z Emilką i z panem Leszkiem.

Wspólnie doszliśmy do wniosku, że w sobotę Mirabelka przyjechała już po wyjeździe Macieja. Musieli się minąć. Pan też tak uważa?

- To rozsądne założenie, choć dobrze byłoby je potwierdzić. W

przybudówce, która chyba miała być jakimś pokojem kwiatowym, zostały ślady uczyty. Dwa kieliszki, opróżniona półlitrowka wódki żurawinowej i resztki pomidora. Na szkle zostały ślady palców Cieplaka i jeszcze jakieś inne. Jeśli Cieplak wyruszył do Lipna tuż po zmroku, to niewykluczone, że jechał na dwu gazach.

- Skąd wiadomo, że ślady należały do Cieplaka? - zdziwiła się Iza.

- Porównaliśmy odciski palców zdjęte z wódczanej butelki z odciskami na przyborach toaletowych w łazience.

Iza westchnęła z rezygnacją.

- Ten facet miał na drugie imię Brawura. Nawet jeśli jechał na dwu gazach, nie robił tego po raz pierwszy.

Szcześnie, że w ogóle dojechał - wyjaśniła.

- Pani Zofia twierdzi, że dojechał. Pani, zdaje się, widziała w niedzielę powrót do domu Zofii Kurczyłowej.

Czy za kierownicą hondy na pewno siedział Cieplak?

- Powiem jednym tchem: Tak! Nie! Nie wiem! Samochód zawrócił i odjechał, ledwie pani Zofia wysiadła.

Skojarzyłam sobie, że Cieplak prowadził, no bo kto inny? Ale czy ja go widziałam? Głowy nie dam.

- Czy Maciej Cieplak mógł się przyjaźnić z Haliną Lipką?

- Wykluczone! - zawołała z przekonaniem Iza Bulwicka.

- Dlaczego?

- Pani Halina przejęła sposób myślenia babci Barbary.

Cieplak to wróg numer jeden, cham i nuworysz.

- Wie pani, gdzie Lipka mieszka?

- Gdzieś tak w połowie Cyganki. Trafić trafię, choć adresu nie pamiętam.

Z kim właściwie Cieplak pobił się w ogrodzie?

- Mam nadzieję, że jeszcze dzisiaj będę to wiedział, o ile pani Henryka dotrzyma słowa.

- Nasza Henia? - zdziwiła się Iza. - Przecież jej tu nie było w sobotę.

- Wiem, jednak jest coś takiego jak natchnienie. Wierzy pani w natchnienie? - spytał rozbawiony.

- Może i wierzę, tylko co ma wspólnego Henia Pełka z natchnieniem?

Słyszałam, że strąk grochu natchnął kogoś do napisania wiersza, ale żeby Henia? Mocno wątpię.

- Wierszy akurat nie pisuję! - Komisarz pięknie udał zafrasowanie. - To może nie nazywajmy tego natchnieniem, tylko zwróceniem uwagi na pewien aspekt...

Po raz pierwszy tego ranka Iza miała okazję trochę się pośmiać. A i komisarz mniej marszczył czoło, wędrując do Zofii Kurczyłowej. Furtkę otworzyła mu Henia Pełka, która właśnie wrywała chwasty spomiędzy kamieni na ścieżce. Najprawdopodobniej wymyśliła sobie tę robotę, żeby czatować na Rębowicza.

- Nie ma pan komisarz pojęcia, co ja miałam z tymi pokwitowaniami -

szeptnęła konspiracyjnie i rozejrzała się przy tym na boki.

- Co takiego? - zdziwił się komisarz.

- Cały dom musiałam przekopać - szeptała Henia. - Były trzy kwity za trzy miesiące. Leżały w szufladzie toaletki od maja. Z pięć razy je widziałam, bo przecież w szufladach też sprzątam. I co pan powie na to, że teraz żaden nie leży.

- Ico?

- W domu ich też nie ma. Zapadły się pod ziemię.

- Nie ma pani dla mnie tych kwitów? - spytał zawiedziony.

Po okrągłej twarzy Henryki Pełki przemknął chytry uśmiezek.

- Trzech nie mam, ale jeden znalazłam. Całkiem zapomniałam, że w środę czy w czwartek pożyczyłam taki kwitek - zawahała się i jeszcze raz rozejrzała konspiracyjnie. - Pożyczyłam, bo chciałam pokazać sąsiadce, na co ludzie tracą pieniądze. Nie mogła uwierzyć, nawet jak przeczytała czarno na białym, że tysiąc złotych należy się za konsultację psycho...lologiczną psa rasy dog mieszaniec.

Henryka wygrzebała z kieszeni starannie złożony kawałek cienkiego papieru i z dumą podała komisarzowi.

- To przecież nie była kradzież - zastrzegła.

- Ależ skąd! - zapewnił uradowany Rębowicz, zerkając na pieczętkę z adresem. - Pani zabezpieczyła dowód w sprawie.

- W sprawie! - powtórzyła Henryka nabożnym szeptem. - O kurczę! A ja myślałam, że to dla pańskiego pieska.

- Dla mojego, ale to jest pies, który służy w policji.

I właśnie dlatego lepiej nikomu nie wspominać o psychologu. Rozumie pani, o co chodzi? A już pod żadnym pozorem nie można mówić pani Zofii.

Zwłaszcza o kwitach.

- Przecież wiem - szeptnęła kobiecina, przykładając palec do ust na znak absolutnego milczenia.

Komisarz Rębowicz nie miał wątpliwości, że odkąd zamknął za sobą furtkę i stanął na ścieżce obok Heni Pełki, z okna na parterze uważnie obserwowała go Zofia Kurczyłłowa. Sądził jednak, że nie będą o tym rozmawiać, i bardzo się pomylił. Ledwie wszedł do eleganckiego salonu, pani Zofia spytała:

- Przepraszam za niedyskrecję, jednak pod nieobecność córki i zięcia muszę też czuwać nad ich majątkiem.

Czy mógłby mi pan pokazać to, co dostał pan od sprzątaczk?

Komisarz rzadko tracił głos i właśnie poczuł, że coś takiego mu się przytrafia. Przełknął ślinę i dopiero wtedy odważył się odezwać, żeby niepotrzebną chrypką nie zdradzić zaskoczenia i irytacji.

- Słucham? Obawiam się, że źle panią zrozumiałem.

- Chcę tylko wiedzieć, co Henryka Pełka panu przekazała - powtórzyła Zofia Kurczyłowa. - To było coś z mieszkania mojej córki.

- Czy pani Henryka wynosi z domu kosztowności, srebrne łyżeczki, a może też pieniądze? Kradnie, jest niewiarygodna?

- Tego nie powiedziałam.

- Właśnie to próbuje mi pani zasugerować. W czasie trwania śledztwa nie mam obowiązku niczego pani wyjaśniać. Jeśli już pani musi mieć jakieś wytłumaczenie, to proszę przyjąć, że wymieniliśmy z panią Henryką liściki zapewniające o wzajemnej sympatii. A teraz do rzeczy. Czy Maciej Cieplak odzywał się dzisiaj?

- Proszę mnie źle nie zrozumieć...

Przerwał zdecydowanie i w pół słowa.

- Nie będziemy o tym więcej rozmawiać. Czy Cieplak się odzywał?

- Nie.

- Ma pani jakieś nowsze dane dotyczące jego pobytu?

Wie pani, gdzie się zaszły?

- Nie.

- Czy wiadomo coś więcej w sprawie Kałmuka, to raz.

I dwa, czy Maciej Cieplak jest widoczny na filmie kręconym w kościele?

Zofia Kurczyłowa straciła pewność siebie. Nie była już spokojną, wyniosłą kobietą, która dzień wcześniej podejmowała komisarza lemoniadą. Ale nawet gdy była zdenerwowana, panowała nad rękami i głosem. Wyjaśniła spokojnie, że młodsi członkowie rodziny pracują i nikt nie znalazł czasu na ponowne obejrzenie filmu. O Kałmuku oczywiście nic więcej nie było wiadomo. Rębowicz poprosił o adres siostry, imię, nazwisko i numer telefonu.

- A to po co? - wykrzyknęła ze zdziwieniem Kurczyłowa.

- Proszę pani, to jest śledztwo, nie zabawa w ciuciubabkę. Im prędzej pani to zrozumie, tym lepiej.

- Moja siostra nie ma nic wspólnego z moją córką ani z moim zięciem! Ja odmawiam.

- W porządku. Jestem co prawda lekko zdziwiony, bo uważałem panią za mądrą kobietę, ale wiem, że policja w Lipnie zdziwiona nie będzie. Policjanci rzadko się dziwią. Jeden telefon na ulicę Kościuszki 22 i jeszcze dziś, najdalej jutro, będę miał ten film w komputerze.

Bez pani pomocy.

Zofia Kurczyłowa nie protestowała więcej. Jej siostra nazywała się Adela Krzyżakowa i mieszkała w Lipnie na ulicy Kilińskiego. Dla świętego spokoju, żeby niczego nie przeoczyć, Rębowicz zajrzał jeszcze do swoich notatek. Nie miał tam pytań dla Kurczyłowej, więc zaczął się żegnać.

- Gdyby zięć się pojawił, to...

- Zadzwoń do pana na pewno - obiecała.

Ta szczerą gorliwość nie zmasowała poprzedniego niesmaku. Komisarz wychodził z podwórka i zastanawiał się nad dziwnymi i nieprzewidywalnymi reakcjami ludzi. Po drodze zatrzymał się jeszcze na chwilę przy samochodzie, żeby zadzwonić w kilka miejsc. Zwłaszcza dwa połączenia uznał za bardzo ważne. Serdeczny kumpel z lipnowskiej komendy obiecał mu natychmiastową pomoc w zdobyciu potrzebnych zdjęć, a pewien psycholog od psów zaprosił go razem z pupilem na dzień następny. Skąd ja ci, facet, wezmę pupila, mruczał

Rębowicz, chowając komórkę.

Tym razem szczęście mu nie dopisało, a może dopisało, różnie można było na to patrzeć. W ogrodzie, w towarzystwie Emilki i pani Haliny, siedziała stara dama, która bezbłędnie go poznała.

- Proszę, proszę, sam pan komendant nas odwiedził!

- zawołała. Uparcie tytułowała Rębowicza komendantem. - No to sobie wreszcie porozmawiamy. Musi mi pan obiecać, że nie będzie zbyt gorliwie szukać mordercy Cieplaka.

- Nie mogę szukać mordercy, dopóki nie mam oficjalnego potwierdzenia, że Cieplak nie żyje.

- Jak to, pan nie ma? Przecież mówiłam panu, że nie żyje. Zaraz, zaraz, kiedy to było? Chyba w sobotę.

- W sobotę z całą pewnością jeszcze żył.

- No to w niedzielę. Sen miałam w sobotę, więc w niedzielę już nie żył.

- Sen wielka rzecz - przyznał komisarz. - Ale mówiąc o oficjalnym potwierdzeniu, miałem na myśli

odnalezienie ciała.

- Zgubiliście ciało takiego wielkiego mężczyzny? - zdziwiła się babka Barbara. - Już dobrze, dobrze, niechże się pan nie zamartwia. Cieplak nie szpilka, poszukacie i na pewno się znajdzie.

- A gdzie jest pan Leszek? - spytał komisarz, zachowując kamienną twarz.

- Chyba nie chce go pan aresztować?

- Ależ skąd. Chciałem z nim porozmawiać bez aresztowania - zapewnił.

Emilka z trudem powstrzymywała śmiech. Siedziała jakieś pół metra za babką i tylko się pilnowała, żeby nie chichotać zbyt głośno. Policzki miała purpurowe, oczy załzawione.

- Leszek koniecznie chciał się z panem spotkać - powiedziała, ocierając łzy wierzchem dłoni. - Mówił, że znalazł coś ciekawego.

- Ciało Cieplaka? - zainteresowała się babka.

- Raczej nie - zaprzeczyła Emilka i pobiegła do domu.

- Koza! - mruknęła babka. - Takiej tylko głupotki w głowie, chichoty.

Młoda koza!

- Jaka koza? - zdziwiła się pani Halina. - Toż Emilka czterdziestkę ma na karku.

- Nie musi pani tego wykrzykiwać przy obcym mężczyźnie - obruszyła się babka Barbara. - Pan komendant, co prawda, jest swój człowiek, ale nie z rodziny.

I co to jest czterdzieści lat?

Lipka też się obruszyła, bo miała własne zdanie na temat wieku i tego, co przystoi poważnej mężatce.

Rębowicz przysłuchiwał się sprzeczce kobiet, choć głównie obserwował

opiekunkę. Na jej lewej bujnej piersi wciąż pysznił się kolorowy but przypominający kształtem Włochy. Trochę jaśniejszy niż poprzedniego dnia, lecz nadal widoczny. Że też nie chciało się babie zmienić bluzki, pomyślał z niesmakiem.

Leszek Kurczyłło zjawił się z dziesięć minut później i ku wielkiemu niezadowoleniu babki porwał komisarza.

Zadekowali się razem w samochodzie, czego kobiety, pozostawione w ogrodzie, nie mogły widzieć.

- Czy babcia już panu powiedziała, że to ja zabiłem Cieplaka? - zagadnął

Leszek.

- Próbowwała chyba dać mi to do zrozumienia, ale nie rozwijała tej wersji.

- Nie ma żadnej wersji, zabiłem, bo babci się tak przyśniło. Koniec, kropka, nie ma odwołania. Mówię to na wszelki wypadek, bo gdyby chciał pan postawić mnie w stan oskarżenia, nie będziemy mogli współpracować.

Znalazł pan coś ciekawego?

Rębowicz ze śmiechem pokręcił głową. Wreszcie zaczynał rozumieć, o jakim to zabójstwie ze względów uczuciowych napomknęła w niedzielę babka Barbara.

- Człowiek, który znał żonę i psa, a nie znał męża, to prawdopodobnie psi psycholog, niejaki Tomasz Rubel - oznajmił.

- A widzi pan! - wykrzyknął Leszek. - Byliśmy blisko.

W życiu bym nie wpadł na pomysł, że psy mają swoich psychologów.

Taki facet sporo tłumaczy. Rozmawiał pan z nim?

- Jestem umówiony jutro na jedenastą. Zanim tam pójde, muszę dziś po południu przejrzeć zdjęcia ze ślubu i z wesela w Lipnie. Spodziewam się paru ciekawostek.

Byłbym zobowiązany, gdyby zechciał pan przywieźć do komendy panią Izę, gdzieś tak o dwudziestej... Nie, nie, o dziewiętnastej mam kąpiel...

- Kąpiel? - zdziwił się Leszek.

- Właśnie. Umówmy się wstępnie na osiemnastą.

Cieplakową od biedy bym poznał, Cieplaka nie widziałem na oczy, a mogą być jeszcze inne niespodzianki.

Przelecimy zdjęcia i te wybrane dam chłopakom do odbicia.

- Nie ma sprawy, będziemy o osiemnastej - zapewnił Leszek. - Naraziłem się Bulwickiemu - mruknął. - Zobaczył, że kręcę się po firmie, i wpadł w złość.

Na szczęście wszystko już miałem ustalone. I tu panu powiem, że Bulwicki coraz bardziej mi podpada. Jest umoczony po uszy i nie umie sobie z tym poradzić. Nie mówię, że rąbnął Cieplakową. Nawet jestem pewien, że jej nie dotknął, chociaż głowy nie dam, czy w nocy z soboty na niedzielę nie był w willi współnika. Ale o tym później.

Żonę ma za to wyjątkowo bystrą. Pani Iza wspomniała mi o brygadzystce Marioli Żurek, oficjalnej faworycie Cieplaka. Zapragnąłem obejrzeć pannę Żurek nieco innym okiem niż pan. Pan tam był oficjalnie, ja próbowałem wkręcić do pracy siostrę. To znaczy nie Emilkę, tylko taką bliżej nieokreśloną dwudziestolatkę, która umie szyc na maszynie. Dostałem mglistą obietnicę, że się

zobaczy, co nie jest takie ważne. Powiem panu, że Cieplak chyba w ogóle nie ma gustu. Zauważył pan? Na wszelki wypadek zrobiłem zdjęcie. Na korytarzu Mariola Żurek gada z koleżankami. Niech pan sam popatrzy.

Wyjął komórkę, odszukał zdjęcie i podał Rębowiczowi, nie przerywając monologu.

- Czy tak powinna wyglądać subtelna kobieta? Pomijam wytarte džinsy i koszulkę polo. Szef mało płaci, więc się dla niego nie stroi. Za to widać, że dba o włosy.

Kolorek jej wyszedł po cholercze, taki bardziej sceniczny.

Co, pana zdaniem, ona ma na łbie? Fryzurę, bejsbolówkę czy chustkę pirata? Kiedy z nią gadałem, widziałem fryzurę, na zdjęciu widzę faceta w pirackiej chustce, ewentualnie w czapce z daszkiem zakrywającym kark.

- Dla mnie chustka pirata powinna być czarna - mruknął Rębowicz. - W

kratkę, w rzucik, ale czarna. Tyle mniej więcej zapamiętałem z młodzieńczych lektur.

- Zgadzam się z panem, jednak nie wszyscy tak myślą. Dla pani Ewy Szymki chustka pirata powinna być czerwona. Zresztą ona mówiła o symbolu, kapuje pan?

Każdy wiąże na czubku głowy to, co akurat ma w szafie, i jest okay. Jeśli pomyśleć logicznie, Ewa Szymka miała rację. Kto normalny maluje włosy na czerwono?

Widziała czerwony łeb, to sobie dośpiewała chustkę.

Do faceta nic innego nie pasowało.

- Jest pewna, że ten drugi niby-mężczyzna to była Mariola Żurek? - spytał

coraz bardziej przejęty Rębowicz.

- Pewna, to za dużo powiedziane. Kiedy pokazałem zdjęcie, krzyknęła, że to mógł być ten facet. Po raz drugi wzięła Mariolę za faceta.

- Bo ona przypomina faceta, i to niezbyt urodziwego.

Trochę się maluje, czego z daleka nie widać. Myślę, że trafił pan w dziesiątkę. W sobotę po południu mogła być u Cieplaka. I kto wie, czy właśnie z jej powodu Lipka nie została z drugiej strony furtki. To, co z daleka mogło uchodzić za faceta, z bliska wyglądało na babę i Cieplak wołał nie ryzykować.

Niewykluczone, że to są akurat rywalki. Nie zdziwiłbym się, gdyby to Mariola krzyczała, że na pampersy jest za stara.

- I nazwała szefa idiotą - dorzucił Leszek, bo akurat ten epitet dobrze zapamiętał.

- Możliwe, żeby ona była w ciąży?

- Trzydzieści lat to najlepszy wiek na rozmnażanie.

Ja bym raczej zatroszczył się o tatusia. Cieplak podobno przekroczył

sześćdziesiątkę. Jurny jest, ale czy aż do tego stopnia? - zafrasował się Leszek.

- Nie wiem, czy nie zaproszę Marioli Żurek do komendy - zastanowił się Rębowicz. - Komenda robi na ludziach większe wrażenie niż zwykła pogawędka gdzieś w korytarzu. - Właściwie powoli zaczęły przenosić się ze śledztwem do komendy. Będą oczywiście wyjątki. Pańska babka, wnuk Bulwickich.

- Babka, jeśli czegoś nie zagmatwa, to niewiele pomoże, w przeciwieństwie do Daniela. Ten mały może wpłynąć na losy śledztwa. Kręcił

się przy płocie, zaglądał, podglądał, w końcu wlaź w leszczybę. Mam wrażenie, że on jest kopalnią wiedzy, tylko trzeba umieć tę wiedzę wydobyć. Lubię pracować z dziećmi, a pan?

Komisarz skrzywił się, jakby go rozboleł ząb.

- Jakoś sobie poradzę - mruknął. - Gdyby pan chciał się włączyć...

- Jasne! - zawołał ochoczo Leszek.

Rębowicz spojrział na zegarek i zaczął się zbierać do odjazdu. Musiał

jeszcze załatwić kilka spraw. Gdzieś w połowie drogi do komendy przypomniał

sobie, że Leszek Kurczyło miał poważne zastrzeżenia do Jacka Bulwickiego.

Tak się składało, że komisarz Rębowicz też miał jakieś ale do Bulwickiego.

Była to niewielka, słabo sprecyzowana niechęć, jaką żywił do ludzi, którzy nieczysto grali. W tym wypadku kierował się bardziej intuicją niż rzetelną wiedzą. Sam siebie za to skarcił, co nie znaczy, że Jacek Bulwicki stał mu się bardziej sympatyczny.

Parę miesięcy wcześniej do komendy zawitał światowy postęp. Niemal w każdym pokoju stanął komputer.

Niestety, sprzęt ten odsłużył swoją młodość i najlepsze lata w prokuraturze i do policji dotarł w stanie agonalnym. Miał swoje lata i swoje narowy, zawieszał się, fiksował, więc wielkie pudła z wielkimi ekranami służyły głównie jako maszyny do pisania. Komisarz podał koledze z Lipna adres domowego laptopa, bo inaczej w życiu nie doczekałby się zdjęć z interesującego go ślubu. Po drodze wpadł do domu i trochę się zdziwił, że mieszkanie jest puste. Zostawił Justynie na stole kartkę z zapewnieniem, że kocha, całuje, postara się zdążyć na kąpiel, po czym złapał laptop i popędził do komendy, żeby w spokoju przejrzeć materiały.

Przed osiemnastą dostał telefon z biura przepustek i musiał zejść na dół

po gości. Iza Bulwicka w prostej lnianej sukience z haftem przy dekolcie bardzo ładnie odbijała się od osób zaludniających hol. Nastął wieczorny urodzaj na meneli i różne ludzkie odpady. Jeden miał obwiązaną głowę, drugi pokrwawioną marynarkę, trzeci zbyt hałaśliwie zapewniał o swojej niewinności.

- Tu zawsze taki ruch? - zdziwił się Leszek.

- Co pan chce, wśród stu trzydziestu tysięcy mieszkańców musi się znaleźć paru nieprzystosowanych - odparł Rębowicz.

Komisarz nie miał oddzielnego gabinetu. Dzielił pokój z pięcioma innymi kolegami. O tej porze jedynie aspirant Jasiak siedział za biurkiem i przesłuchiwał świadka. Podbudowywał go moralnie, nazywał uczciwym człowiekiem i wyciągał z chłopca to, co chciał. Miał swoje metody, które dawały nie najgorsze rezultaty, były tylko trochę hałaśliwe. Rębowicz posadził gości przy cudzym biurku w drugim końcu pokoju, żeby choć trochę odciąć się od Jasiaka.

- Pani Izo, cała nadzieja w pani. Proszę pokazywać wszystkich, których pani zna - powiedział, uruchamiając sprzęt.

Zdjęcia i filmy ze ślubów i wesel mają jeden wspólny mianownik: są potwornie nudne dla wszystkich, z wyjątkiem głównych bohaterów uroczystości i ich mam.

Panna młoda w piance z tiulu, pan młody pod muchą, pożegnanie, powitanie, błogosławieństwo, przejazd w tę i tamtą stronę. Długie ujęcie wewnątrz kościelnych, a potem ławka po ławce prezentacja zaproszonych gości.

- Jest Mirabelka. Siedzi w drugiej ławce od ołtarza. - Iza wskazała korpulentną kobietę z lokami do ramion.

Ostry, teatralny makijaż dość wyraźnie odbijał od cyklamenowej sukni i czarnego bolerka.

- Całkiem przyzwoity lachon - mruknął Leszek. - Emilka niepotrzebnie ją szkaluje.

- A mąż? Męża nie ma obok? - spytał komisarz.

- Nie ma. Mirabelka wygląda tu na singielkę i nie wydaje się doczepiona do żadnego z panów, a każdy pan jest doczepiony do jakiejś pani.

W piątej ławce komisarz dostrzegł Zofię Kurczyłową.

Siedziała z głową nabożnie pochyloną na bok, z przymkniętymi oczami. I wreszcie na samym końcu, tuż przy drzwiach, Iza wypatrzyła Cieplaka. Stał w cieniu pod chórem i trochę zlewał się z tłem.

- Zajął strategiczną pozycję - zauważył Leszek. - Lada moment pryśnie, wsiądzie do hondy i nie zobaczą go wcześniej niż przed północą.

Spostrzeżenie musiało być trafne, bo Maciej nie ustawił się przed kościołem w długim ogonku do życzeń.

Mirabelka stała oddzielnie, pani Zofia oddzielnie, jego nie było. Na jednym ze zdjęć młody człowiek pomagał wsiąść Zofii Kurczyłowej do opla, co by znaczyło, że ktoś z rodziny lub znajomych podwiózł ją do zajazdu.

Mirabelka prawdopodobnie zabrała się podstawionym autokarem. W

kawalkadzie samochodów nie dało się odnaleźć czarnej hondy Cieplaka.

Najpewniej była już daleko poza Lipnem.

Mężczyzna nazwany przez panią Zofię Kałmukiem pojawił się obok Mirabelki już w zajeździe w czasie zajmowania miejsc przy stołach. Niższy o pół głowy od partnerki, twarz miał okrągłą i pomarszczoną, nos krótki, szeroki, ale w jego fizjonomii trudno się było dopatrzeć skośnych oczu i wystających kości policzkowych. Nie był aż taki brzydki, jak opowiadała pani Zofia. Piękny też nie, chociaż, zdaniem Izy, dla Mirabelki stanowczo za ładny. W miarę jak zabawa się rozwijała, kobieta wyraźnie brzydła. Rysy jej grubiały, makijaż się rozmazywał i było widać, że jest coraz bardziej pijana.

Nie tańczyła chyba wcale, bo na wszystkich ujęciach widać ją było za stołem w towarzystwie Kałmuka.

- Powiem wam, że takiej Mirabelki nigdy nie widziałam - stwierdziła Iza.

- Uczestniczyłyśmy razem w niejednej koleżeńskej balandze. Ja piję niewiele, ona tyle samo lub mniej. Na tych zdjęciach nie wygląda normalnie. I powiem wam jeszcze, że podpada mi ten facet.

Może to typowy zajazdowy truteń, który wślizguje się na przyjęcia, żeby podjeść i popić?

- Przyjąłbym raczej wersję pani Zofii, która przypuszcza, że ten człowiek przyjechał dla Mirabelki - powiedział komisarz.

- Byli umówieni? - spytał Leszek.

- Powiedzmy, że tak.

Iza zaprotestowała.

- Przecież był jeszcze Cieplak. On nie musi kochać żony, ale gachowi dałby w zęby, żeby bronić swojego honoru.

- A jeśli Mirabelka wiedziała, że mąż ma zamiar się urwać? - zauważył

komisarz.

- To wszystko zmienia - przyznał Leszek. - Wiedziała oficjalnie czy nieoficjalnie umówiła się z facetem, żeby nie zostać na lodzie. I to by znaczyło, że on jest bardziej stąd niż z Lipna. Choć dzisiaj można się umówić na odległość w dwie minuty, to żaden kłopot.

- Wiem już, czemu ten facet mi podpada - wykrzyknęła z ulgą Iza. - Po Mirabelce widać, że pije, po nim wcale.

- Dziecko drogie! - roześmiał się Leszek. - Nie on jeden w miarę picia wygląda coraz trzeźwiej. Znam jeszcze paru facetów obdarzonych taką zaletą.

- Myśli pan o sobie? - spytała z dziwnym błyskiem w oku.

- Nie, tym razem wyjątkowo nie myślę o sobie. Podobnie jak pani, piję mało albo jeszcze mniej.

- Nie lekceważyłbym spostrzeżenia pani Izy - oznajmił komisarz. -

Popatrzcie na ich szkło. Ona albo pije, albo właśnie wypiła, a jego kieliszek zawsze jest pełny.

Ktoś tu markuje i na pewno nie jest to Cieplakowa.

Gorsząca scena na parkiecie, o której z takim zażenowaniem opowiadała Zofia Kurczyłłowa, nie została sfotografowana. Po prostu w pewnym momencie para Mirabelka - Kałmuk zniknęła z obiektywu, natomiast pojawił się Maciej Cieplak, wysoki, potężny mężczyzna z solidnym brzuchem i bardzo wysokim czołem. Tańczył z różnymi paniami, wdzięczył się i puszył, przy czym nie wyglądał na mężczyznę zmartwionego zniknięciem żony. Może nawet nie zauważył jej braku.

Rębowicz wybrał już zdjęcia, które zamierzał odbić, i pobieżnie przeglądał materiał z zabawy.

- O kurczę! - zawołał. - Patrzcie, co przeoczyliśmy.

Pochylili się nad ekranem. Na pierwszym planie jakiś młodzieniec, możliwe, że drużba, unosił pannę młodą na rękach. Krótki welon zasłaniał twarz bohaterki wieczoru, ale i tak widać było jej szeroki uśmiech. W tle stało kilka osób. Między innymi szczupła kobieta w popielatej garsonce, obok niej, ramię w ramię, niewysoki mężczyzna z nosem jak kartofel.

- Pani Zofia i Kałmuk - szepnęła zaskoczona Iza. - Myślicie, że to przypadek?

- Przypadki w życiu też się zdarzają - przyznał Leszek. - Mnie to jednak wygląda na rozmowę przerwana w pół zdania. Nie żadną awanturę najeżoną pretensjami, tylko zwykłą rozmowę. Może nie o polityce, może o interesach.

- Aż tak! - zastanowił się komisarz. - Nie wiem, czy nie poszedł pan trochę za daleko. Zdjęcie jest na pewno zrobione przed oczepinami. Za chwilę Kałmuk i Mirabelka znikną ze sceny. Ciekawe, czy to jest przed ich upadkiem na parkiet, czy po?

- A ten upadek w ogóle miał miejsce? - zastanowił się Leszek. - Nie jest to co prawda kluczowe wydarzenie w całej sprawie, jednak warto poszukać potwierdzenia.

- Też tak myślę - mruknął komisarz.

Pożegnali się na parkingu przed komendą. Rębowicz zerknął na zegarek.

- No, zdążę na kąpiel - westchnął z ulgą.

- Jakaś specjalna sauna czy bania? - zainteresował się Leszek.

- Niemowlaki można kąpać w saunie? - zdziwił się młody tata.

- Niemowlaki? - Leszek roześmiał się i pokręcił głową. - Niemowlaków z całą pewnością nie pierzemy w saunie.

Iza zgrabnie wycofała samochód i zatrzymała się, żeby przepuścić lawetę z dwoma wrakami.

- Dziwny z pana człowiek - powiedziała. - Czy pan w ogóle ma dzieci?

- Nic o tym nie wiem. Dlaczego pani pyta?

- Mojego wnuka chciał pan upiec, teraz mówi pan o praniu niemowlaków, a ja uważam, że dzieci nie nadają się do tego typu żartów.

- To co, sprzeczamy się czy każde z nas pozostaje przy swoim zdaniu?

- Każde przy swoim - powiedziała.

Miała ochotę wybuchnąć śmiechem. Jej niechęć do Leszka Kurczyły dawno już wywietrzała. Jeszcze nie mogła powiedzieć, że za nim przepada, ale już nie mogła powiedzieć, że go nie lubi, zwłaszcza gdy wbrew metryce nazwał

ją dzieckiem. Lubiła czasem poczuć się małą kruszynką, której potrzebny silny mężczyzna. Choćby taki wielkolud jak Leszek, z gęstymi, obwisłymi brwiami i bardzo dobitnym głosem. Jacek przy nim wyglądał jak nieopierzony harcerzyk i coraz bardziej ją martwił. Powoli zaczynała nabierać pewności, że mąż ukrywa jakąś niedobłą tajemnicę powiązaną z wypadkiem w domu Cieplaków. Od sobotniego grilla Jacek nie był sobą. Kłamać i kręcić nie umiał, prawdy powiedzieć nie chciał i brnął w jakieś dziwne uwikłania, z którymi sam sobie nie radził. Zachowywał się wręcz głupio, niczym chłopiec, który ucieka do lasu, zamiast stawić czoło kłopotom.

- Wie pani może, gdzie mieszka pani Lipka? - spytał Leszek.

- Całkiem niedaleko stąd. Chyba nie chce pan składać jej wizyty?

- Przeciwnie. Emilka teraz zwalnia ją wcześniej, kobiecina siedzi w domu, to na pewno chętnie poczęstuje nas herbatą. W każdym razie tak to widzę.

- Jakies kwiaty po drodze?

- O nie, nie! Gotowa pomyśleć o oświadczeniach i co wtedy zrobię.

- To, co serce panu podyktuje. Jest pan wolnym człowiekiem.

- Nie jestem. Mam poważne zobowiązania wobec siebie samego, i tak manewruję, żeby unikać niepotrzebnych kłopotów. To co, wykręcimy do pani Haliny?

Mam nawet całkiem ładny pretekst. Pogadam z nią o przyszłości babki.

Jakie to piękne, że nawet dziewięćdziesięciolatki mają przed sobą przyszłość.

- Ależ się pan rozmarzył - powiedziała wesoło Iza. - To niech pan jeszcze sprawi, żeby nam nie gwizdnęli albo nie porysowali samochodu. Stoimy na ulicy, która nie należy do najbezpieczniejszych.

Zatrzymała samochód przed ciemną, obskurną bramą.

Dwaj mocno sfatygowani dżentelmeni przyglądali im się ciekawie.

Najwyraźniej z nudów pilnowali cuchnącej uryną bramy i przy okazji sączyli piwo z plastikowych butelek. Iza wyminęła ich szybkim krokiem i zaczęła wspinać się po brudnych, wyszczerbionych schodach.

Na pierwszym piętrze zatrzymała się przy drzwiach z tabliczką H.S.

Lipkowie. Nacisnęła dzwonek raz, drugi, trzeci. Odpowiedziała głucha cisza.

- W taki wieczór nawet w zagrożonym śródmieściu nikt nie siedzi w domu - powiedziała.

Nie czuła się dobrze na tej zaplutej klatce schodowej.

Z ulgą zaczęła zbiegać po schodach. Na półpiętrze zatrzymała się, żeby poprawić pasek sandałka, spojrzała w brudne okno i całkiem odruchowo złapała Leszka za rękę. Zdziwiony, odwzajemnił uścisk i przytrzymał jej drobną dłoń.

Chyba nawet tego nie zauważyła.

- Na podwórku stoi honda Cieplaka - wyszeptała.

- Jest pani pewna?

Energicznie skinęła głową.

- Znam jego numery.

Wyciągnął komórkę, z trudem otworzył okno i zrobił kilka zdjęć.

- Wychodząc, nie zaglądamy na podwórko. Nie ma sensu się wystawiać -

powiedział konspiracyjnym szeptem. Objął Izę tak, jak mężczyźni obejmują swoje kobiety, niezbyt mocno, za to władczo, i tak weszli do bramy.

Dwaj dżentelmeni oglądali pod światło puste butelki i z niedowierzaniem kręcili głowami.

- Upał, co? Pić się chce - zagadał do nich Leszek.

- Oj, tak, tak - przytaknął wyższy. - My tu z kolegą cały czas miałem na oku samochodzik szanownego pana. Dzielnica niebezpieczna.

- Myśli pan, że lepiej parkować na podwórku? - spytał Leszek. Z

niechęcią zdjął rękę z talii Izy i wyciągnął z kieszeni portmonek.

- Toć pewnie że tak, ale podwórko jest tylko dla mieszkańców.

- Ładny wozik tam stoi. Ta honda to tutejsza? - spytał.

Bawił się portmoneką, ale jej nie otwierał. Dwie pary spragnionych oczu śledziły każdy jego ruch.

- I tak, i nie - wyjaśnił ten wyższy. - Do jednej lokatorki od nas czasem przyjeżdża jej pierwszy mąż.

- Pierwszy? - zdziwił się Leszek. - A co na to ten drugi?

- Jemu tam wszystko jedno, on se dawno umarł.

- Miły ten pierwszy, jeśli pociesza żonę po stracie drugiego - westchnął

Leszek. - Ja bym tak nie umiał, a pan?

- Jak człowiek raz z miski wyskoczy, to nie powinien się do niej pchać drugi raz. Takie jest moje zdanie.

- Bardzo mądre zdanie - zgodził się Leszek.

Otworzył wreszcie portmonetkę i podziękował dobrym ludziom za przypilnowanie samochodu.

- A państwo to kogo szuka? - spytał ten wyższy i rozmowniejszy.

- Najwidoczniej panów szukaliśmy - wyjaśnił Leszek. - Nigdy nie zapomnę tego pięknego powiedzenia, że dwa razy nie wchodzi się do tej samej miski. Tylko co robić ze zużyтыми?

Dżentelmeni nie zawracali sobie głów odpowiedzią.

Nawet nie rozejrzeli się na boki, czy nie jedzie jakiś samochód, tylko puścili się biegiem do sklepu po przeciwnej stronie ulicy.

Rębowicz zaparkował trochę dalej niż zwykle i doszedł pod drzwi klatki niemal równocześnie z Justyną pchającą przed sobą wózek. Żadne inne pytanie poza rutynowym: „Gdzie byłaś?”, nie przyszło mu do głowy. Obrzuciła go gniewnym spojrzeniem.

- Aż taki z ciebie Bond, że nie odbierasz telefonów i nie odpowiadasz na SMS-y? Fajne maniery jak na śledczego, który rozdaje wizytówki na lewo i na prawo.

Rębowicz tak był zaskoczony, że choć stali w otwartych drzwiach i wózek zagradzał przejście, próbował wyłuskać z kieszeni komórkę. Chciał

natychmiast dać odpór fałszywym oskarżeniom. I znowu Justyna musiała warknąć, żeby łapał słodki ciężar i zasuwał na górę, bo głodna Zuzia lada moment zacznie koncert. Dopiero w domu, kiedy żona szykowała kąpiel, miał

okazję zajrzeć do rozładowanej komórki, która najwyraźniej siadła po południu.

Po podłączeniu do zasilacza znalazł w wiadomościach jedno nieodebrane połączenie od żony i cztery SMS-y. „Boję się, przyjedź. U Rojków coś nie tak” i drugi: „Ona wróciła taksówką, ale nie weszła do domu”. Trzeci i czwarty nieodebrany SMS pochodził z obcego telefonu i był podpisany Leszek K.

„Niech pan zadzwoni. Znaleźliśmy z p. Izą hondę Macieja C.” Było też zdjęcie hondy w otoczeniu, które całkiem nie pasowało do eleganckich aut. Ostatnia informacja poruszyła Rębowicza do głębi. Już miał

dzwonić, kiedy z łazienki wynurzyła się Justyna. Pionowa zmarszczka między jej brwiami nie wróżyła nic dobrego.

- Komórka mi się rozładowała - powiedział przeprasząco.

- Pewnym ludziom nie powinno się to nigdy zdarzać - mruknęła ze złością.

Miała rację, jednak to, że ją miała, było jeszcze gorsze od bezpodstawnych zarzutów.

- Co z Rojkami? - zagadał, żeby zmienić temat.

- Czy ty się kiedyś bałeś? - spytała. - Nie na ulicy, nie w pogoni za szumowinami, ale we własnym domu?

W czterech ścianach, które sam urządziłaś? Zaraz mi powiesz, że to początek choroby psychicznej, że zaczynam słyszeć głosy, których nie ma.

Mów, co chcesz, ja się boję siedzieć w tym domu! - krzyknęła. - Dzieje się tu coś całkiem nienormalnego. Naprawdę słyszę głosy, których do tej pory nie było. Leciutkie stukanie, zawodzenia wiatru, gdy żaden listek na dworze nawet nie drgnie. Myślałam, że coś się stało z Rojkową, że ten drań za mocno jej przyłożył. Dzisiaj podjechała pod dom taksówką i na pewno była żywa. Musiała nie mieć kluczy albo czekała na Rojka, dość że pogapiła się w swoje okna i odjechała.

- Czyli masz dowód, że nic się nie stało - powiedział Rębowicz i próbował przytulić żonę.

Odepchnęła jego rękę, wymknęła mu się z objęć, zła i obca jednocześnie.

- Ten strach siedzi we mnie, on nie minął. Musiałam dzisiaj uciekać z domu, żeby chronić siebie i małą - powiedziała.

Do Zuzi widać dotarło, że o niej mowa, bo pisnęła raz i drugi, jakby próbowała znaleźć właściwy ton, i ryknęła z głębi płuc. Wyciągnięta z wózka trochę się uciszyła. Kąpiel upłynęła w całkowitym milczeniu. Justyna analizowała swój strach, natomiast Jarosław Rębowicz nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie porozmawia z Leszkiem Kurczyłłą, co nie znaczy, że tak zupełnie bagatelizował lęki żony. Justyna nie była histeryczką, nie wrzeszczała na widok pajaka czy myszy, miała zdrowe, racjonalne podejście do różnych zjawisk przyrody i jeżeli taka osoba mówiła o nieuzasadnionym strachu, to znaczyło tylko jedno: była przemęczona i niedospana. Mimo szczerej miłości nie umiał pomóc żonie. Pocieszał się, że już niedługo Zuzia podrośnie, a wtedy Justyna solidnie się wyśpi i znajdzie więcej czasu dla siebie i dla męża. „Takie już jest to nasze życie, nic na to nie poradzimy”, mrucał, wybierając z komórki numer Leszka.

Rewelacje Kurczyłły całkowicie zmieniały opinie komisarza o Halinie Lipce.

- W kamienicy Lipki - donosił Kurczyłło - ludzie myślą, że Cieplak to jej pierwszy mąż. Pani Iza twierdzi, że to bzdura, że przed Mirabelką Cieplak nie miał innej żony. Facet do trzydziestki był kawalerem. Miał opinię rozrywkowego gościa, lubił otaczać się kobietami, brylować, więc wśród satelickich pań mogła być jakaś cyncata Halinka, czemu nie. Tak czy siak teraz przyjęła go pod swój dach, ochroniła, więc siedzi po uszy w całej tej aferze. Ma pan zamiar wejść do tego mieszkania?

- Dzisiaj i tak jest już za późno. Szef nie jest przekonany do tej akcji.

Podstawy mam raczej marne. Co policji do tego, że Cieplak nie wrócił do domu, tylko zatrzymał się

u kochanki?

- Ktoś mu w tym czasie mocno uszkodził żonę, a to już może zainteresować policję - zauważył Leszek.

- Cały czas na tym bazuję, ale szef się zastanawia.

- Odkąd pozbyłem się szefów, jestem wyjątkowo szczęśliwym człowiekiem - przyznał Leszek. - Za małe pięć lat radzę panu zrobić to samo.

- Zrobiłbym nawet jutro, gdybym był samotnym żubrem jak pan. Moja córka ma dopiero trzy miesiące. Wypadałoby dziecko wychować i jakoś wykształcić.

- Ma pan kiepskie pojęcie o żubrach! - Leszek roześmiał się i nawet gdyby chciał sobie jeszcze pogadać, to Rębowicz musiał przerwać rozmowę, bo do pokoju weszła Justyna. Spojrzał na żonę i serce mu się ścisnęło.

W jasnym świetle żyrandola wyglądała bardzo źle. Oczy miała podkrążone, była blada i inna niż zawsze. Kochał w niej radość życia i temperament, a teraz patrzył na szary balonik, z którego uszło powietrze.

Zdecydowanym ruchem odłożył komórkę.

- Co ci jest, maleńka? - spytał. - Co cię tak wystraszyło?

Rojek, który wali żonę na odlew, ale jeszcze ani razu jej nie utłukł?

Rojkowa, która podjeżdża taksówką pod dom? Właściwie od kiedy im się tak polepszyło, że ona rozbija się taksówkami?

- To jakiś znajomy, ona często z nim jeździ - odrzekła Justyna. Podeszła do męża, usiadła mu na kolanach i wtuliła nos w zagłębienie obojczyka.

Przytuliła się mocno. - Nawet jak siedzę tak blisko ciebie, to też się boję -

powiedziała i nagle zeszywniała, jakby ręce i kark miała z drutu. - Posłuchaj, tylko posłuchaj! - szepnęła.

Gdzieś z daleka, trudno powiedzieć, że akurat zza ściany, docierał dziwny głos, przypominający jakieś „uhu” albo „uhuhu”.

- Może ktoś ogląda horror na wideo - powiedział Rębowicz i objął mocno żonę. - W bloku z płyty różne odgłosy się zdarzają.

- Możliwe! Nigdy jednak nie miałam wrażenia, że te różne odgłosy dochodzą z zaświatów. Teraz mam. Ten głos jest i jakby go już nie było...

- Dziwaczysz, maleńka.

- Nie dziwaczę! - zaprotestowała. - Są takie sytuacje, że się po prostu wie i już. Kiedy jeszcze mieszkałam w Toruniu z rodzicami, obudził mnie w nocy dziwny hałas. Miałam wrażenie, że coś spadło z dużej wysokości, jakiś worek lub torba i że dom zatrzęsł się w posadach. Poczułam potworny, dławiący strach. Chwilę potem na klatce schodowej zaczęły się krzyki. Mama też się obudziła i też była wystraszona. Podbiegłyśmy do okna w kuchni. Na dole coś leżało, coś jak rozrzucony koc. Chwilę potem z klatki wypadli ludzie i doskoczyli do tego koca. Zaczął się wielki płacz i zawodzenie. Nasz młody sąsiad, osiemnastolatek, rzucił się z dziesiątego piętra. A ja od momentu przebudzenia czułam, że dzieje się coś strasznego. I teraz też czuję tamten lęk.

- To tylko twoja wybujała fantazja - tłumaczył cicho Jarosław Rębowicz. -

Nie wierzę w przeczucia. Albo coś wiemy, albo nie. Czasem, mając konkretne przesłanki, jesteśmy w stanie przewidzieć finał, ale to jest praca umysłowa, nie uczuciowa.

- Nie masz racji - mruknęła Justyna. - Zupełnie nie masz racji ani z przeczuciem, ani z Rojkami. Należało do nich wejść na siłę już wczoraj.

- W państwie prawa nie możesz na siłę wchodzić nikomu do mieszkania -

sprzeciwił się Rębowicz. - Musisz mieć poważne podejrzenia, że stało się coś złego, i musisz mieć nakaz prokuratorski. Jutro może się tak zdarzyć, że będę wchodził na siłę do cudzego mieszkania. I powiem ci, że bardzo, ale to bardzo tego nie lubię.

- Strasznie jesteś delikatny jak na śledczego - mruknęła leniwie. - Z takim nastawieniem powinieneś zająć się hodowlą kwiatków.

- Albo sprzedawaniem w aptece.

- Nie. W aptece są też trucizny i przez nieuwagę możesz przenieść człowieka w inny wymiar. Hodowla kwiatków bezpieczniejsza - wyjaśniła Justyna. Objęła męża za szyję i po chwili już spała. Jarosław wziął ją na ręce i delikatnie zaniósł na łóżko w sypialni. Godzina była jeszcze na tyle wczesna, że zaparzył sobie herbaty w filiżance i rozłożył papiery dotyczące Cieplaków. Miał

zamiar przygotować się do jutrzejszej rozmowy z psim psychologiem.

Szkicował właśnie pytania na kartce, kiedy za ścianą u Rojków dały się słyszeć nietypowe odgłosy. Typowe to były wrzaski, walenie, trzaskające szkło, a tym razem miał wrażenie, że ktoś tańczy na ścianie.

Sunie ręką w prawo, sunie ręką w lewo i robi takie dziwne „ffuu”, jakby spuszczał nadmiar powietrza z koła.

Odruchowo spojrzął na zegarek. Dochodziła jedenasta.

W nocy z podwórka na Cygance zniknęła czarna honda, a zatem z mieszkania na piętrze

najprawdopodobniej zniknął też Cieplak. Komisarz Rębowicz zdobył nakaz rewizji, posłał do Michelina samochód po Halinę Lipkę.

Sam próbował nieco się rozejrzeć.

Kamienica była typowa dla zaniedbanego śródmieścia. Cokolwiek działo się wokół, nikt nic nie widział, nikt nic nie słyszał, więc jeśli nie widział i nie słyszał, to o czym miał opowiadać? Obowiązywała surowa zasada: ślepy-głuchy-niemy. Sąsiad na dole, siłą wyciągnięty z potężnego kaca, nie rozumiał

nawet prostych pytań i w kamień zapomniał, jak się nazywa. Dłuższa rozmowa z nim groziła zatruciem oparami denaturatu.

Więcej pożytku było z sąsiadki na piętrze. Kobięcina poruszała się o lasce, z trudem ciągnęła za sobą nogę, ale była trzeźwa i obdarzona nie najgorszym wzrokiem i słuchem. Pojawienie się Rębowicza potraktowała jako okazję do towarzyskiej pogawędki. O Halinie Lipce nie miała słów. Nazywała ją dobrą, uczynną kobietą.

- Dawno pani Lipka tu mieszka? - spytał komisarz.

- Ze trzydzieści lat, jak nie więcej. Jej mąż urodził się w tej kamienicy, a ona po ślubie do niego dołączyła.

Dobrzy, porządni ludzie. Dwoje dzieci wychowali też na ludzi, no ale będzie z dziesięć lat, jak Sylwek wyprowadził się na cmentarz. A ona, bidusia, wciąż jeszcze pracuje. Jeździ do opieki nad dzieckiem czy coś takiego i po całych dniach jej nie ma.

- Czy pani Lipka miała wielu gości?

- Wpadała tu czasem jej koleżanka z Tumskiej, taka Stasia, wpadała jeszcze jedna, no i od czasu do czasu przyjeżdżał ten pierwszy mąż. Bardzo przystojny, bardzo okazały mężczyzna.

- Kiedy go pani ostatni raz widziała?

- Nie tak dawno. W czwartek albo w piątek przyjechał z jakimś pakunkiem. Coś jak obraz albo deska owinięta w papier.

- W niedzielę był?

Kobieta w zamyśleniu podrapała się po brodzie.

- W niedzielę przed wieczorem to ja tylko autko widziałam. On to autko zawsze stawiał na podwórku, żeby złych ludzi nie kusić. Ja lubię wyjrzeć na podwórko, ale czasem muszę odejść od okna, żeby coś w domu zrobić. Po obiedzie zerknęłam, stał tylko grat Piekarskiego, a tuż przed kolacją obok grata zobaczyłam autko męża Halinki. Piękne, bardzo piękne. Mąż musiał wysiąść wcześniej. To autko stało aż do dzisiejszej nocy i taki jeden je zabrał.

- Proszę opowiedzieć, jak to było.

- Nie mogłam spać, kolano mnie rwało, to dreptałam po chałupie od drzwi do okna. I widziałam, jak po samochód przyszedł jakiś gość. Nie wyglądał na złodzieja. Kluczykiem machnął, światła włączył, wszedł jak do swojego i pojechał.

- Zauważyła pani, jak wyglądał?

- Chudy, wysoki, łysy. Nie przypominał pierwszego męża Halinki.

- Łysy? Może się pani przywidziało? - zdziwił się Rębowicz.

- Teraz to głowy nie dam, ale w nocy chyba widziałam łysą głacę. Na parterze u szewca pili, światło z okien biło na podwórko, to widziałam... Ale noc to noc, więc mogło mi się przywidzieć.

- Od niedzieli do wczoraj nikt się nie kręcił po waszym piętrze?

- Oj, był ruch, był. Nawet po nocy ktoś tu łaził, chociaż nie wiem kto. Jak nie przyfiluję przez okno, jak akurat nie usłyszę kroków na schodach, to nim doczłapię się do wizjera, na korytarzu już nikogo nie ma.

Przy wizjerze też cały czas nie wystoję, bo ja mam chore kolana. Na przykład wczoraj przed wieczorem dobijało się do Halinki jakieś małżeństwo.

On duży, czarniawy, ona drobna, w jasnej sukience. Ładna para, bardzo ładna.

Ona tak po schodach leciutko biegła, jakby frunęła.

W porę ich wychwyciłam i zdążyłam obejrzeć. Zadzwonili ze dwa razy i poszli.

- A pani Halina nie pukała czasem do swoich drzwi?

- No co pan takie rzeczy opowiada!? Halinka ma klucze. Poza tym ona mówiła, że wyjeżdża do Raciążka.

Nakupiła mi takich chlebków, co się nie starzeją, i pojechała.

- Czy pod nieobecność pani Lipki z jej mieszkania nie docierały jakieś podejrzane odgłosy?

- Wczoraj po obiedzie mi się zdawało, że Halinka wróciła, nawet zapukałam do niej, ale to był tylko omam.

Sąsiadka Lipki miała jedno okno od frontu, drugie od podwórka. Wołała chyba to od podwórka, gdzie kręciło się więcej znajomych. Rębowicz stanął w tym od ulicy, żeby widzieć nadjeżdżający samochód. Zanim jeszcze policjanci do niego zatelefonowali, poczęstował kobietę jakimś zdawkowym komplementem. Odpowiedziała coś takiego, że zaprasza częściej, że wiele wie o innych mieszkańcach domu. Była to wylewność rzadko spotykana w tej dzielnicy. Kobięcisko usycha z

nudów, pomyślał Rębowicz. I choć zamknął za sobą starannie drzwi, wciąż czuł na plecach czujne oko staruszki. Takiej gratki to już ona nie mogła sobie darować i mimo bolącego kolana z całą pewnością warowała przy wizjerze.

Halina Lipka wciąż miała na sobie błękitną bluzkę z włoskim butem zdobiącym pierś. Wydawała się bardzo zdenerwowana. Nakaz rewizji tak ją rozdygotał, że nie mogła znaleźć kluczy w torebce.

- Ale właściwie o co chodzi? - pytała. - O co jestem podejrzana? Dlaczego rewizja?

Rębowicz podał jej komórkę ze zdjęciem hondy.

- Poznaje pani samochód i miejsce? - spytał.

Nie odpowiedziała. Z wielkim trudem umieściła klucz w zamku, lecz z nerwów nie umiała go przekręcić. Komisarz przez chwilę patrzył na te daremne zmagania, odruchowo nacisnął klamkę i drzwi same ustąpiły. Najwidoczniej nie były zamknięte. Do przedpokoju weszli w czwórkę: Halina Lipka, za nią Rębowicz, a na końcu dwaj policjanci, którzy Lipkę dowieźli.

Mieszkanie było niewielkie i łatwe do opanowania.

Z przedpokoju wejście do łazienki i drugie do kuchni. Z kuchni przechodziło się do pokoju. Bałagan wskazywał na męskie porządki. Na stole okruchy i resztki jedzenia, w zlewie sterta brudnych szklanek i talerzy, tapczan w pokoju ze skotłowaną pościelą. Okna pozamykane, duchota, a w powietrzu aż gęsto od much.

- Tylko proszę mi nie wmawiać, że u pani zawsze taki porządek -

powiedział Rębowicz.

- Porządek? Jaki to porządek! - krzyknęła, głos jej się nagle załamał i przeszedł w szloch. - Co tu się dzieje? - pytała przez łzy. - Co zrobiliście z moją kuchnią? Skąd te muchy?

Rębowicz odsunął krzesło i próbował usadzić Lipkę przy brudnym stole.

Wyrwała się, zmoczyła nad zlewem jakąś ścierkę i starła okruchy. Trzęsła się cała od wewnętrznego szlochu.

- Mnie pani pyta, co tu się dzieje? - zdziwił się komisarz. - Przecież to pani wynajęła mieszkanie Cieplakowi!

Żachnęła się, ale nie zaprzeczyła.

- Gdzie on jest?

- Skąd mogę wiedzieć!

Do kuchni zajrzał policjant, który zaczął zwiedzać mieszkanie od łazienki. Wywołał komisarza pod

pretekstem, że koniecznie chce mu coś pokazać. Minę miał przy tym bardzo jednoznaczną.

- Breloczek? - szepnął z odrazą Rębowicz.
- Raczej szuwarek - odszepnął policjant.
- Cholera - mruzczał Rębowicz, wychodząc z kuchni.
- Nie lubię wisielców, ale topielców też nie znoszę.

Stanęli we trzech nad wielką żeliwną wanną, w której nawet wysoki mężczyzna mógł się wygodnie położyć.

Ten, który spoczywał na dnie, wcale nie był wysoki.

Najprawdopodobniej morderca zaskoczył go w momencie kąpieli. Sine ślady na szyi świadczyły, że denat nie żegnał się z tym światem dobrowolnie.

- Jakies ubrania znaleźliście? - spytał Rębowicz. Wyciągnął notes i zaczął robić szkic sytuacyjny. Odręczny, taki na swój użytek.

- Ciemny gang, różowa koszula, cienki portfel, dowód osobisty na nazwisko Jerzy Podskok. Zdjęcie pasuje do denata.

- Gdzie zameldowany?

- W Lipnie. Chłopaczyna przyjechał na gościnne występy.

- Bez żartów, chłopaki - mruknął komisarz. - Przyszedłem tu po żywego Macieja Cieplaka, zastałem topielca, który za życia miał nieoficjalną ksywę Kałmuk.

Jerzy Podskok, mówicie? To jeszcze mi powiedzcie, co on tu, do cholery, robi, poza tym, że zmusza mnie do spisywania kolejnego protokołu oględzin?

- On się tu moczy, panie komisarzu! - zameldował wysoki brunet.

- Mniej więcej od kiedy?

- Tak na oko od wczoraj.

- Sztuka się zgadza, a personalia nie za bardzo? - zdziwił się ten, który odkrył denata.

Rębowicz wciąż patrzył z zaszępioną miną. Umieścił już łazienkę w mieszkaniu, wyrysował wannę, zaznaczył położenie zwłok i drzwi, tak usytuowane, że osoba siedząca w wannie nie widziała, kto zagląda do łazienki.

Teraz można się było spodziewać, że zajrzy Lipka, ale dochodzące z kuchni odgłosy świadczyły, że

wzięła się do robienia porządków i zapomniała o bożym świecie. Wsadziła na moment głowę, powiedziała, że szuka szmaty do podłogi, zerknęła na wannę i zbladła jak ściana.

- Zna pani tego człowieka? - spytał Rębowicz.

Topielec wciąż spoczywał pod wodą. Lipka spojrzała w jego wielkie, wybałuszone oczy i natychmiast odwróciła głowę. Widok nie był przyjemny także dla policjantów, choć widzieli w swoim życiu różnych nieboszczyków.

- Nie znam tego pana - powiedziała ochryłym głosem. - Nigdy go nie widziałam.

Rębowicz wyprowadził kobietę do kuchni, która powoli zaczynała przypominać mieszkanie. Gdzieś tam bzykały jeszcze w powietrzu muchy, ale można już było usiąść przy czystym stole i coś tam wypić. Rębowicz poprosił o kawę. Chciał zająć czymś roztrzęsioną Lipkę.

Sam w tym czasie wezwał ekipę techniczną i skontaktował się z prokuratorem Szopskim.

Spróbował kawy, pochwalił i spojrzał uważnie na swoją rozmówczynię.

- Kiedy ostatni raz była pani w tym mieszkaniu? - spytał.

- To jest moje mieszkanie - szepnęła.

- Kiedy ostatni raz była pani w tym mieszkaniu?

Dzisiaj rano? Wczoraj wieczorem?

- Chwilowo mieszkam u koleżanki.

Rębowicz westchnął ciężko. Do szafu doprowadzali go ludzie, którzy odpowiadali na całkiem inne pytania, niż on zadawał. Nauczył się drażnić tak długo, aż wreszcie jego było na wierzchu. Lipka, wierząc się na taborecie, przyznała, że z soboty na niedzielę jeszcze nocowała u siebie, a w niedzielę w południe przeniosła się do koleżanki na Tumską.

- Dlaczego? Kto panią o to prosił i kto pod pani nieobecność zamieszkał

w tym lokalu?

- Umowa była trochę inna. Mieliśmy tu zamieszkać razem, ja nie miałam się wynosić. Nawet nie wzięłam ubrań na zmianę.

- Kto panią o to prosił?

Lipka znowu zaczęła się kręcić na taborecie, jakby przez pomyłkę usiadła na jeżu.

- Przecież pan wie... Sam pan mówił - szepnęła.

- Kto? - powtórzył komisarz.

- Maciej Cieplak.

- Kim Cieplak jest dla pani? Przyjacielem, kochankiem, byłym mężem?

- Tylko sąsiedzi w kamienicy myślą, że byłym mężem... ale to ze strachu o samochód. Jak czasem przyjeżdżał, stawiał na podwórku i nikt się nie czepiał.

- Rozumiem, a naprawdę kim jest dla pani?

- Przyjacielem. Znamy się trzydzieści kilka lat. Mieliśmy się pobrać i gdyby nie to, że Maciek zrobił Mirabelce dzieciaka, to ja byłabym jego żoną. On się ożenił z Mirabelką, ja poznałam Sylwestra i na wiele lat nasze drogi się rozeszły. Nie straciłam na tej zamianie, miałam dobrego męża, tylko oczywiście finansowo powodziło nam się dużo gorzej. Z Maciejem umieliśmy rozmawiać bez żalu i pretensji. Dopóki mój mąż żył, nie spotykaliśmy się często, a po jego śmierci Maciej Cieplak wymyślił mi pracę opiekunki pani Barbary. I to on mi płacił. Ja tylko musiałam udawać, że go nie lubię. Chodziło o panią Barbarę.

Powtarzałam po niej te wszystkie głupoty i było dobrze.

- Kiedy Cieplak zażądał od pani udostępnienia mieszkania?

Nie od razu komisarz Rębowicz poznał odpowiedź na to pytanie. Halina Lipka nie umiała mówić wprost.

A może umiała, tylko kluczenie wydawało jej się bezpieczniejsze. W

każdym razie z jej słów wynikało, że Cieplak odwiedził ją w piątek, dzień przed wyjazdem na wesele. Przyszedł wieczorem z wielkim pudłem pralinek i spytał, czy po starej znajomości nie przyjąłaby go pod swój dach na kilka dni. Chodziło o niedzielne popołudnie, o poniedziałek, może jeszcze wtorek. Halina Lipka była bardzo dyskretna. Nie pytała, dlaczego ani co będzie z tego miała, po prostu zgodziła się z wielką radością. Nie z miłości to robiła, lecz z czystej przyjaźni. Wyciągnęła zapasowy komplet kluczy i położyła na stole. Potem tak się zagadali, że Cieplak wyszedł bez kluczy. Rano w pracy nie znalazła okazji, żeby je podrzucić, a zaraz potem widziała wyjeżdżającą hondę. Nic nie mogła zrobić, kompletnie nic. Dopiero wieczorem, kiedy okazało się, że Cieplak wrócił, przerzuciła mu klucze przez furtkę. Zachowywał się wtedy bardzo dziwnie, jakby udawał, że jej nie zna. Klucze jednak podniósł ze ścieżki i mieszkanie zajął w niedzielę przed wieczorem. O żadnych pogaduszkach i wspólnych wieczorach nie było mowy. Zachowywał się paskudnie, uruchomił

wewnętrzny zasuwę i nie było siły, żeby ktokolwiek wszedł, nawet właścicielka.

Nie mogła jęczeć i prosić pod drzwiami, bo wstydziła się sąsiadów. Została u koleżanki w jednej bluzce i spódnicy.

Zeznania, poparte sporą plamą na bluzce, brzmiały w miarę przekonująco i komisarz Rębowicz zgodził się, by Halina Lipka wróciła do pracy. Miała oczywiście nie oddalać się z miasta i odbierać

wszystkie telefony.

- Przecież tu zamordowano człowieka - chlipnęła. - W mojej wannie. Ani tu teraz żyć, ani się kąpać.

- Cóż, miłe to nie będzie, ale człowieka oczywiście zabierzemy.

- Jak Maciej mógł mi to zrobić?

- Najlepiej spytać go o to osobiście. Naprawdę nie wie pani, gdzie się zadekował?

Pokręciła głową. Minę miała tak nieszczęśliwą, że Rębowicz gotów był

jej uwierzyć. I chyba nawet uwierzył.

Krótko przed jedenastą mógł się wreszcie wyrwać z Cyganki. Trochę trwało, nim przejechał przez rozkopane miasto i dotarł do Wieńca. Doktor Tomasz Rubel, specjalista od psiej psychologii, przyjmował w malutkim, starym domku, w takiej typowej przedwojennej chatce z czerwonej, mocno pociemniałej cegły. Po prawej stronie był gabinet poprzedzony niewielką poczekalnią, po lewej prawdopodobnie mieszkanie. Rębowicz zjawił się z kilkuminutowym opóźnieniem. W poczekalni było cicho i pusto, więc zdecydował się zapukać do drzwi opatrzonej tabliczką: „Psycholog kynologiczny”. W progu pojawił się mężczyzna, który bardzo pasował do opowieści Haliny Lipki. Włosy postawione na żel, marynarka na gołym torsie, szerokie portki mocno ściągnięte w pasie.

Kiedy się uśmiechnął, na dole brakowało mu zęba lub dwóch.

Wyciągnął do Rębowicza żylastą rękę o silnym, męskim uścisku. Witał

się i jednocześnie omiatał wzrokiem podłogę poczekalni. Zażartował nawet, że jego nowy pacjent musi być kieszonkowych rozmiarów, skoro go nie widać.

Rzut oka na służbową legitymację komisarza odebrał mu ochotę do dalszych dowcipów.

- To legalna działalność... odprowadzam podatki... - mówił wyraźnie speszony.

Zaprosił jednak komisarza do gabinetu i wskazał krzesło.

- Nie wątpię! - zapewnił Rębowicz. - I proszę się uspokoić, urząd skarbowy nie zaczyna od nasyłania policji.

Nie będziemy rozmawiać o podatkach.

- Ja ze swoimi klientami rozmawiam wyłącznie o ich pupilach - mruknął

Rubel.

Nagle nie wiedział, co ma zrobić z rękami. Podrapał się za uchem, po nosie, wreszcie zaczął nerwowo obgryzać paznokcie.

- A ja ze swoimi głównie o wrogach, chociaż przewiduję też odstępstwa od tej reguły. Mówi panu coś nazwisko Cieplak?

- Nie przypominam sobie. Mam dziurawą głowę do nazwisk.

- Nie przypomina pan sobie klientki, która w ciągu trzech miesięcy zostawiła u pana trzy tysiące złotych?

Podpowiem panu: Beata Cieplak, zwana też Mirabelką.

Rubel wyraźnie się zachnął.

- Fakt pakt! Jeśli chodzi o ścisłość, to Mirabelka jest mi wciąż winna trzy tysiące. Na razie nie zapłaciła nawet grosza.

- Skoro wie pan, o kogo pytam, połowę sukcesu mamy za sobą.

- Naprawdę nie mam głowy do nazwisk. Coś mi się porobiło po takim jednym uderzeniu. Głupia głowa...

Głupia, mówię panu. Musiałbym poszperać w rejestrze, tam każdy pacjent jest odnotowany.

- No to sprawdźmy w rejestrze! - zdecydował komisarz i ze zdziwieniem patrzył, jak czoło psychologa wilgotnieje, a usta zaczynają nerwowo drgać.

Rubel sięgnął po duży zeszyt. Wertował kartki, sylabizował niemal, ale na Mirabelkę Cieplak jakoś nie mógł trafić. Ta sztuka nie udała się też komisarzowi. Zwykle przeoczenie sprawiło, że nazwisko nie znalazło się w rejestrze. Tak przynajmniej mówił psycholog. Strasznie się przy tym kręcił i pocił, wspominał o jakiejś chorobie i konieczności zatrudnienia pomocy biurowej. Wyglądał jak ostatnie nieszczęście i Rębowicz przestraszył się, że świadek gotów dostać zawału.

- Zostawmy rejestr. W końcu zawsze go można uzupełnić - powiedział

pojednawczo. - W sobotę, piątego czerwca, wybrał się pan do Cieplaków. Po co?

- Skąd pan to wie? - wykrzyknął zdumiony Rubel i przeraził się jeszcze bardziej. Powieka zaczęła mu drgać, męczona jakimś nerwowym tikiem. Patrzył

z niekłamanym lękiem - Splatał i rozplatał ręce, aż mu w stawach chrupało. - I pomyśleć - zamamrotał - że żyjemy w wolnym kraju, gdzie ludzie mają prawo do odwiedzin bez konieczności tłumaczenia się policji.

- Wybrał się pan do Cieplaków czy nie? - powtórzył pytanie komisarz.

- I tak, i nie. Miałem wezwanie do buldoga, który od dwu dni nie pozwalał nikomu do siebie podejść. To było dwie przecznice albo trzy dalej.

Pomyślałem, że przy okazji wstąpię do Mirabelki, to znaczy do pani Cieplakowej, i upomnę się o swoje pieniądze.

- Był pan z Cieplakową w zażyłych stosunkach? Zwracał się pan do niej po imieniu?

- Przez trzy miesiące przyjeżdżała do mnie z psem, dużo rozmawialiśmy, wytworzyła się taka przyjacielska więź. Może za dużo powiedziane, że przyjacielska...

- Jeśli nie przyjacielska, to jaka? Poszliście do łóżka?

Rębowicz najpierw spytał, dopiero potem zdał sobie sprawę, że jak na pierwszą rozmowę, posunął się ciut za daleko. Czekał na gwałtowny protest Rubla, na coś, co będzie przypominało wielką obrazę majestatu, i szykował

sobie odpowiednie tłumaczenie. Przeliczył się, bo w gabinecie zapanowała cisza. Psi psycholog siedział skulony i dopiero po chwili zaczął po swojemu mamrotać.

Z tego mamrotania wynikało, że jako wieloletni rozwodnik, ale mężczyzna pięćdziesięcioletni, czyli w sile wieku, był łasy na wdzięki niewieście. Mirabelka bardzo mu się podobała, tak bardzo, że stracił dla niej głowę, choć nie do końca... Ona myślała, że jedno czy drugie pójście do łóżka zwalnia ją z płacenia rachunków. Rubel z kolei był wrogiem mieszania przyjemności z interesami. Postawił ostry warunek: nie będzie żadnej następnej wizyty, dopóki na jego bankowy rachunek nie wpłynie kwota trzech tysięcy.

Łudził się, że Mirabelka nie przerwie pięknie rozwijającej się znajomości.

Niestety, przerwała, nie regulując ani złotówki. Oczekał jeszcze jakiś czas i wybrał się do Cieplaków. Pies, całkiem już wyleczony, biegał po obejściu, poznał psychologa i wśród wyraźnych umizgów wpuścił go na podwórko.

Furtka była otwarta, natomiast drzwi do domu zamknięte. Nie pomogło dzwonienie i Rubel udał się na spacer dookoła domu. Już myślał, że nikogo nie ma, kiedy z przybudówki doszły go dziwne głosy. Zajrzał przez okno.

Mężczyzna i kobieta uprawiali seks na stojąco. Tomasz Rubel z ulgą stwierdził, że kobieta nie była Mirabelką. Niby nie miał do Mirabelki żadnych praw, ale poczuł się lepiej.

Chciał się dyskretnie wycofać, chyba się potknął i mężczyzna go zauważył, a po chwili też dogonił. Doszło do drobnej przepychanki.

- Przepychanki czy bójki? - spytał komisarz.

- Jak ja wdałbym się w bójkę, to z Cieplaka zostałaby mokra plama.

Byłem komandosem, trenowałem walki wschodnie - wyjaśnił z dumą Rubel - i taka góra mięsa jak Cieplak nie miałaby ze mną szans. Ale ja go nie chciałem siekać na befsztyk. Chłop mi nic złego nie zrobił.

Nawet o rachunkach żony z nim nie gadałem, bo jakoś głupio było.

Skręciłem historyjkę o kumplu, którego szukam, przeprosiłem grzecznie i wyszedłem.

- A kobieta, która tam była?

- Jaka kobieta?

- Chce pan powiedzieć, że Cieplak sam ze sobą uprawiał seks? - zdziwił

się komisarz.

- A, ta z przybudówki! Ona to zapięła porcięta i dała w długą. To było najmądrzejsze wyjście, bo przecież my mogliśmy nieźle się poturbować. Potem musiałyby świadczyć, co i jak. Kobiłki tego bardzo nie lubią. A jeśli ma męża, to powiem panu, że mężowie jeszcze bardziej tego nie lubią.

- Zapamiętał pan, jak wyglądała?

Rubel wyraźnie się zawahał.

- Kobieta jak kobieta - powiedział. - Młodsza od Mirabelki, ale nie taka znowu piękność. Ja bym ich nie zamienił.

- Blondynka? Brunetka?

- Nie wiem... Od tego uderzenia w głowę mam chyba kłopoty z kolorami.

- Czy ona przypadkiem nie miała czerwonych włosów?

- No, jeśli pan ją zna, to inna gadka - westchnął z ulgą Rubel. - Głupio tak sypać kobietę. Fakt pakt, włosy miała nienaturalnie czerwone. I tak jakoś śmiesznie upięte...

Myślałem, że to peruka.

- Wcześniej był pan kiedyś u Cieplakowej w domu?

- Nigdy. Ona zawsze przywoziła psa do mnie. Adres oczywiście miałem...

Nie daruję sobie tej wpadki z rejestrem. Ja to wszystko uzupełnię, panie komisarzu, uzupełnię jeszcze dziś.

- Idąc do Cieplaków, miał pan adres w głowie czy pytał pan kogoś po drodze?

Rubel zamyślił się, podrapał po sterczących piórkach i otworzył szufladę.

Grzebał energicznie, aż wyrzucił na biurko jakieś długopisy, rękawiczki gumowe i śmieszoną zieloną zabę z włóczki przypiętą do skórzanego troczka. Z

ulgą wyłowił spośród papierów dwa druki i podał komisarzowi. Resztę bałaganu zsunął ponownie do szuflady.

- Musiałem mieć adres, bo przecież wystawiałem kwit do zapłaty -
obwieścił z ulgą.

- Pan sobie zatrzymuje oryginały?

- Co? Jak? Wystawiam w jednym egzemplarzu... Trzeba oszczędzać lasy.

U mnie klient płaci od ręki. Tylko dla niej robiłem wyjątek, bo ona wolała przelewem.

No i nie przelewała.

- To czemu te kwity nie są u niej, tylko u pana? - spytał komisarz.

Rubel spojrział uważnie, całkiem jakby zobaczył swojego rozmówcę po raz pierwszy. Odpowiedział po ułamku sekundy, spokojnie i pewnie.

- Niech pan sobie wystawi, że odesłała mi je bez słowa. Gdzieś tu jeszcze powinna być koperta...
Chociaż nie, kopertę wyrzuciłem.

- Kiedy odesłała?

- W piątek bodaj... Tak, w piątek.

Komisarz z uwagą oglądał dwa cienkie arkusiki papieru.

- To jest rozliczenie za dwa miesiące. A mówił pan o trzech - zauważył.

Psi psycholog machnął ręką.

- Trzeci papierek zawieruszył się gdzieś w szufladzie.

Ale powiem panu, że ja już położyłem krzyżyk na tych pieniądzach.

Więcej do Mirabelki nie pójde, nich będzie moja krzywda. A tak bez obrazy, mógłby pan powiedzieć, po co panu te wszystkie informacje?

- Wie pan, dlaczego na policję mówi się glina? - spytał poważnie Rębowicz. - Bo lubimy się przyczepiać.

Ja właśnie przyczepiłem się do Cieplaków, a pan jest moim głównym świadkiem. Dlatego proszę się nie oddalać z miejsca zamieszkania. Będziemy jeszcze rozmawiać. I to nie raz.

- Czy to znaczy, że Mirabelce coś się stało?

- A dlaczego nie Cieplakowi, tylko Mirabelce? - zdziwił się komisarz.

- No wie pan... Ona mi bliższa.

Trudno było nie zrozumieć takiego wyznania.

Koło trzynastej Rębowicz zatrzymał samochód przed willą Bulwickich.

Na tarasie Iza z Leszkiem popijali wodę z lodem i plasterkami limonki. Dawno już nikt tak się nie ucieszył na widok komisarza jak oni właśnie.

Rębowicz pomyślał nawet, że całkiem nieoczekiwanie stworzył sobie prywatny zespół do specjalnych poruczeń, niezbyt, co prawda, formalny, ale za to przydatny. Iza błyskawicznie doniosła trzecią szklanekę wody z limonką.

- I co? I co? - spytała z jakąś dziecięcą ciekawością.

- W kamienicy na Cygance zostaliście uznani za bardzo ładną parę małżeńską - zaczął, ale zarumieniona Iza nie dała mu skończyć.

- Niechże pan będzie poważny! - poprosiła. - Graliśmy swoją rolę, nic więcej.

- Ma się te talenty! - mruknął Leszek.

Rębowicz się roześmiał, Iza mu zawtórowała.

- Co mówi pani Lipka? - spytał.

- Nic - wyjaśniła Iza. - Z Lipki została mokra plama.

Z wielkim płaczem zadzwoniła do Emilki i poprosiła o kilka dni wolnego.

Powiem wam, że bardzo jej współczuję. Naczynia wyparzy, pościel wygotuje, ale co robi z łazienką? Przecież ten topielec będzie jej się po nocach śnił! Ja bym w życiu do takiej wanny nie weszła. Oni... oni zbrukali jej mieszkanie.

- Rzeczywiście Cieplak nie był dla niej zbyt łaskawy - przytaknął

Rębowicz. - Czy mówiliście komuś o hondzie na podwórku?

Iza rzuciła krótkie spojrzenie na Leszka i przygryzła usta.

- Podobno w nocy auto znikło? Obawiam się, że to moja wina -

powiedziała cicho. - Wygadałam się przed Jackiem, że zawiozłam pana Leszka do Halinki. No i wspomniałam o hondzie.

W tym momencie Rębowicz przestał się zachwycać zespołem zmontowanym ad hoc. Jako prywatny

człowiek nawet rozumiał Iżę, natomiast jako policjant nie znosił różnych żon i mamusi osłaniających najbliższych.

Zawsze z takiego osłaniania wynikały same kłopoty.

- I co? - spytał.

- Wydawało się, że przyjął to całkiem obojętnie. Zawiozłam, to zawiozłam, honda stała, to stała... A jednak w nocy Jacek gdzieś wyjechał.

Kiedy go rano pytałam, powiedział, że to sprawy myśliwskie. Coś mi się zdaje, że obiecał Cieplakowi przestawić samochód i po prostu zapomniał. Spadło na niego trochę więcej obowiązków i zaczął się gubić. Nie sądzę, żeby był

zamieszany w coś strasznego... Jestem pewna, że nie jest.

- Ale Cieplakowi próbuje pomóc - stwierdził obojętnie Leszek.

- Nie da się ukryć! - westchnęła Iza.

- Mężczyzna, który zabierał samochód z podwórka na Cygance, był

szczupły i wysoki - powiedział Rębowicz. - Widziała go jedna z sąsiadek pani Haliny. Spokojnie mógł to być Jacek Bulwicz i pewnie był, chociaż sąsiadka się upiera, że mężczyzna świecił łysiną.

- Jacek nie jest łysy, ale mógł włożyć białą czapkę...

Chociaż po co, jeśli było ciepło?

- Pani nie widziała męża, jak wyjeżdżał?

- Obudziłam się, kiedy uruchamiał samochód.

- Zatem przypuszczenie, że to pan Jacek zabrał w nocy samochód z podwórka na Cygance, jest bardzo prawdopodobne. Dalej mamy same pytania.

Co robił Kałmuk w mieszkaniu Lipki poza tym, że od kilkunastu godzin moczył

się w wannie...

- To znaczy - Iza uniosła ręce i przycisnęła palcami skronie - to znaczy, że kiedy dzwonił do drzwi, on mógł już nie żyć?

- Mógł.

- I drzwi nie były zamknięte na zasuwę?

- Najprawdopodobniej już nie.

- O matko! - jęknęła. - Wystarczyło nacisnąć klamkę, i to my znaleźlibyśmy ciało.

- To jest gdybanie - powiedział Rębowicz. - Równie dobrze w tym czasie mógł być w mieszkaniu jeszcze ktoś i wtedy drzwi były zamknięte na klucz czy tam na zasuwę.

- Wiadomo, co z Cieplakową? - spytał Leszek.

- Jeszcze jest w śpiączce, jeszcze nie reaguje na ból, ale coraz częściej otwiera oczy. Dobrze by było, żeby się wybudziła, bo śpiączka, która utrzymuje się dwie, trzy doby, źle rokuje.

- U niej właśnie leci trzecia doba - stwierdziła Iza. - Jak to się może skończyć?

- Różniście - mruknął Leszek. - Całkowitym wyzdrowieniem, śmiercią albo stanem minimalnej świadomości, czyli może się ocknąć jako warzywko.

Iza się wzdrygnęła. Komisarz dopił swoją wodę i wstał.

- To co, panie kolego, pojedziemy? - spytał.

Leszek bez słowa podniósł się z krzesła. Niczego wcześniej nie ustalali, ale dla takiego wygi jak on było oczywiste, że Iza Bulwicka, choć piękna i miła, prędzej stanie po stronie męża niż przeciw mężowi, a zatem zdrowiej trzymać ją z dala od tajemnic śledztwa. Wychodząc, komisarz przypomniał o obiecany spotkaniu z Danielem, umówili się na następne przedpołudnie i dopiero wtedy zaprosił Leszka Kurczyłłę na prawdziwą przejażdżkę.

- Prawdziwą, to znaczy gdzie?

- Najpierw przed siebie - wyjaśnił Rębowicz, uruchamiając auto - a zaraz potem na parking przy dworcu.

W nocy to jedno z najbezpieczniejszych miejsc do pozostawienia samochodu. Chyba że mają umówione jakieś inne.

- Okay! - zgodził się Leszek. - Odkąd Lipka wyplakała przez telefon, że w jej wannie spoczywał topielec, nie mogę przestać o tym myśleć. Był pijany?

Poślizgnął się?

- Jerzy Podskok, mieszkaniec Lipna. Został utopiony prawdopodobnie w czasie kąpieli. Więcej będzie wiadomo, kiedy przyjdą wyniki ekspertyz. Ja z kolei zastanawiam się, czy Cieplak, bajerując Lipkę, roztaczając przed nią obraz pięknej randki, od razu wiedział, że nic z tego nie będzie?

- Musiałby znać Podskoka wcześniej.

- Diabli go wiedzą, może znał. Właściwie to znał na pewno, chciałbym jeszcze wiedzieć, gdzie sam się chowa od niedzieli?

Leszek leciutko się przeciągnął, tak tylko dla rozprostowania ramion.

- A wiesz pan, panie Jarosławie, że na temat Cieplaka zaczyna mi się klarować pewien pomysł. Po południu muszę jeszcze sprawdzić jedną rzecz, a potem pogadamy.

Rębowicz spojrzał na niego z ukosa.

- Chyba nie planuje pan akcji na własną rękę?

- Jestem detektywem, panie komisarzu, a nie ostatnim sprawiedliwym szeryfem w miasteczku. Sprawdzę coś i dam panu znać. A teraz chętnie posłucham o psim psychologu.

Rębowicz przez chwilę jechał w milczeniu. Wreszcie przemówił.

- Łże jak z nut i ma swoje za uszami. Nie mówię tu o pospolitych oszustwach podatkowych, tylko o sprawie Cieplakowej. Zaprzecza, że pytał

kogokolwiek o drogę, twierdzi, że znał adres, a jednocześnie w jego rejestrze Cieplakowa nie figuruje. Adres pojawia się dopiero na kwitach do zapłaty, które wystawiał podobno w jednym egzemplarzu. Pokazując mi kwity, które powinna mieć Cieplakowa, chłopina wkopał się w muł razem z grzywką. Nie wiem, czy pan chwyta? Były trzy takie papierki, za każdy miesiąc jeden. Dostawała je do garści Cieplakowa, żeby mogła przelać pieniądze na konto psychologa. Kobitka płaciła w naturze i ani jej w głowie było przelewanie kasy. Kwitki chowała w szufladce toaletki.

Jeden taki papierek pożyczyla sobie w czwartek Henryka Pełka. Powiem panu, że tu akurat wierzę pani Heni, iż chciała tylko pokazać sąsiadce, co bogacze potrafią robić z pieniędzmi. Dwa pozostałe wciąż leżały w toalecie. We wtorek już ich nie było. I tu pojawia się zagadka. Rubel twierdzi, że Cieplakowa odesłała mu te kwity w piątek.

Powiedział to tak pewnie, bez żadnych nerwowych tików, do których ma wyraźne skłonności, że pozwoliłem mu jeszcze trochę nacieszyć się wolnością.

- Ile niby kwitów odesłała mu Cieplakowa: dwa czy trzy? - zainteresował

się Leszek.

- Tu jest mały szkopuł. Powiedział o trzech, pokazał dwa, ale to jest tak rozkojarzony facet, że mógł nawet tego nie zauważyć. Natomiast Cieplakowa jest podobno szalona, więc mogła kwity wysłać. Niestety tłumaczenie to przewraca moją teorię. Podejrzywałem, że w nocy z soboty na niedzielę Rubel był w sypialni Cieplaków.

Niczego prawdopodobnie nie ukradł, wziął jedynie, co jego, czyli dwa kwity z trzech wystawionych. Trzeciego nie mógł wziąć ani nawet znaleźć, bo tkwił w torebce Heni Pełki. Teraz tkwi u mnie w kieszeni. Jakże inaczej trafiłbym do pana Rubla.

- Facet jest tylko rozkojarzony, czy raczej niezbyt bystry?

- Licho go wie! Czasem wydaje się aż za bystry, jak choćby z tym odesłaniem kwitów. Na pewno jest cholernym bałaganiarzem, chociaż głowy bym nie dał, czy nie jest to celowy bałagan.

- Kim on jest na pana oko? - zainteresował się Leszek. - Uczonym mężem w typie uroczego doktora Dolittle czy zimnym hochsztaplerem?

- Na pewno jest facetem, który ma poważny problem ze sobą i swoimi reakcjami. Pocenie się, wykręcanie palców, nerwowe tiki, to wszystko świadczy o braku opanowania. Chwalił się, że był komandosem. Według mnie on nawet nie stał obok komandosa. O psach może i ma jakieś pojęcie, nie wiem tego ocenić, chociaż nigdy nie zetknąłem się z kynologicznym psychologiem.

- Ja też nie - mruknął Leszek. - Ale nie przepadam za znerwicowanymi facetami. Po takich można się wszystkiego spodziewać. Według mnie w całej tej sprawie Rubel wysforował się na prowadzenie. Ramię w ramię z nim idzie Kałmuk. Sprawdzał pan scenę parkietową?

- Fotograf nie przypomina sobie takiej sceny - wyjaśnił komisarz. - Może był wtedy w ogrodzie, trudno wyczuć. A może pani Zofia widziała całą rzecz ostrzej niż inni.

- Na kogo pan stawia? - spytał Leszek. - Dla którego z tych dwu dżentelmenów wielka Mirabelka rozbierała się w takim pośpiechu? Cieplak już wtedy powinien być w Lipnie, więc nie dla niego.

- Nie mogę się uwolnić od przeczucia, że był jeszcze ktoś trzeci -

westchnął komisarz.

Leszek się roześmiał.

- Pan wie, ile takie przeczucie może narobić człowiekowi kłopotu?

- Mnie już narobiło. Wczoraj niemal przysięgałem żonie, że nie istnieje nic tak irracjonalnego jak przeczucie, że są tylko dowody i wnioski.

- Żona przeczuwa, że pan skacze w bok?

- Jeszcze by tego brakowało - powiedział Rębowicz. - Żaden normalny facet nie skacze w bok dwa lata po ślubie.

- Skaczą, skaczą.

- Mówię o normalnych - przypomniał. - Właściwie, jeśli to nie jest tajemnicą, dlaczego pan się nie ożenił?

Mnie się wydaje, że w dwójkę łatwiej jest pchać ten ciężki wózek z kłopotami.

- Może gdybym spotkał na swojej drodze taką kobietę jak moja siostra, dałbym na zapowiedzi. Emilka i Waldek to jedyne małżeństwo, które mi się naprawdę podoba. Zawsze mają o czym gadać, kłótnie są u nich krótkie, sielanki długie, żadnego czepiania się, wytykania palcem, żadnych głupich

pretensji. A ja w swoim życiu spotykałem kobiety... powiedzmy, interesujące, ale niezbyt życiowe. I tak jakoś zeszło. Pan też się późno ożenił.

- Pierwszy raz o wiele za wcześnie, drugi stanowczo za późno. Zwłaszcza na dziecko jest późno. Będę miał ponad sześćdziesiąt lat, kiedy moja córka stanie do matury. Sześćdziesiątka to wiek dobry dla dziadka, nie dla ojca.

- Spokojnie, da pan radę - pocieszył go zatwardziały kawaler Leszek Kurczyłło.

Dojechali do dworca i przeszli się po parkingu. Nigdzie nie było hondy o numerach uwiecznionych na zdjęciu w komórce, więc nie pozostawało im nic innego, jak tylko zawrócić. Komisarz Rębowicz chciał porozmawiać z Jackiem Bulwickim, natomiast Leszek Kurczyłło przypomniał sobie, że był umówiony z Mariolą Żurek.

Jechali więc do Mirabelli.

- Zacząłem załatwiać robotę dla siostry, to muszę skończyć. Głupio tak przerywać w połowie - wyjaśnił Leszek.

- Skoro już mowa o koligacjach rodzinnych, to gdzie się zapodział pański brat?

- Nasze koligacje są wyjątkowo pogmatwane - westchnął. - My z Emilką jesteśmy wnukami tego samego dziadka Henryka i wychowywaliśmy się razem.

Emilki matka i mój ojciec to było rodzeństwo, ale moi rodzice zginęli, gdy miałem kilka miesięcy, i ciotka z wujem mnie adoptowali. Mówię do nich mamó i tato, choć nazwisko zachowałem po ojcu. Feliks jako wnuk Władysława jest naszym bliskim krewnym. Tylko babka Barbara uważa, że jesteśmy klanem rodzinnym, którego żadne burze nie ruszą. Nie jesteśmy. Stryjeczny dziadek Władysław był wyjątkowo niesympatycznym starym zgredą, który dużo krwi napsuł najpierw naszemu dziadkowi, powiedzmy, że słusznie, potem matce, już całkiem niesłusznie. Dzieci nie mogą odpowiadać za winy ojców, zwłaszcza jeśli ci ojcowie są opętani hazardem. Rodzice musieli ubezwłasnowolnić dziadka, bo inaczej wszyscy poszlibyśmy na żebrzy. Władysław był, jak mówię, starym zgredą, kutwą i cholernym egoistą, natomiast jego syn, stryj Marek, jest egoistą, kutwą i zaczyna być starym zgredą. Odziedziczył po ojcu wszystkie wady. Feliksa poznałem dopiero w tym roku. Jest podobny do swojej matki i wydaje się sympatyczny, ale nie umiem powiedzieć o nim nic więcej. Chłodny, zasadniczy, pasuje do kraju, który sobie wybrał na drugą ojczyznę.

- Ma tam rodzinę?

- Mieszka w Norwegii, ożenił się ze Szwedką, dzieci uczy gadać po angielsku, istna wieża Babel. Podobno oni się w tym odnajdują, więc niech im będzie! Teraz Feliks pojechał do Ciechocinka spotkać się z ojcem.

Emilka razem z panią Izą przewidują, że stryj zechce podwazać testament dziadka Władysława, czyli zapis na rzecz pani Zofii, jeżeli taki jest. Nie spocznie, dopóki z ojcowskiego domu nie usunie „tej kobiety”, jak mawia babka Barbara. A durna staruszka będzie mu dzielnie sekundowała. Oczywiście

stryj zechce też opróżnić piętro, bo pewnie myśli o sprzedaży całości. Natnie się, a przynajmniej powinien się naciąć, bo nie wiem, czy Cieplakowie nie odkupili połowy domu. Poza tym remontowali i naprawiali nie tylko swoją część, bo dom trzyma się nieźle, dużo lepiej od chałupiny babki Barbary. Mam nadzieję, że Zofia Kurczyłowa zachowała jakieś dokumenty.

- Podobno tak.

- Powiem panu, że bardzo bym się cieszył, gdyby wygrała ze stryjem. Nie cierpię pazerności. Emilka się śmieje, że mnie do życia wystarcza szafa, łóżko i stół.

Ma rację, chociaż uparcie zapomina o samochodzie. Do pracy jest mi niezbędny dobry, niekoniecznie piękny samochód, sprawny telefon i jakieś łachy na grzbiet, żeby mnie baby za mocno nie chciały okrywać. Tak, tak, panie Jarosławie, ja nie rozumiem ludzi, którzy pożerają więcej, niż są w stanie strawić.

- Nie lubi pan odrobiny luksusu? - zdziwił się Rębowicz. - Wygodnego fotela, pięknego obrazu na ścianie?

- Lubię - zapewnił Leszek. - Bardzo lubię, tylko do życia nie jest mi niezbędny ani fotel, ani obraz. Babka Barbara opowiada, że Władysław miał

pięć czy sześć foteli i przez cały dzień przesiadał się z jednego na drugi.

W niebieskim oglądał telewizję, w beżowym drzemał, w zielonym czytał

gazetę. Pani Zofia ustawiała podnóżki, okrywała mężowi nogi, przełączała kanały telewizyjne i donosiła tarte jabłka. Babka była zachwycona, zresztą głównie tym, że to nie ona musiała skakać koło brata, podstawiać, okrywać i tak dalej. Następna rodzina egoistka, która w życiu nie kiwnęła palcem na rzecz innego człowieka. Ale dziadzia Władzio był bezkonkurencyjnym egoistą.

- I dożył pięknego wieku! - zauważył ze śmiechem komisarz Rębowicz. -

Może to jest metoda?

- Może, ale normalni ludzie powinni do codziennej modlitwy wplatać jedną małą prośbę: „Od zarazy, głodu, wojny i egoistów broń mnie Panie!”.

Pożegnali się jakieś dwieście metrów przed Mirabellą.

Leszek Kurczyłło miał załatwiać siostrze pracę, natomiast komisarz próbował odnaleźć Bulwickiego. Na korytarzu napatoczył się na śliczną brunetkę, która w szybie okiennej poprawiała sobie włosy.

- Oho, widzę, że pani znowu kwitnie w swoim ulubionym oknie -

zauważył.

- Dlaczego kwitnę? - spytało dziewczę.

- Tego nie wiem. Może ma pani za mało pracy? Proszę mnie zaprowadzić do inżyniera Bulwickiego.

Obrzuciła go zaciekawionym spojrzeniem.

- Pan z policji, no nie? Poznałam od razu.

- To co, zaprowadzi mnie pani do Bulwickiego?

- Inżynier chyba wyjechał. Mogę pana zaprowadzić do Cieplaka.

- Niech będzie Cieplak - powiedział komisarz tak spokojnie, jakby to nazwisko było mu kompletnie obce.

Ślicznotka, zgrabnie kręcąc pupcią, poszła przodem, otworzyła jakieś drzwi w małym korytarzyku i zaraz się cofnęła.

- Chyba wyszedł do ubikacji. Straszny bałagan zostawił.

Komisarz Rębowicz nie odmówił sobie wetknięcia głowy do pokoju.

Pogrupowane sterty papierów na biurku, niedopita kawa w szklance, płócienna marynarka powieszona na oparciu fotela, to wszystko świadczyło, że użytkownik gabinetu zniknął na krótko.

- Jest tu jakieś tylne wyjście z budynku? - spytał.

Brązowe oczy patrzyły na niego z niebotycznym zdumieniem.

- Tylne wyjście?

- Z przodu jest parking, prawda? Czy można wyjść z budynku, nie pojawiając się na parkingu?

Mózg dziewczyny musiał wykonywać jakąś wyjątkowo skomplikowaną pracę, o czym świadczyła pionowa zmarszczka na czole.

- Po co wychodzić na tyły, jeśli tam nie ma drogi? - spytała.

- Nie ma drogi? - ucieszył się Rębowicz. - Jeśli nie ma drogi, rzeczywiście nie warto wychodzić.

Panienska wzruszyła ramionami z miną: „Ach, ci starsi panowie, jacy oni zabawni”, i z wielkim wdziękiem zniknęła w hali produkcyjnej.

Rębowicz wyszedł na parking. Pod rachityczną jarzębiną, na ławce, która stała na wysypisku petów, rozwalał się Leszek Kurczyłło. Ramiona rozłożył na oparciu, brzuch wypiął i znudzony oglądał podskoki pliszki na ścieżce.

Rębowicz z niechęcią poszedł do samochodu. Miał wielką ochotę przysiąść na tej jedynej ławce przed Mirabellą, niestety, Leszek Kurczyłło nie wyglądał na człowieka, który chciałby się posunąć.

Nie wyglądał też na człowieka, który znalazłby osobiście komisarza. W samochodzie Rębowicz opuścił szybę i z braku ciekawszego zajęcia gapił się na parking, na wejście do Mirabelli i częściowo na Kurczyłłę. Korzystając z wolnej chwili, zadzwonił do naczelnika wydziału kryminalnego, nadkomisarza Gozdawy. Dowiedział się, że spotkało go wielkie szczęście, ponieważ dostał do pomocy stażystę Dariusza Kosika, absolwenta szkoły policyjnej w Pile. Rębowicz nie miał wątpliwości, że stażystę zawdzięczał pojawieniu się nieboszczyka Podskoka. Dopóki mógł się pochwalić poturbowaną Cieplakową i jej zaginionym mężem, działał w pojedynkę. Sprawa nabrała rumieńców dopiero z chwilą, gdy w wannie na Cygance objawił się denat. Rumieńce do denata nie za bardzo pasowały, ale pomocnik to już było coś. Komisarz pomyślał, że zanim osobiście powita sierżanta Kosika, najpierw pozwoli mu się wykazać.

Zadzwonił do chłopaka i polecił mu zebrać jak najwięcej wiadomości o Tomaszu Rublu, mieszkańcu Wienca, oraz Jerzym Podskoku z Lipna. Zagonił

młodego kolegę do roboty i już miał włączyć sobie radio, kiedy na ławce obok Kurczyłły przysiadła czerwonowłosa dziewczyna.

Kurczyłło nie dość, że się posunął, to jeszcze usiadł prosto, jak przystało na świetnie wychowanego mężczyznę.

„Czegoś cię jednak, facet, nauczyli w tym szlacheckim domu”, mruknął

rozbawiony Rębowicz. Nie mógł oczywiście słyszeć rozmowy, ale pantomima też była ciekawa.

Leszek najwyraźniej prawił dziewczynie komplementy, które ona przyjmowała z zawstydzonym chichotem. Dystans między nimi wynosił

dwadzieścia centymetrów, nie więcej, ale ciekawe było to, że się nie zmniejszał.

Nieoczekiwanie na ścieżce pojawił się młody człowiek.

- Kamila wyjdzie normalnie? - krzyknął, a Mariola mu odkrzyknęła, że normalnie.

Chłopak przysiadł na ławce, oni zaś, chcąc nie chcąc, podnieśli się i weszli do budynku. Całe szczęście, że weszli, bo dosłownie trzy minuty później na parking wjechał samochód Bulwickiego. Obydwaj panowie, to znaczy Bulwicki i Kurczyłło, nie przepadali za sobą, o czym doskonale wiedzieli wszyscy z grona babki Barbary. W ich wypadku spotkanie przed Mirabellą nie było konieczne.

Teraz za to do ataku ruszył Rębowicz. Nie chciał wchodzić do budynku, zatrzymał Bulwickiego na parkingu.

Powiedział, że na słówko, ale to się tylko tak mówi.

- Dzisiaj w nocy wyjeżdżał pan z domu. Gdzie i po co? - spytał komisarz.

Pytanie sformułowane było niemal obcesowo, i o to właśnie chodziło.

- Dlaczego pan pyta? - zdziwił się Bulwicki.

- Umówmy się: ja pytam, pan odpowiada, zgoda?

Bulwicki z rezygnacją kiwnął głową.

- Dostałem od znajomego telefon, że na drodze krajowej, na terenie naszego łowiska, samochód potracił jelenia. Zwierzę miało przetrącony kręgosłup, było sparaliżowane i pojechałem je dobić. Akcja jak najbardziej oficjalna, dzisiaj rano zgłosiłem ją łowczemu, może pan sprawdzić. Chętnie służę numerem telefonu.

- Dlaczego zadzwonili właśnie do pana?

- Ode mnie do miejsca wypadku było najbliżej.

- Czy wie pan, gdzie stała honda Cieplaka? Chodzi mi o czas od niedzieli do minionej nocy.

Bulwicki przez chwilę się zastanawiał.

- Żona mi wczoraj coś mówiła... Podobno na jakimś podwórku na Cygance. Bodaj tam, gdzie mieszka Henryka Pełka.

- A nie Halina Lipka?

- O! - wykrzyknął z ulgą Bulwicki. - Lipka, oczywiście, że Lipka. Tylko proszę mnie nie pytać o adres. Nie wiem, gdzie mieszka pani Lipka.

- I nie pan zabierał samochód nocą z tego podwórka? - spytał Rębowicz, nie spuszczając oczu z twarzy Bulwickiego.

- Nie.

Odpowiedź była krótka, zdecydowana, bez cienia wahania.

- Podobno wrócił Cieplak?

- Tak, ale nie Maciej, tylko Kacper, syn Macieja. Pani Zofia go ściągnęła do domu, a ja próbuję zainteresować sprawami firmy. Kończył prawo administracyjne, mógłby być przydatny, gdyby bardziej garnał się do pracy.

- Czy od niedzieli Maciej Cieplak odzywał się do pana?

- Niestety, nie.

Rębowicz sięgnął do swojego notatnika.

- Zna pan tego człowieka? - spytał, pokazując Bulwickiemu zdjęcie żywego Kałmuka, zrobione w trakcie wesela. Chwilę potem wyciągnął zdjęcie tego samego człowieka w częściowo rozpiętym czarnym worku.

- Kto to jest? - spytał przerażony Bulwicki.

- Niejaki Jerzy Podskok, prawdopodobnie znajomy Cieplaka.

Bulwicki pokręcił głową i rozłożył ręce. Gotów był przysięgać, że nigdy w życiu nie zetknął się z Jerzym Podskokiem i wolałby, żeby tak zostało.

Kiedy gawędzili przy samochodzie Bulwickiego, tuż obok z cichym szumem opon zaparkowała czarna honda. Rębowicz z trudem się powstrzymał, żeby nie wyciągnąć komórki i nie porównać numerów rejestracyjnych.

- Czy to nie jest samochód Macieja Cieplaka? - spytał zaskoczony.

- I Cieplak nim przyjechał - wyjaśnił Bulwicki.

Z samochodu lekko wyskoczył szczupły, wysoki mężczyzna o gładko ogolonej głowie. Nie był łyсы, na jego czaszce ciemniejszą plamą rysowały się ślady po włosach ostrzyżonych tuż przy skoczce. Bardzo głębokie zakola wystarczająco usprawiedliwiały takie właśnie strzyżenie.

Bulwicki nawet nie musiał go przedstawiać komisarzowi, choć zrobił to z jakąś wewnętrzną satysfakcją, kładąc wyraźny nacisk na imię.

- Gdzie pan odnalazł samochód ojca? - spytał Rębowicz.

- Ojciec go zostawił na Cygance, w podwórku jakiejś znajomej. Babka mi o tym powiedziała - wyjaśnił młody człowiek.

- Pani Zofia Kurczyłowa? - uściślił komisarz. - A babka skąd wiedziała?

- Myślę, że od tej znajomej... Na pewno od znajomej, bo ojciec wciąż milczy. Wczoraj przyjechałem późnym wieczorem, wziąłem z domu kluczyki, zamówiłem taksówkę i kazałem się zawieźć na Cyganekę.

Nie po raz pierwszy komisarz miał okazję się przekonać, że odpowiedzi na skomplikowane pytania czasem bywają bardzo proste. Rozmawiając wcześniej z panią Zofią, nie pytał o samochód.

Telefon od Leszka Kurczyły złapał komisarza w korku, przy wjeździe do miasta.

- Widział pan tego młodzieńca, który próbował popsuć mi randkę? -

spytał Leszek bez zbędnych wstępów.

- Głównie z tyłu.

- Ja głównie z boku, ale w niedzielę miałem okazję obejrzeć go dokładniej, choć tylko przez okno. Dzięki nieocenionej Marioli Żurek wiem, że jest to niejaki Ernest Wyroba, ten sam młody człowiek, który w sobotę rozszczękał psa Bulwickich. Ksywę ma Wariatuńcio, czyli z grubsza wiadomo, o co chodzi. Jest narzeczonym jednej ze szwaczek. Dodam, że podobno czułym i bardzo opiekuńczym, chociaż myślę, że w granicach właściwych dla wariatuńcia. Chodzi o to, że Ernestowi od dawna nie podobają się zwyczaje panujące w firmie.

- Posądza narzeczoną o romans z Cieplakiem?

- Kobitka nie wyglądała na poturbowaną, więc chyba nie chodzi o romans. Brygadziarka Żurek mówiła mi, że narzeczony ma pretensję do stawek za pracę, choć miewa też inne zastrzeżenia. Panna Żurek jest akurat tym oburzona, ja nie mam zdania. Trzeba koniecznie z chłopakiem porozmawiać.

Jego panienska nazywa się Kamila Piotrkowska i nie rzuca na kolana swoją urodą. Najładniejsza ze szwaczek zwykle stoi w korytarzu i przegląda się w szybie okiennej. Zauważył pan? Cieplak polikwidował im lustra w łazienkach.

Bardzo nieczuły facet, jeśli zabiera kobietom możliwość obcowania z pięknem w najczystszej lustrzanej formie. To co, pogada pan z krewkim narzeczonym?

- Zrobi się! Moje uznanie: całkiem zgrabnie bajerował pan Mariolę Żurek

- zauważył komisarz.

- Dzięki, miło to słyszeć, bo z wiekiem człowiek wychodzi z wprawy.

Ona do bajerowania jest dobra, chwyta żarty, nie bierze wszystkiego serio, ale żeby ją uwieść, to trzeba by się dłużej pomęczyć. Nie wiem, czy jest zakochana, ale na pewno szczerze oddana jednemu mężczyźnie. Owszem, robiłem, co mogłem, i nawet los okazał się dla mnie łaskawy. Zdobyłem zaufanie panny Marioli i poznałem parę tajemnic. Czy panu przysłoby do głowy, że stary Maciej Cieplak był filantropem?

Że bezinteresownie pomagał ludziom?

- Owszem, coś mi się obilo o uszy.

- Mnie u babki Barbary nic takiego się nie obilo. Musi pan pogadać z Mariolą. To nie jest głupia dziewczyna i ma swoje spojrzenie na pryncypała, niezależne od tego, co ich łączy i co inni myślą o Cieplaku. Stawiam jeden do dziesięciu, że odezwał się do niej i są teraz w kontakcie. Niestety, moje wcześniejsze przypuszczenia się nie potwierdziły, więc nie będę zwracał panu głowy.

Rozpracowałem też kolor włosów panny Żurek. To nie żadne fanaberie kazały dziewczynie pomalować włosy na kolor żywej czerwieni, tylko twarda konieczność. Rodzice hodują psy o maści... czy raczej ubarwieniu mahoniowym i szykują je na wystawę. Podobno psiska mają szansę zostać czempionami, ale żeby wyglądały jeszcze lepiej, trzeba je odrobinę podkolorować. Rodzina testuje farby na swoich włosach. Pani Mariola miała pecha, jej kolor wyszedł zbyt intensywny. Chwilowo nie ma kasy na poprawki, więc dobiera fryzury jak najmniej rzucające się w oczy. Patrz

pan, panie Jarosławie, co też ludzie potrafią wymyślić!

Korek ruszył leniwie i komisarz, szczerze ubawiony historią panny Marioli, nabrał nadziei, że jeszcze tego popołudnia dotrze do komendy.

Spokojnie odebrał następną rozmowę i w słuchawce wetkniętej do ucha poraził

go kobiecy płacz. Sekundy upłynęły, zanim się zorientował, że płacze Justyna.

Bardziej się domyślił, niż usłyszał, że jego żona stoi z wózkiem pod domem i boi się wejść. Powtarzała, że stało się, że biegają jak kot z pęcherzem, a straż pożarna wchodzi do mieszkania przez okno kuchenne.

- Do nas wchodzi? - wykrzyknął zaskoczony.

- Do Rojków, przecież ci tłumaczę.

Zapewnił, że zaraz tam będzie. W linii prostej miał do domu całkiem blisko. Stał jednak dobrą chwilę na pierwszych i drugich światłach, zanim mógł

zaparkować przy sąsiednim bloku. Przed jego klatką tłumek gapiów otaczał

samochód policyjny i strażacki.

Strażacy już szturmowali okno, a dwaj policjanci szykowali się do wejścia po schodach. Podkomisarz Mietek Uchalski kiwnął do Rębowicza ręką.

W pokoju siedzieli do siebie plecami, ale nie dlatego, że się nie lubili, jak często żartował Mietek. Uścisnęli sobie dłonie.

- Co tam, komisarzu, rybki na górze hodujecie? - zażartował kolega Mietek.

- A co się stało?

- Chodź z nami, to sam zobaczysz. Zapewne nic oryginalnego. Twoi sąsiedzi zalewają tych niżej, a sami gdzieś się ulotnili.

Dał słowo, że jak tylko wniesie na górę wózek z dzieckiem, to zajrzy na moment. Na razie miał na głowie roztrzęsioną Justynę. Posadził ją w fotelu, napił zimną wodą, potem wyjął Zuzię z wózka. Dziewczynka zachowywała się całkiem przyzwoicie. Wodziła oczkami po suficie, jakby zapomniała, że umie płakać.

- Ludzie opowiadają straszne rzeczy - westchnęła Justyna.

- To nie słuchaj ludzi. Nikt tam jeszcze nie był i nikt nie wie, co się stało.

- Policję zawiadomili ci, co mieszkają pod Rojkami, bo ich zalewało.

- Słyszałem. Zalanie to jeszcze nie jest tragedia.

- Jęki też słyszeli. Oni twierdzą, że w wannie musi być trup.

- Ico?

- Rojkowa rano znowu tu była. Wysiadła z taksówki, pogapiła się w swoje okna i pojechała. To jest nienormalne.

- Co najmniej dziwne - przyznał. Poszedł do kuchni, żeby wstawić do podgrzewacza picie dla małej, i zauważył, że pod blokiem przybywa policyjnych samochodów.

Wysiadła właśnie ekipa z lekarzem, fotografem i innymi specjalistami.

Zwykle z pozoru zalanie musiało mieć drugie dno. Zaniósł do pokoju butelkę i obiecał Justynie, że wszystkiego się dowie u źródła.

Potop u Rojków zaczął się w łazience. Któreś z małżonków wylazło z wanny, nie wyjęło korka i nie dokręciło dobrze kranu. Mimo wysokiego progu woda przelała się do przedpokoju. Mokry parkiet, zwany mozaiką, wyglądał

niczym makieta gór. Pachniało wilgocią i jeszcze czymś nieuchwytnym.

Komisarz wszedł razem z ekipą i w przedpokoju zrobiło się tłoczno.

- Wchodźcie, wchodźcie - zapraszał elegancko podkomisarz Mietek. -

Główna scena jest w tym pokoju i tu obejrzyjecie teatr śmierci... Chociaż właściwie już jest po teatrze.

Rębowicz uważał się za twardego faceta i był twardym facetem. Gdyby było inaczej, zamiast tkwić w policji, sadziłby kwiatki w inspektach, jak radziła Justyna. Nie mógł jednak powiedzieć, że nic go już nie zaskoczy.

Rojek, rozebrany do majtek, z wielkim kneblem w ustach, z rękami spętanymi powrósłami z rajstop i pasów kolorowego materiału idealnie pasował

do mrocznego horroru, a nie do typowego mieszkania w bloku. Był martwy, twarz miał siną i obrzękłą, a na ciele mnóstwo ran kłutych. Jedna obok drugiej, jakby ktoś próbował przerobić go na sitko. Niektóre rany zakrzepły wcześniej, inne, narażone na ciągłe drażnienie, choćby przez zmianę pozycji, krzepły z trudem, o czym świadczyły dużo większe, prawie czarne plamy wokół. Śmierć nastąpiła przez powolne wykrwawienie. Nie mógł się bronić, krzyczeć ani wzywać pomocy. Był dosłownie przyspawany do łóżka. Jego tors przytrzymały pasy materiału przybite ordynarnymi gwoździami. Niewprawną ręką wbijała gwoździe tak daleko, jak pozwalała na to płyta wiórowa łóżka.

- Facet mógł jedynie pomachać nogami - stwierdził fotograf.

- Musiał być mocno nachlany i kompletnie nieprzytomny, że tak się dał

związać - mruknął ktoś z ekipy.

- Owszem, lubił popić - przytaknął Rębowicz. - Lubił też bić żonę.

- Kobieta mogła go tak urządzić?

- Jeśli doprowadzona do ostateczności, to czemu nie.

Rębowicz patrzył na łóżko, patrzył na ścianę i nie mógł uwierzyć, że od wielkiej tragedii oddzielało go tak niewiele centymetrów. Ściana była nośna, więc góra kilkanaście. Po drugiej stronie, po tej jego, stał komplet wypoczynkowy z fotelami i ławą. Przy ławie lubił pić z Justyną herbatę, przeglądać gazetę lub gapić się na ekran telewizora.

- Jarek, wyście nic nie słyszeli? - spytał podkomisarz.

- Mamy malutkie krzykliwe dziecko, jesteśmy wiecznie zmęczeni, poza tym śpimy w drugim pokoju... Nie słyszałem żadnych podejrzanych odgłosów.

Wczoraj o jedenastej wydawało mi się, że ktoś gładzi ścianę, zatacza na niej jakieś koła, a potem usłyszałem coś, jakby głębokie westchnienie. To nie były dźwięki upoważniające do interwencji. Lokatorzy tego mieszkania przyzwyczaili nas do całkiem innych hałasów, zwłaszcza kiedy się tłukli.

- Mówi pan: wczoraj o jedenastej? - upewnił się lekarz. - To by się zgadzało. Mniej więcej wtedy umarł.

- Cholera! - mruknął Rębowicz, bo nic innego nie przyszło mu do głowy.

- Może twoja żona coś więcej słyszała? - zagadnął podkomisarz Uchalski.

- Daj spokój, chcesz mi do reszty wystraszyć żonę! - fuknął.

- Sorry, stary, ale spytać muszę.

Rębowicz wpadł do mieszkania tylko na chwilę. O tym, co zobaczył za ścianą, opowiedział jedynie z grubsza.

Uprzedził też Justynę, że będzie przesłuchiwana. Trochę się zdziwiła.

- Mam opowiadać o swoich przeczuciach?

Przytulił żonę i pocałował.

- Mów o wszystkim, co uznasz za ważne - powiedział i szybko zniknął za drzwiami. Nie mógł znieść smutnych, prawie żalonych oczu Justyny.

Sierżant Dariusz Kosik lubił o sobie mówić, że jest kryminalistą. W

jakimś żartobliwym sensie było to prawdą, bo kończył uczelnię policyjną w Pile, kuźnię kadr policji kryminalnej. Zbierając materiały na temat Rubla i Podskoka, w ciągu kilku godzin dowiedział się o tych ludziach więcej, niż oni chcieliby wiedzieć o sobie.

Jerzy Podskok, rocznik tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty siódmy, miał nazwisko odpowiednie do stylu życia.

Nie nadawał się do żadnych większych skoków, najwyżej do podskoków, i to najlepiej w miejscu. Typowy jedynek władczej i nadopiekuńczej matki. Od dziecka zapowiadał się na gwiazdę, a to gry na mandolinie, a to piłki nożnej, niestety, przez czterdzieści parę lat nie udało mu się zabłysnąć w żadnej dziedzinie. Jako chłopak lubił posłuchać muzyki, nie unikał wagarów, miał małe wpadki, chociaż większych kłopotów wychowawczych nie sprawiał. Szybko zapalał się do różnych pomysłów i jeszcze szybciej gasł. Najdłużej, bo aż dwa i pół roku, studiował budownictwo na politechnice. Zraził się do tego kierunku tak bardzo, że obrzydły mu studia w ogóle.

Wrócił do domu, do matki, która zapewniała mu dach nad głową, wikt i co tam mu było trzeba, a przede wszystkim nie przestawała wierzyć, że jej chłopiec pokaże wreszcie światu, na co go stać. Nałogów nie miał, nie pił, nie palił, nie ćpał, ale też i nie pracował. Czasem dowoził matce do sklepu towar, czasem ją samą gdzieś podrzucił i na tym koniec. Nie znosił wstawania na godzinę, odbijania kart zegarowych, siedzenia od do, w ogóle nie znosił żadnego wysiłku, i to tak dalece, że prawie nie umawiał się z dziewczynami. I choć dawno już wyrósł z krótkich spodni, nadal głosił teorię charakterystyczną dla małolatów płci męskiej, że dziewczyny są głupie, a życie bez nich jest dużo tańsze. Nie był gejem, był osobnikiem heteroseksualnym, tylko wyjątkowo leniwym, który ożywiał się wyłącznie na widok komputera.

Czasem, jeśli bardzo chciał sobie kupić jakiś ciuch, coś ze sprzętu, ewentualnie zaprosić panienkę na dyskotekę, łapał prace dorywcze. Pomagał

przy przeprowadzkach lub zbiorze owoców, zarobił parę groszy, wydał je od ręki i dalej mógł robić to, co najbardziej lubił i umiał, czyli kompletnie nic, nie licząc buszowania po internecie. Grzeczny, miły, niekarany, cieszył się w miejscu zamieszkania opinią poczciwego fajtlapy na garnuszku mamusi. Panny nie biły się o niego. Nie miał prezencji, pieniędzy ani przyszłości, nie był

uważany za fenomenalnego kochanka, więc nie było o kogo zabiegać.

Całkiem innym typem był starszy o siedem lat Tomasz Rubel, rocznik tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty.

Ten od dzieciaka pchał się wszędzie tam, gdzie wietrzył

niebezpieczeństwo. Jazda motorami na granicy ryzyka, sporty ekstremalne, spadochrony i rajdy. Do życia potrzebował adrenaliny i lubił się nią zachłystywać. Dziewczyny podrywał na pęczki i rzucał bez specjalnego żalu.

Jeśli mówił Rębowiczowi, że był komandosem, to nie kłamał. W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym roku jako młody poborowy dostał

powołanie do Dziwnowa, do Pierwszego Batalionu Szturmowego, który wiele lat później został przemianowany na Pierwszy Pułk Specjalny Komandosów. W

wojsku Tomasz Rubel przeszedł niezłą szkołę i czuł się tam jak ryba w wodzie.

Aż się palił, żeby zasilić szeregi kadry oficerskiej, i pewnie dopiąłby swego, gdyby nie wypadek na świątecznej przepustce. Spadając na wirażu z motocykla, trochę się połamał, ale przede wszystkim solidnie rozbił głowę i musiał zweryfikować wszystkie dotychczasowe plany.

Jako inwalida z metalową siatką w czaszce nie wrócił już do wojska. W

krótkim czasie stał się człowiekiem zdruzgotanym psychicznie. Nic mu się nie układało, ani małżeństwo, ani praca, i żył wspomnieniami dawnej świetności, kiedy to w okolicy nie było drugiego takiego gieroja. W końcu, żeby zająć czymś chorą głowę i zdrowe ręce, a przede wszystkim aby nie umrzeć z głodu, skończył kurs tresury psów i wymyślił sobie, że zostanie psim psychologiem.

Zajęcie nie było zbyt intratne, ale też potrzeby Tomasza Rubla nie były wielkie.

Wydzierżawił starą chałupkę i jakoś żył. W kolizję z prawem nie wchodził, chociaż obracał się w towarzystwie niezbyt ciekawym, gdzie można było spotkać dilerów narkotyków, nożownika i złodzieja.

Komisarz Rębowicz z uwagą czytał materiał zebrany przez sierżanta Dariusza Kosika. Oglądał dołączone zdjęcia i adresy. Miał przed sobą solidnie opracowane dossier.

- No, no! - mruknął z uznaniem. - Dobra robota.

Pochwała sprawiła sierżantowi przyjemność, co objawiło się żywym rumieńcem na piegowatej twarzy.

Sympatyczny był ten Kosik i bardzo chciał się wykazać.

Rębowicz pokrótce wprowadził go w sprawę Cieplakowej i razem pojechali przesłuchiwać Ernesta Wyrobę, zwanego Wariatuńciem. Czekał na nich w domu, bo do pracy szedł dopiero na noc. Już przy pierwszej rozmowie okazało się, że ksywa była całkiem uzasadniona.

Wyroba posługiwał się soczystą polszczyzną i wystarczyło, że coś go lekko zirytowało, a już sam zaczynał się nakręcać. Mówił coraz szybciej i coraz dosadniej. Najbardziej nie podobała mu się firma Mirabella, której właściciel płacił ludziom na oko, a nie za faktycznie wykonaną robotę. Cieplak w bardzo prosty sposób zlikwidował kominy płacowe: drastycznie obniżył stawki tym najlepszym, a podniósł najslabszym. Kamila Piotrkowska, narzeczona Ernesta, była szybka, dokładna, zostawała po godzinach i już trzeci raz musiała wspomagać te, którym nie chciało się pracować. Wariatuńcio, opowiadając o tej niesprawiedliwości, bluzgał jak najęty.

- W sobotę po południu był pan u inżyniera Bulwickiego. Zaraz potem poszedł pan do Cieplaka,

prawda? - komisarz bardziej stwierdził fakt, niż spytał, żeby nie zostawiać rozmówcy miejsca na fantazjowanie.

- Co mi pan tu truje o sobocie, jak ja mówię o jawnej niesprawiedliwości -

wykrzyknął krewki Ernest.

Rębowicz spokojnie zaproponował przeniesienie rozmowy do komendy, co podziałało na rozmówcę bardzo uspokajająco. Ernest przyznał, że nie lubił

nawet przejeżdżać obok tego wielkiego budynku. Zaraz też opanował trochę język i zastanowił się nad odpowiedzią.

- Poszedłem do Cieplaka - przyznał niechętnie. - Do poniedziałku nie mogłem czekać, bo mi narzeczona w histerię wpadła. Tego chyba w żadnym kinie nie grali, żeby dobrym odbierać i słabym dokładać. Tylko taki buc jak Cieplak mógł to wykombinować. Musiałem mu to powiedzieć.

- Chciał pana słuchać?

- Nie miał wyjścia. Postąłem na ulicy, zebrałem myśli i jak już weszłem na podwórko, to umarł w butach.

Ja boks trenuję.

- Poszedł pan do Cieplaka, żeby go pobić?

- Tego nie powiedziałem! - zawołał Wyroba. - Powiedziałem tylko, że przed byle chojrakami nie pękam.

- Psa się pan nie bał?

- Jakbym się wszystkiego bał, nie załatwiłbym niczego. Oni siedzieli w przybudówce, a pies z nimi.

- Jacy oni?

- Cieplak z tą francą brygadzystką.

- Co konkretnie robili?

- A co mogli robić w przybudówce? Siedzieli i gadali.

Może wymyślali nowe świństwa. Cieplaka ani brygadzystki nikt nie lubi, bo dmuchają w jedną trąbkę. Ja bym ich...

Komisarz przerwał kolejny wybuch złości.

- Spokojnie, panie Wyroba, spokojnie - powiedział. - Wszedł pan do przybudówki i co było dalej?

- Facet się zdziwił, zaczął pytać: a skąd, a co... I w ogóle o płacach nie chciał gadać. To się wkurzyłem. W robocie nie ma czasu, po robocie nie ma...

Powiedziałem, że skoro już jestem, to napiłbym się z panem Cieplakiem wódki i posłuchał, co ma mi do powiedzenia o pieniądzech mojej narzeczonej. Wódka, a jakże, stała na stole i dwa kieliszki. Franca nie piła, tylko on, więc drugi kieliszek wziąłem sobie. Połałem, a on patrzył spod oka i pewnie życzył mi w duchu, żebym się udławił. Niedoczekanie jego. Krzesło stało, to siadłem i mówię, o co mnie się rozchodzi. Kręcił facet jak głupi, powiedział, że normy były źle ustawione, że musiał korygować. Nie przewidział, że trzy czy cztery dziewczyny tak ostro pojedą z robotą, i przeraził się, że za dużo straci. Fakt pakt, ukradł im zarobione pieniądze, bo inaczej nie da się tego nazwać.

Rzuciłem mu w oczy: „Dla mnie, panie Cieplak, to pan jesteś złodziejem”.

Obruszył się, bo żaden złodziej nie lubi, jak go złodziejem nazywać. Zagroził, że wezwie policję! - Wyroba wybuchnął śmiechem.

- Co pana tak rozbawiło? - zdziwił się komisarz.

- Nie wiedział, buc zatracony, że od straszenia to jest pan Wyroba, a nie on. Na mnie nie robią wrażenia takie gadki, że ktoś się śpieszy, że zaraz wyjeżdża. Jakby się śpieszył, to nie siedziałby w przybudówce z brygadzystką.

Furt powtarzał, że w poniedziałek mam przyjść do biura. Nie lubię, jak się mnie na siłę wyrzuca.

- I co? Nie wyszedł pan?

- Z przybudówki wyszłem, z podwórka nie tak od razu. Wlałem między krzaki i pomyślałem, że trochę sobie popatrzę. Pies nie zwracał na mnie uwagi, to co mi zależało.

- Opłaciło się siedzieć w tych krzewach?

- Nie za bardzo. O czym gadali, nie słyszałem. Możliwe, że Cieplak chce brygadzystkę zwolnić, bo baba wciąż oczy tarła. Strasznie była płaczliwa, choć w robocie twarda jest i nic jej nie wzrusza.

- Nikt więcej tam się nie kręcił?

Wyroba spojrzał na komisarza uważnie i już samo to było dziwne, bo najwyraźniej nie miał zwyczaju patrzenia na rozmówcę. Wolał omiatać wzrokiem kąty i podziwiać czubki drzew.

- Był taki jeden - powiedział z ociąganiem - ale ja go nie znam. - Za stracha na wróble mógł robić. Mówił coś o pieniądzech za psa czy za kupno psa, trudno się było połapać. Cieplak go wyśmiał i doszło do awantury. Takiej niewielkiej. Na podwórku złapali się za szubry i ten gość rąbnął Cieplakiem o murawę. Rozwalił mu nos.

- Czy przybyły pokazywał jakieś kwity, dokumenty?

- Cieplak też go o to pytał. Facet nie miał dokumentów, kazał sobie wierzyć na słowo.

- Pan na pewno z nim nie rozmawiał? Niech pan dobrze pomyśli, bo to ważne.

- Nie mam co myśleć, nie gadałem z nim na mur.

Do bijatyki też się nie wmieszałem, bo ja bym ich obu rozłożył.

- Brygadzistka patrzyła na bójkę?

- Poszła, ledwie strach na wróble się pojawił. Cieplak kazał jej wracać do domu.

- Co było dalej?

- Nic. Podali sobie ręce i strach poszedł.

- A pan?

- Zmrok zapadał, to wymknęłam się zaraz po nim. Cieplak też wyszedł.

- Miał tu gdzieś swój samochód?

- Nie. Doszedł do apteki i wezwał taksówkę.

- A pan? Poszedł pan prosto do domu?

- Tak, to znaczy prawie prosto, bo miałem jeszcze coś do załatwienia.

Wyroba z wielką ulgą zegnał policjantów. Trochę się zasepił, kiedy komisarz nie pozwolił mu wyjeżdżać ani zmieniać adresu. Przysięgał, że nic więcej nie ma do dodania. Rębowicz udawał, że wierzy, ale nie wykluczał

następnych spotkań. Zrobił mu nawet zdjęcie komórką, żeby mieć na pamiątkę, jak sobie zazartował.

- Pan zna jego narzeczoną? - spytał sierżant Kosik, kiedy już wsiedli do samochodu.

- Chyba nie, a czemu pan pyta?

- Tak sobie myślę, że dziewczyna musi być chyba ślepa, jeżeli zaręczyła się z takim prymitywem. On mi wygląda na faceta gotowego przyłożyć nawet kobiecie.

- I to nie kwiatkiem.

- No właśnie - zgodził się sierżant.

- Ogląda pan seriale? W ogóle telewizję? - spytał nieoczekiwanie komisarz.

- Chodzi panu o dziewczyny?

- Nie o dziewczyny, tylko o język. Seriale lansują czasem takie różne powiedzonka, które ludzie potem podchwytyją. Obił się panu o uszy zwrot „fakt pakt”?

- Wyroba tak powiedział, zauważyłem.

- Właśnie! Rubel też tak mówi i teraz mamy pytanie: powtarzają modny zwrot niezależnie od siebie, czy Wyroba cytuje Rubla. Jeśli tak, to ci dwaj panowie zawarli bliższą znajomość w krzakach u Cieplaka, a teraz się jej wypierają.

Komisarz zatrzymał samochód przed domem Bulwickich. Z tarasu docierały radosne głosy, a zwłaszcza jeden, dziecięcy.

Początkowo Daniel, wnuczek Izy, wyraźnie boczył się na Leszka Kurczyłłę. Patrzył spode łba, nie za bardzo chciał odpowiadać na pytania.

Wreszcie Leszek fuknął na chłopaka, i to ostro.

- Co ty, stary, na żartach się nie znasz!? Odkąd to w Polsce jadamy ludzi?

- Zawsze ktoś musi być pierwszy - wyjaśnił poważnie Daniel.

- Skąd to wiesz?

- Dziadek Michał mi mówił.

- Mądrze ci mówił, ale jedzenie ludzi to jest...

- Pakologia - uzupełnił poważnie Daniel.

- Dobre słowo, skąd je znasz?

- Dziadek Jacek tak mówi.

- Niech ci będzie, że patologia. Z pieczenia żartowałem. Powiedziałem tak, bo mnie wkurzałeś.

- Wiem - przytaknął Daniel. - Dziadek za bardzo się kręcił koło różna, a ja z nim.

- Właśnie. To co, przybijemy żółwika i będzie zgoda?

Chłopiec nie dał się dłużej prosić. Wyciągnął przed siebie dłoń z zaciśniętą pięścią, tak jak to się wyciąga do żółwika, i na tarasie babci Izy zapanowała wesoła zgoda. Rębowicz z Kosikiem przysiedli się po cichu, ale chwilowo nie zabierali głosu. Leszek Kurczyłło świetnie sobie radził w charakterze partnera małolata. Iza na moment odeszła od stołu, żeby odebrać telefon.

- Żaba połknęła babci komórkę - krzyknął Daniel, a nawet pokazał

palcem.

- Jaka żaba? - zdziwił się Leszek. - Pajacujesz, mały - powiedział i zburzył chłopcu włosy.

Komisarz Rębowicz uznał, że powinien włączyć się do rozmowy i pogadać choćby o królewiczu zaczarowanym w żabę, ale rozdzwonił się jego własny telefon.

Kończąc rozmowę, wiedział, że nie ma żadnej szansy na interesującą pogawędkę o bajkach. Służbowe zaproszenia na naradę do szefa bywają propozycjami nie do odrzucenia, i to bez względu na temat narady. Komisarz poderwał się od stołu i odwołał na bok Leszka. Z komórki na komórkę przekazał

mu kilka zdjęć, szepnął coś do ucha, skinął na Kosika i popędzili do samochodu.

Wjeżdżali już na parking przed komendą, kiedy zadzwonił szpital. Godzinę wcześniej Beata Cieplakowa wybudziła się ze śpiączki. Rozmowa z nią wciąż jeszcze była niemożliwa.

W czasie jazdy komisarz lubił głośno myśleć. Oczywiście nie o Bermudach ani przyszłości Zuzi, tylko o sprawie, nad którą się biedził. Miało to sens zwłaszcza wówczas, gdy obok siedział taki na przykład sierżant Kosik, który potrafił zadawać pytania. Jadąc na rozmowę do Zofii Kurczyłowej, próbował odtworzyć przebieg sobotniego wieczoru oraz nocy. Wydarzenia uparcie rozpadały się na dwie z pozoru niezależne części: pierwsza związana była z Cieplakiem, druga z jego żoną. Wciąż nie udało się ustalić, dlaczego Cieplak zostawił gości weselnych w kościele w Lipnie, a sam wrócił do domu.

Samochód pewnie postawił na jakimś parkingu we Włocławku, żeby nie podpadać sąsiadom w Michelinie. Jeżeli był umówiony, to z kim? Odwiedziły go z całą pewnością co najmniej trzy osoby: Mariola Żurek, Ernest Wyroba i Tomasz Rubel. Miała ochotę dojść jeszcze Halina Lipka, ale jej nie wpuścił. Już o zmroku, jeśli wierzyć Ernestowi Wyrobie, Cieplak odjechał taksówką. Przez godzinę, może półtorej w domu ani w podwórku nie powinno być nikogo.

- Pasuje mi przypuszczenie, że Rubel w ogóle nie wyszedł poza opłotki, tylko cały wieczór siedział gdzieś w ogrodzie w krzakach - powiedział sierżant Kosik.

- Jest to całkiem prawdopodobne - przytaknął komisarz. - Zrobiło się późno, Rubel mieszka daleko, nie jeździ samochodem, mógł nie mieć czym wrócić do Wieńca. A noc była ciepła.

- Wariatuńcio Wyroba też nie określił się jasno, nie powiedział, że po rozmowie z Cieplakiem wrócił prosto do domu. Ja bym go nie wykluczał.

Niemal widzę, jak też siedzi w krzakach zależnie lub niezależnie od Rubla.

- Tak bez żadnego motywu?

- Mógł siedzieć z ciekawości, dla draki albo dla towarzystwa, jeśli poznał

Rubla. Tę wódkę to kto wypił?

- Na szkle są ślady Cieplaka. Teraz trzeba będzie poszukać śladów Rubla i Wyroby. Proporcje

pozostaną raczej ich tajemnicą.

- Wódka też mogła być elementem przyciągającym - zauważył sierżant.

- W drugim akcie na domowej scenie pojawiła się Beata Cieplakowa.

Najprawdopodobniej przywiózł ją Jerzy Podskok, zwany Kałmukiem. Tu już były same znaki zapytania, przy czym jeden szalenie istotny: czy Kałmuk spotkał tamtych dwu, Rubla i Wyrobę? No i następne: który z mężczyzn wszedł

do sypialni i uderzył Cieplakową?

- A dalej? - spytał sierżant Kosik. - Wciąż jest jakieś dalej. Musieli się przecież wydostać z tego domu. Czy Rubel mógł dorwać takiego stracha, że nawet te kilkanaście kilometrów do Wieńca potraktował jak małej nocny spacer?

Zofia Kurczyłowa przyjęła komisarza bardzo spokojnie, jakby nigdy nie zdarzyło się między nimi najdrobniejsze nawet nieporozumienie. Zbladła dopiero na widok zdjęcia, tego, na którym stała ramię w ramię z Kałmukiem.

- Wolałbym, aby tym razem niczego pani nie tała ani nie ubarwiała -

poprosił komisarz. - Kim jest ten mężczyzna, który na innych zdjęciach towarzyszy pani córce?

Oczywiście te inne zdjęcia również znalazły się na stoliku. Zofia Kurczyłowa z niechęcią odwróciła od nich oczy.

- To Jerzy Podskok, syn mojej koleżanki Wandy Podskok - wyjaśniła.

Usta miała suche i z trudem nimi poruszała.

- Należał do gości panny młodej czy pana młodego?

- Nie należał do gości. Mój zięć szukał kogoś, kto zająłby się Mirabelką, i to ja wskazałam mu Jurka.

- Nic z tego nie rozumiem - westchnął komisarz. - Proszę wytłumaczyć jaśniej.

Jaśniejsze tłumaczenie zajęło pani Zofii nieco czasu, ale rzuciło nowe światło na całą sprawę.

Cieplakowie wyjeżdżali na wesele mocno skłóceni. Był to stan normalny dla ich związku i Zofia Kurczyłowa nie przywiązywała specjalnej wagi do fochów Mirabelki.

Uczciwie przyznawała, że córka była dużo gorsza od zięcia, bardziej kłótliwa, przede wszystkim zaś samowolna i kompletnie bezmyślna. Za Wisłą, gdzieś na wysokości Szpetala Górnego, zadzwonił telefon Cieplaka. Zięć nie rozmawiał długo, powiedział, że za chwilę oddzwoni, i przerwał połączenie. Po chwili przerwał też jazdę, zatrzymał się na poboczu i wysiadł z auta. Wyraźnie nie chciał, żeby współtowarzyszki podróży poznały treść rozmowy. Głośno wspominał o kłopotach

służbowych, ale Mirabelka nie uwierzyła i zaczęła rzucać w przestrzeń różne uszczypliwe uwagi, na które on nie reagował. Do domu weselnego dojechali sporo przed czasem i dopiero wtedy Cieplak poprosił

Zofię Kurczyłową o pomoc.

Powiedział: „Muszę zniknąć na dwie, góra trzy godziny. To sprawa życia i śmierci. Mirabelka pozostawiona sama sobie może rozbić ze dwa małżeństwa i doprowadzić do trzeciej wojny światowej. Znasz tu trochę ludzi, znajdź mi faceta, który za godziwą opłatą zgodzi się jej towarzyszyć na sali, dopóki nie wrócę”. Zofia Kurczyłową kiedyś знаła więcej osób w Lipnie, ale teraz, poza siostrą i Wandą, nie umiała sobie nikogo przypomnieć.

Siostrze wołała o niczym nie mówić, zwłaszcza że dzień był uroczysty i absorbujący. Umyła ręce, przyczesła włosy i podjechała z zięciem do Wandy.

Całkiem niedawno, już po śmierci Władysława, spędziły razem kilka godzin i z gadania koleżanki wywnioskowała, że syn tamtej, niegdyś krostowaty i mrukliwy chłopak, wyrósł ostatecznie na geniusza. Szczęśliwym zrzędzeniem losu wciąż był kawalerem. Dzwoniąc do drzwi, przeżywała prawdziwe męki. Z

góry już wstydziała się za Mirabelkę, za jej zachowanie i to, co może wymyślić.

W mieszkaniu ochłonęła. Genialny jednak okazał się nieurodzivym i dość apatycznym mężczyzną. Kwota dwu tysięcy złotych zmieniła jego obojętne nastawienie do świata na całkiem pozytywne. Niezbyt dyplomatycznie ucieszył

się, że stosunkowo tanim kosztem zarobi parę groszy i wreszcie kupi sobie upatrzonego motocykl. Dogadał się z Cieplakiem i gotów był towarzyszyć jego żonie w czasie wesela. Przy pierwszym spotkaniu wydawało się, że Mirabelka nie miała nic przeciwko temu, żeby sobie potańczyć z młodym mężczyzną.

Chwilowo nie miała, ale potem zmieniła zdanie.

Cieplak wyjechał w trakcie ślubu, a Podskok czekał w zajeździe. Przy drugim spotkaniu coś między tą parą zazgrzytało. On zachowywał się poprawnie, natomiast ona demonstrowała jawną niechęć, całkiem jakby Jerzy miał zostać jej partnerem na całe życie, a nie na parę godzin. Uważała, że jest za niski, nieatrakcyjny i nudny.

Nie chciała tańczyć, nie chciała rozmawiać, zaczęła pić i bardzo szybko doprowadziła się do stanu, który groził jeszcze większym skandalem niż zarzucanie sieci na cudzych mężów. Przy wychodzeniu z sali zatoczyła się, pociągnęła Jerzego za sobą i oboje wylądowali na parkiecie dość niefortunnie, czyli jedno na drugim. Wzbudziło to niezdrową sensację wśród kilku pań, tym bardziej że Mirabelka miała poważne kłopoty z utrzymaniem równowagi. Jakoś się w końcu pozbierała i wyszła na podjazd. O łóżku w zajeździe nawet nie chciała słyszeć, kazała się wieźć do domu, obojętnie jakim autem. Podchodziła do tych stojących na parkingu, szarpała za drzwi, wykrzykiwała różne świństwa i partner nie miał innego wyjścia, jak tylko wpakować ją do samochodu swojej matki, czyli Wandy

Podskok. Był to biały dostawczy fiat, zaopatrzony na szczęście w GPS. O dziesiątej wieczorem Podskok pojechał uwalniać się od wyjątkowo uciążliwej kobiety. Co było dalej, Zofia Kurczyłłowa wiedziała jedynie z grubsza, to znaczy tyle, ile zięć zechciał jej powiedzieć. Sprawy podobno się skomplikowały, zięć nie mógł wrócić do domu i potrzebna była dalsza pomoc Podskoka. Ustalili przez telefon, że następnego dnia, czyli w niedzielę przed południem, Jerzy weźmie hondę z parkingu przed zajazdem i odwiezie do domu Zofię Kurczyłłową. Oczywiście nie za darmo, tylko za tysiąc złotych. Cieplak pieniędzy nie skąpił, ale traktował Jerzego z góry w myśl zasady: „Chcesz pan widzieć kasę, to rób tak, jak ja mówię”. Po wykonaniu zadania, w poniedziałek, mieli się spotkać w pewnym mieszkaniu na Cygance i ostatecznie rozliczyć. Klucze od tego mieszkania leżały w przedpokoju michelińskiego domu. Podskok miał je zabrać, wrócić do Lipna, a w niedzielę, po odwiezieniu Zofii, zainstalować się na Cygance i zanoćować. Hondę miał

zostawić na podwórku, unikać spotkań z sąsiadami i nikogo nie wpuszczać.

Cieplak obiecał, że zapowie się telefonicznie. Konspiracja została bardzo starannie przemyślana, najwyraźniej jednak wmieszał się pech.

Pani Zofia skończyła opowieść i siedziała z oczami wbitymi w kolana.

- Zatem niewiele było prawdy w pani poprzednich zeznaniach - zauważył

komisarz.

Kobieta z rezygnacją pokiwała głową.

- Próbowałam pomóc zięciowi.

- Teraz już nie chce mu pani pomagać?

- Chcę, ale sprawy zaszły za daleko. Jerzy Podskok nie żyje, zięć gdzieś wyjechał, nie mogę brać na sumienie więcej, niż zdołam udźwignąć.

- Czy po weselu Cieplak nocował w zajeździe?

- Nie. Wyjechał krótko po telefonie do Podskoka. Pożegnał się ze mną, zostawił mi kluczyki od samochodu i powiedział, że powrót do domu mam załatwiony.

Mirabelka miała myśleć, że to zięć mnie przywiózł.

- Bardzo to wszystko wyglądało tajemniczo. Nie prosiła pani o bliższe wyjaśnienia?

- Nigdy nie prosiłam o żadne wyjaśnienia i dlatego moje stosunki z zięciem układały się całkiem pomyślnie. Jednego jestem pewna: on nie przyłożył ręki do wypadku Mirabelki. Moja córka podobno ma się już lepiej, więc niech niebiosy mają w opiece wszystkich niewinnych. Nikt nie jest w stanie przewidzieć, co zapamiętała z tamtego wieczoru.

- Chce pani powiedzieć, że córka nie jest zbyt wiarygodna?

- Wiarygodna?! - prychnęła Zofia Kurczyłowa. - Ona nawet nie zna tego słowa.

- Cieplak nie musiał jej uderzyć bezpośrednio. Mógł zlecić zadanie komuś innemu, choćby Podskokowi.

- Widać, że pan Podskoka nie znał! - zawołała z nagłym ożywieniem Zofia Kurczyłowa. - Jemu by się nie chciało zabić komara na własnym nosie.

Praca, jaką wykonał dla mojego zięcia, była chyba najbardziej wyczerpującym zajęciem w całym jego życiu. Trochę z nim rozmawiałam w czasie wesela i swoje wiem.

- Lekko mu nie było - zgodził się komisarz. - Nie dość, że trafił na kobietę większą i grubszą od siebie, to jeszcze pijaną.

- I kompletnie samowolną - przypomniała Zofia Kurczyłowa.

- Jak pani myśli, dlaczego Podskok zginął?

- A skąd ja mogę wiedzieć? - zawołała przerażona.

To samo pytanie nurtowało sierżanta Kosika, kiedy wędrował z komisarzem od pani Zofii do Izy Bulwickiej.

- Mógł go stuknąć Cieplak, żeby nie płacić albo w odwecie za żonę, jednak to mi jakoś nie gra, a nawet zgrzyta fałszywie.

- W jakim odwecie, panie sierzancie!? Sam ją wepchnął w ręce tego faceta, żeby mieć większą swobodę.

Nie mógł przewidzieć, że ona spije się w biedronkę, jeśli normalnie nie piła. Cieplak miał ze swoją żoną krzyż pański. O nim krążą różne opinie, czasem dość sprzeczne, o niej w zasadzie jedna: zwariowane babsko. Chociaż niektórzy mężczyźni uznawali ją za atrakcyjną kobietę.

- A pan komisarz? - odważył się spytać sierżant.

- Widziałem ją prawie martwą, z kompletnie rozmazanym makijażem, to co ja mogę powiedzieć!? Na zdjęciach nie podoba mi się ani trochę.

Zdecydowanie wolę subtelniejsze kobiety. Myślę tu o urodzie, ale także o słownictwie. Podobno pani Mirabelka jest bardziej okłeta niż niejeden obszcymurek.

- Aż tak! - zdziwił się sierżant.

- Z zeznań wiem, że była okłeta. Ja nigdy z nią nie rozmawiałem. Zresztą nie wątpię, że będzie pan miał przyjemność poznać osobiście panią Mirabelkę.

Jest pewnie w wieku pańskiej matki, więc raczej się pan nie zakocha. Wróć jednak do Podskoka.

Jego komórka zarejestrowała dwie rozmowy z Cieplakiem i jedną z matką. Cieplak dzwonił do niego jeszcze raz, ale tej rozmowy Podskok już nie odebrał. Natomiast wcześniej nic nie wskazywało na to, że chłop czuł się zagrożony.

Oglądał telewizję, wyjadał zapasy z lodówki, bałaganił i nie wpuszczał

właścicielki mieszkania. We wtorek przed wieczorem ktoś go utopił w czasie kąpieli. Nie sądzę, żeby to był Cieplak. Nie miał żadnego motywu.

Podskok zadanie wykonał, a te głupie trzy tysiące to dla Cieplaka drobiazg. W firmie to on się handryczył o każdą złotówkę, dobrym zabierał, słabym dokładał, ale jestem pewien, że za zlecenia specjalne płacił bez gadania.

Z zabójcą Podskoka mamy poważny kłopot. Wątpię, żeby zrobił to ktoś przygodny, bo z mieszkania nic nie zginęło. Przygodni chcą się obłowić. Lipka co prawda przysięga, że nie miała wartościowych przedmiotów, ale pościel, ręczniki, porządne sztućce miała.

- Do mieszkania mógł wejść jedynie ktoś, kogo Podskok znał - zauważył

sierżant. - Z tego, co o nim wiem, facet nie był zbyt towarzyski, do tego nietutejszy, więc krąg znajomych bardzo nam się zawęży. W nocy mógł spotkać Rubla i Wyrobę, nikt więcej nie przychodzi mi do głowy.

- Znał Zofię Kurczyłową - przypomniał komisarz. - To kobieta o wyjątkowo silnych, spracowanych rękach.

Witał się pan z nią i pewnie czuł uścisk dłoni.

- Jaki motyw mogła mieć Kurczyłowa? - zastanowił się sierżant. - To już prędzej pomyślałbym o przygodnej panience na godziny. Może chciała go połaskotać i coś jej nie wyszło?

- Naprawdę aż tak źle myśli pan o pieścizotach? - Rębowicz roześmiał się i próbował otworzyć furtkę.

U Bulwickich nie zastali nikogo. Wszyscy siedzieli przed domem babki Barbary, przy czym Leszek z Danielem gdzieś na tyłach ogrodu, skąd docierały indiańskie okrzyki. Babce to nie przeszkadzało w drzemce, natomiast Emilka szczerze się ucieszyła na widok połączonych sił policyjnych. Bardzo jej doskwierało odsunięcie od śledztwa. Nawet Leszek zrobił się jakiś tajemniczy, odkąd zaczął pomagać komisarzowi. Poza tym czuła się osamotniona. Mąż siedział w Toruniu, Halina Lipka remontowała mieszkanie, Feliks wyjechał, Leszek węszył, a babka dużo spała.

- Proponuję, żeby u nas zorganizować centrum dowodzenia - obwieściła przyciszonym głosem, rozglądając się na boki. - Babce damy honorowe przewodnictwo i będzie zachwycona. Ja zajmę się bufetem, a wy poważną dedukcją. Czy wiadomo już, kto czyhał na Mirabelkę?

A kto utopił tego biedaka? Pani Halina wymienia wannę.

Wcale jej się nie dziwię.

- Jedno centrum dowodzenia już mamy - wyjaśnił rozbawiony Rębowicz.

- Nie będziemy montować drugiego.

- Gwarantuję panu, że to nasze będzie dużo sympatyczniejsze. Chociaż kto wie? Na jutro zapowiedział się stryj Marek. Liczy na nocleg i wyżywienie dla dwu osób.

- Przyjeżdża z panem Feliksem?

- Z Feliksem nie ma kłopotu, jego klitka wciąż stoi pusta, natomiast stryj przywozi swoją nową żonę i liczy na luksusy. Zawiedzie się, bo możemy ich położyć jedynie w bawialni na dole. Nie wynajmę mu pokoju w hotelu ani w pensjonacie i nie będę za niego płacić. Bez przesady, nie jestem aż taka rodzinna. Chce, niech śpi na sterczących sprężynach w bawialni, a jak nie, to jego biznes.

Roześmiała się, obróciła na pięcie i pobiegła do kuchni po zimne napoje.

Komisarz z sierżantem dołączyli do indiańskich wojowników. Usiedli obok nich na trawie.

- No to, Rączy Żółwiu, do dzieła! - powiedział Leszek, wręczając małemu komórkę oraz zdjęcie Podskoka z wesela. - Pan komisarz chce wiedzieć, kto się z kim bił.

Zdjęć Cieplaka nie ma, ale wszyscy go znają. Pokaż nam tego drugiego.

Daniel tytułował Leszka Wielkim Żubrem i aż się palił, żeby wziąć udział w zabawie ze zdjęciami.

- Tego nie znam - powiedział i obojętnie odłożył na bok fotkę Podskoka.

Z wielkim znanstwem zaczął penetrować komórkę Leszka. Bardzo szybko znalazł to, czego szukał, i uniół rękę w zwycięskim geście.

- Ten? - spytał zaskoczony Rębowicz.

Był prawie pewien, że chłopiec wskaże Rubla, a tymczasem malec z dumą demonstrował pyszałkowate oblicze Ernesta Wyroby.

- To był ten pan? - upewnił się jeszcze.

- Aha! - przytaknął z przejęciem Daniel. - Podskoczył do pana Cieplaka i rąbnął go w brzuch. A potem z całej siły pchnął na ziemię, tak jak robią w filmach. Pan Cieplak wyglądał jak ustrzelony i długo się nie ruszał.

Myślałem, że zginął. Ale potem się poruszył, coś powiedział i wstał.

Komisarz spojrział na sierżanta.

- Wychodzi na to, że Wyroba próbował wcisnąć nam kit. Jak to szło, pamięta pan?

- „Strach na wróble złapał Cieplaka za szubry i cisnął nim o murawę”, tak mniej więcej powiedział. I jeszcze dodał, że on się do bójki nie wtrącał, bo jako były bokser obu by rozłożył na łopatki.

- Zgadza się! - Komisarz pokiwał głową. - Próbował zwalić winę na Rubla. Wiem, że bokserzy mają poobijane mózgi i z logiką są na bakier, ale Wyroba musiał mieć jakiś swój cel.

- Nie wiem, jak z jego poobijanym mózgiem, uważam jednak, że głupi nie jest - zauważył Kurczyłło.
- On dobrze wiedział, co robi, atakując furtkę Bulwickiego.

Gdyby poniósł jakąś szkodę na ciele, winien byłby pies i Bulwicki, w żadnym wypadku Wyroba, choć nikt go w gościnę nie zapraszał. Załatwiłby sobie odszkodowanie jak nic. Rzykował niewiele. Dobrze się rozejrzał, wiedział, że Bulwicki jest za płotem i pośpieszy mu na ratunek.

- Możliwe, chociaż to nie tłumaczy, dlaczego próbował pogrążyć Rubla -

upierał się komisarz.

- Może go nie polubił! - zauważył ze śmiechem Kurczyłło.

Rębowicz nie popierał tej wesołości. Pochylił się nad Danielem.

- Czy w sobotę wieczorem ktoś przyglądał się bijatyce w ogrodzie? -
spytał.

- Tak.

- Kto?

- Ja-

- To wiemy. Ale tam, na podwórku pana Cieplaka.

- On - powiedział Daniel i tym razem wskazał na Rubla. - Ale z daleka.

Stał tak jak stąd do tamtego drzewa.

Odległość określona przez Daniela mogła wynosić kilka metrów.

Rębowicz nie zagrzał długo miejsca przy gościnnym stole Emilki.

Koniecznienie chciał porozmawiać z Mariolą Żurek, a zbliżał się właśnie koniec zmiany. Potem w planie miał Wyrobę. Skinął na sierżanta, który zaczął wstawać od stołu z wyraźną niechęcią.

- Piękna kobieta! - westchnął sierżant, kiedy już znaleźli się w samochodzie.

- Piękna i świetnie się trzyma. Nikt by nie pomyślał, że przekroczyła dziewięćdziesiątkę - przytaknął komisarz.

- Ja nie mówię o tej śpiącej staruszce - obruszył się młody człowiek. -

Mówię o...

Rębowicz nie dał mu skończyć.

- A jeśli się okaże, że to pani Emilka własnoręcznie udusiła Podskoka, to jak pan sobie poradzi z tym wielkim cierpieniem?

- Przecież ona nawet go nie знаła.

- Widzi pan, jeszcze nic jej nie udowodniłem, a pan już ją tłumaczy. I pewnie cierpi. My, policjanci, musimy bardzo starannie dobrać sobie obiekty westchnień.

- Pan komisarz żartuje, prawda? - upewnił się młody sierżant.

Rębowicz parsknął śmiechem i zapewnił, że dawno już nie był tak poważny. Dodał jeszcze, że Emilka ma męża, który przesłania jej cały świat, zatem szanse Dariusza Kosika są raczej nikłe.

Mariola Żurek, w przeciwieństwie do Emilki, nie zrobiła na sierżancie wielkiego wrażenia. Dostrzegł jej włosy, ale kolorem się nie zachwycił.

Bulwicki odstąpił im swój gabinet, żeby mogli spokojnie porozmawiać, a sam zniknął goniony licznymi obowiązkami. Wydawał się pogodzony z losem.

- Kiedy ostatni raz rozmawiała pani z Cieplakiem? - spytał komisarz bez zbędnych wstępów.

- W sobotę nie pracowaliśmy - zaczęła się zastanawiać głośno - więc chyba w piątek.

- Wie pani, że za składanie fałszywych zeznań grozi pani kara?

- Dlaczego fałszywych... nie fałszywych - plątała się dziewczyna.

Nagle podniosła ręce do skroni takim ruchem, jakby próbowała przytrzymać aureolę. Przez moment siedziała nieruchomo. Kiedy się odezwała, głos jej brzmiał obojętnie, bez śladu wcześniejszej paniki.

- Mam w mózgu dużego tętniaka i nie mogę się denerwować - wyjaśniła. -

W sobotę wieczorem.

Tętniak i sobota wybiły komisarza z rytmu. Teraz on patrzył lekko zaskoczony.

- Spotkałam się z Cieplakiem w sobotę wieczorem.

Przecież o to pan pytał.

- Czy to pani do niego telefonowała i prosiła o spotkanie?

- Co takiego się wydarzyło, że Cieplak przyjechał z Lipna, żeby się z panią zobaczyć?

- Powiem panu, nawet gdyby pan miał nie uwierzyć w ani jedno słowo.

Cieplak ma opinię twardego, bezwzględnego faceta, który nie przejmuje się ludźmi. To nieprawda. Taki jest inżynier Bulwicki, ale nie Cieplak.

On pomógł wielu osobom. Niektóre znam, o innych tylko słyszałam.

Zawsze wspierałam go w tych działaniach, a teraz sama doświadczam jego troski. Lekarze ogólnie mają pacjentów w dupie, więc kiedy zaczęłam mieć zawroty i dziwne bóle głowy, a lekarz plótł coś o migrenie, Maciek zaczął wozić mnie po specjalistach.

Trafiliśmy w końcu na mądrych i ci znaleźli mi w mózgu sporego tętniaka. Jestem już umówiona na zabieg w Poznaniu. Ale jak się coś zacznie sypać, to sypie się do końca. W sobotę odebrałam wyniki biopsji i okazało się, że guz czy tam polip, który sobie wyhodowałam na... mniejsza o szczegóły, wymaga operacji. Niestety, szpital nie robi takich zabiegów. Gdyby były komórki rakowe, toby zrobił, a tak trzeba poczekać na raka albo umówić się prywatnie i zapłacić. Maciek wiedział, że odbierałam wyniki, i obowiązkowo kazał mi dzwonić. Nie chciałam panikować ani płakać, ale wesoło mi nie było.

Wyczuł to i przyjechał, żeby mnie pocieszyć. I jeszcze mi tłumaczył:

„Przecież wiesz, że do Lipna jadę tylko dla matki. Ja tych ludzi prawie nie znam”.

- Mówiąc o matce, miał na myśli teściową, czyli panią Zofię Kurczyłło?

- Tak. On mówi do niej mamó i bardzo ją szanuje.

Kiedyś powiedział, że siedzi z Mirabelką tylko dla matki, bo co ona biedna by zrobiła z taką idiotką.

- Mówi pani: z idiotką. W sobotę nazwała pani Cieplaka idiotą. Ze zdenerwowania, czy zdarza się pani tak do niego mówić?

- Że niby ja powiedziałam do Maćka: idioto? Niemożliwe. On nie zasługuje na takie słowa, a nawet gdyby... to ja bym się nie odważyła.

- Powiedziała pani dosłownie tak: „Na pampersy, idioto, jestem już za stara” - przypomniał komisarz.

- Na pampersy? - Mariola patrzyła zaskoczona i nagle się roześmiała. -

Wie pan, że dzwonią, tylko nie wie, w którym kościele. Powtarzałam Maćkowi rozmowę z lekarzem. Ten lekarz, zamiast mówić o leczeniu, kazał mi nosić pampersy, więc się wkurzyłam i powiedziałam tak jakoś: „Nie uważasz, idioto, że na pampersy jestem trochę za stara!”. Nie było to grzeczne, ale on był wobec mnie wyjątkowo chamski i zasłużył sobie na tego idiotę.

Opowiadając Maćkowi o tej wizycie, trochę się uniosłam...

- To rzeczywiście zmienia postać rzeczy - zauważył Rębowicz. - Wie pani, gdzie teraz jest Maciej Cieplak?

- Wiem. Wiem też, że nic złego nie zrobił...

- W pani ocenie. W świetle prawa może to wyglądać zupełnie inaczej.

- Nic złego nie zrobił - powtórzyła twardo dziewczyna. - Nikogo nie skrzywdził, firmę przekazał zastępcy, ma prawo do urlopu i nawet jeśli będzie mnie pan straszył więzieniem, nie zdradzę miejsca jego pobytu. Od dwu lat jesteśmy parą i chronię najbliższą mi osobę.

- A pani Halina Lipka? Kim ona jest dla Cieplaka?

- Lubi ją i nazywa swoją przyjaciółką.

- Ona też go lubi czy może łączy z nim jakieś większe nadzieje?

- Skąd mogę to wiedzieć? Przecież ona mi się nie zwierza. Ja wiem tylko, że Maciek ją lubi.

- Jednak w mieszkaniu narobił jej bałaganu - zauważył komisarz.

- Bałaganu narobił inżynier Bulwicki. Obiecał Maćkowi, że w poniedziałek rano podjedzie na Cygankę i zapłaci temu facetowi, co przywiózł

panią Kurczyłową.

Nie poszedł, nie przyprowadził samochodu na firmowy parking, nie zrobił

nic z tego, o co Maciek go prosił.

Mógł przynajmniej nie obiecywać. Straszny sobek jest z tego Bulwickiego. Byle jemu było wygodnie, a już inni wcale go nie interesują.

- Dlaczego przy naszej pierwszej rozmowie próbowała pani skierować podejrzenia na Agatę Sitak? Bo próbowała pani, prawda?

Dziewczyna lekko się zmieszła.

- No, próbowałam - przyznała niechętnie. - Wpadłam w panikę, nie sądziłam, że pan do mnie dotrze. Sama tak sobie wymyśliłam, dopiero Maciek mi wytłumaczył, że to jest bez sensu. Nie pozwolił mi

się denerwować ze względu na tego tętniaka i kazał mówić prawdę. Ta prawda tylko jedną osobę mogłaby rozwścieczyć... znaczy panią Cieplakową, ale ona była nieprzytomna.

- Powoli odzyskuje przytomność - powiedział komisarz.

- Teraz to już nie ma znaczenia - powiedziała dziwnie rześkim głosem.

- Proszę przekazać Cieplakowi, żeby do mnie zadzwonił.

- Przekażę, ale za skutek nie ręczę. On robi to, co sam uważa za słuszne.

- Musi go pani przekonać. Sprawa jest poważna: żona ciężko ranna, pomocnik nie żyje i Cieplak, w swoim własnym interesie, nie może powiedzieć, że go to wszystko nie obchodzi. Wpadnę jutro, żeby się dowiedzieć, jaki jest wynik negocjacji.

Mariola pokręciła głową. Następnego dnia miało jej nie być w pracy.

Obiecała jednak, że powtórzy Cieplakowi prośbę komisarza.

Z Wyrobą chwilowo nie udało się porozmawiać. Matka powiedziała, że syn zmienia pracę i w tej sprawie pojechał do Włocławka. Z wielką niechęcią pokwitowała wezwanie na komendę i obiecała dopilnować, żeby Ernest dotarł

na wymienioną godzinę.

Zuzia wyraźnie doroślała. Skończyła trzy miesiące i przestała wydierać się nieprzytomnie. Pokwękała dla przyzwoitości, żeby rodzice sobie nie myśleli, że wychowanie dziecka jest takie proste, po czym zapadała w zdrowy sen, przerywany tylko na krótki nocny posiłek. Od dwu dni komisarz Rębowicz mógł

wieczorami poczytać, porozmawiać z żoną lub po prostu pomyśleć o toczącym się śledztwie. Krwawa zbrodnia u Rojków fatalnie podziałała na Justynę. Co mąż jej przekazał, to przekazał, resztę uzupełnili sąsiedzi. Między innymi dowiedziała się, że Rojek był przybity gwoździami do podłogi, całkiem jakby został ukrzyżowany, że krew z jego ran sączyła się jeszcze kilka godzin po śmierci i że w zębach trzymał list do żony. W tym liście przeproszał Rojkową za liczne awantury i darował jej wszelkie winy. Justyna powtarzała mężowi te rewelacje, żeby go trochę rozerwać.

- List w zębach? - dziwił się komisarz. - Po mojemu Rojek nie miał już zębów. Nawet zastanawiałem się, jak chłop przed pięćdziesiątką może tak śmiesznie mamlać szczęką.

- Jesteś zbyt dosłowny. Powiedzmy, że w ustach trzymał to serdeczne odpuszczenie win.

- W ustach to on miał knebel.

- O matko! - Justyna wzdrygnęła się na samo wspomnienie Rojkowego cierpienia.

Wszystko, łącznie z przeświadczeniem sąsiadów, wskazywało na to, że żona denata maczała palce w

wielkiej zbrodni. Jeśli nie bezpośrednio, to zleciła robotę komuś, kto ją wykonał ze sporym zaangażowaniem. Przez dwa dni kobieta podjeżdżała pod dom taksówką, stała chwilę, patrząc w swoje okna, po czym odjeżdżała.

Ostatniego dnia rano też podjechała, potem zniknęła na jakiś czas, by pojawić się jednocześnie z policją.

Nadeszła skądś, nikt nie zauważył skąd, i stanęła pod blokiem zapatrzona w okno na trzecim piętrze. Ktoś z sąsiadów wskazał ją palcem. Bez słowa sprzeciwu pozwoliła, by policjanci poprowadzili ją do samochodu.

Szła ze spuszczoną głową, przygaszona i jakby o połowę mniejsza.

- Coś jej się w łepetynie poprzestawiało od ciągłego tłuczenia -

stwierdziła Justyna.

- Zawsze miała poprzestawiane. On też, więc dobrali się w korcu maku i żyli, jak umieli.

- Możliwe, ale za naszą zgodą.

- Co ty powiesz? Za moją zgodą? - ironizował komisarz.

- Jasne. Za twoją, moją i reszty sąsiadów. To nie jest tak, że jak się ludzie tłuką za drzwiami mieszkania, to nikomu nic do tego. Ten podkomisarz, który ze mną rozmawiał, Uchalski, zdaje się, to samo mówił. Jakbyśmy zaczęli nasyłać na nich policję, to kto wie...

- Przestań! - poprosił.

Nie po raz pierwszy rozmawiali o granicach sąsiedzkiej tolerancji. Temat ten wyskakiwał przy każdej awanturze za ścianą, wyskoczył i teraz, kiedy awantury Rojków ucichły raz na zawsze. Justyna była idealistką, wierzyła w dobrą wolę ludzi, a Rębowicz był policjantem służby dochodzeniowo-śledczej i na co dzień miał do czynienia ze sprawami, w których zła wola brała górę nad dobrą.

- Nigdy nie zdarzyło ci się pytać świadków, dlaczego nie interweniowali w porę? Nigdy? - dociekała.

Nie odpowiedział. Przeglądał notatki rozłożone na ławie i szukał zeznań Jacka Bulwickiego. Nic nie wskazywało na to, że Bulwicki uszkodził Mirabelkę lub miał jakikolwiek związek z wypadkiem, a jednak w oczywisty sposób nie mówił prawdy, a nawet motał. Można mu było zarzucić zaniechanie działania, ale powody wciąż pozostawały niezbyt czytelne. Komisarz był z nim umówiony następnego dnia rano w komendzie i próbował przygotować się do rozmowy.

Zapisał sobie:

„Spytać o wieczorny spacer, o samochód i faceta na Cygance”.

Bulwicki stawiał się w komendzie o umówionej porze.

Był ogolony, pachnący i sprawiał wrażenie człowieka, który w tym miejscu znalazł się przypadkiem, przez czyjeś przeoczenie, może przez czyjąś nadmierną ostrożność. Szedł za komisarzem na górę jak gość, nie jak świadek.

Zeznawał też bardzo chętnie. Znał Cieplaka i nie lubił, skoro jednak połączyli swoje firmy, to musiał się z nim liczyć. Nie odpowiadały mu metody pracy ani manieri współnika, lecz twarda ekonomia nie zna takich pojęć, jak: miły -

niemiły. Mówił składnie i potoczyście, jakby wcześniej przećwiczył tekst przed lustrem. Takie gadanie Rębowicz nazywał nawijaniem na okrągło.

Pozwalał ludziom nawijać, pozwalał się rozkręcać, a potem przyduszał ich pytaniami.

- Co prawda nie wspominał pan wcześniej, na szczęście inni o tym nie zapomnieli, że w sobotę po grillu był pan na spacerze. Konkretnie: gdzie, z kim, jak długo?

Bulwicki patrzył z wyższością człowieka niewinnego, który zmuszony jest wygrzebywać z pamięci jakieś nieistotne szczegóły. Zastanowił się przez moment.

- Pan Feliks chciał pobiegać, nie znał osiedla, więc zgodziłem się mu towarzyszyć. Wyszliśmy w czwórkę: dwaj młodzi Kurczyłowie, Waldek Korycki i ja - wyjaśnił.

- I pan towarzyszył Feliksowi?

- Tylko kawałek, bo ja się do biegania nie nadaję. Wyręczył mnie Waldek, który dobrze zna Michelin, a ja poszedłem na spacer z panem Leszkiem.

- Zgubił pan Leszka Kurczyłłę kawałek za Piołunową, przy pierwszej przecznicy. Podobno musiał pan wracać do domu i odpowiedzieć na telefon.

Kiedy zegnał się pan z Kurczyłłą, dochodziła dwudziesta trzecia. Pana żona twierdzi, że wrócił pan dobre pół godziny później. Co pan robił do czasu powrotu do domu?

- Mam pamiętać minuta po minucie, co robiłem na spacerze tydzień wcześniej? - zdziwił się Bulwicki. - A może dosyć miałem towarzystwa i chciałem sobie pewne rzeczy przemyśleć?

- Jakie na przykład?

- Nie pamiętam.

- To może pan pamięta, co się działo przy furtce Cieplaka?

- Dlaczego akurat tam?

- Wracając do domu, musiał pan przechodzić obok jego furtki. A to właśnie była pora, kiedy powinna dojechać do domu Cieplakowa. Przecież wiedział pan o tym?

- Jak wiedziałem? Co wiedziałem? - zdenerwował się po raz pierwszy Bulwicki. - Nic nie wiedziałem.

- Cieplak dzwonił do pana. Mało prawdopodobne, że chciał jedynie życzyć panu miłych snów. - Teraz dla odmiany Rębowicz patrzył chłodno, może nawet z wyższością, jak przystało na blefującego pokerzystę. Coś tam wiedział

od Leszka Kurczyły, jednak nie za wiele, tyle, ile tamten zdążył podsłuchać i skojarzyć. Liczył, że Bulwicki kupi blef, i nie pomylił się.

- No dobrze. W czasie spaceru odebrałem telefon od Cieplaka, ale nie uważałem, żeby to mogło kogokolwiek interesować. Cieplak chciał jedynie, żebym znalazł mu w internecie adres pewnej kliniki ginekologicznej w Poznaniu.

- I znalazł pan?

- Na ulicy? Nie miałem przy sobie nawet długopisu ani kartki.

Poprosiłem, żeby zadzwonił rano. Pan go nie zna, ale to jest cały Cieplak. Jemu się zapali i wszyscy mają realizować jego wizję. Następnego dnia o klinikę nawet nie spytał. Już mu przeszło całe zainteresowanie i adres był niepotrzebny.

- Czyli dzwonił do pana także następnego dnia. To już była niedziela. On dzwonił czy pan na tę zgubioną komórkę?

- Sam Cieplak wymyślił historyjkę o zgubionej komórce - mruknął

niechętnie Bulwicki. - Podobno chciał odpocząć od telefonów. On czasem ma takie głupie zadęcia, bardzo lubi być ważny i rozchwytywany.

Zadzwoniłem, żeby powiedzieć, co się stało z jego żoną.

Telefon nie odpowiadał, więc wysłałem SMS. Jakiś czas potem oddzwonił.

- O czym rozmawialiście?

- Zmartwił się wypadkiem, oczywiście, ale bardziej go interesowały zlecenia, które dla mnie wymyślił. Nie jestem sekretarzem pana Cieplaka -

uniósł się Bulwicki. - Nie mogę za niego regulować jakichś rachunków ani szukać po śródmieściu mieszkania z samochodem. On nawet nie pamiętał

dokładnego adresu, gdzie ten samochód zostawił. Adres był przy kluczach, z tym że kluczy już nie było w domu, więc chciał, żebym trafił na czuja.

To jest jego określenie. Aha, i jeszcze miałem odwiedzać Cieplakową w szpitalu, najlepiej z kwiatami. Spytałem, czy mam też udawać jej męża. Obraził

się, bo nawet do niego od czasu do czasu coś dociera. Bardzo nie lubię, gdy ktoś próbuje się mną wyręczać, nie mówi, o co chodzi, tylko rzuca informacje jak ochłapy. On już mnie wystarczająco wpuścił w maliny z tym sobotnim popołudniem. Zadzwoił z trasy, że wraca i że nikt nie może o tym wiedzieć.

Podobno była to sprawa życia i śmierci.

Pomyślałem o randce, o jakimś łabędzim śpiewie starzejącego się faceta, i próbowałem odwrócić uwagę znajomych od jego posesji. A tam, jak na złość, cały czas coś się działo. Wszyscy patrzyli na mnie podejrzliwie, nawet własna żona. Zaczęli mówić, że stępiełem i ogłuchłem, bo nie kojarzę rzeczywistych odgłosów.

- Wspominał pan o mieszkaniu z samochodem w śródmieściu. Nie chodzi mi o przejeżdżenie, tylko o ulicę. Pamięta pan ulicę?

- Cyganka. Cieplak ulicę pamiętał, numeru domu nie. Miałem tam wejść niepostrzeżenie, odnaleźć jakiegoś człowieka, który nikomu drzwi nie otwierał, dać mu trzy tysiące złotych, odebrać od niego klucze, a na końcu wyprowadzić z podwórka auto Cieplaka. Zadanie dla Bonda, nie dla Bulwickiego, tak to właśnie określiłem.

Patologia, czysta patologia.

- A jednak obiecał pan dostarczyć pieniądze.

- Absolutnie nie! - zaprotestowałem energicznie. - Od razu powiedziałem, że ma znaleźć sobie kogoś innego do takich poleceń. I w ogóle to nie jest w porządku, że on teraz szlaja się gdzieś po Polsce, a ja, mimo urlopu, muszę za niego pracować.

- Gdzie Cieplak może teraz być?

- Dobre pytanie. Ciekawe, czy on sam to wie. Oczywiście żartuję. Z

grubsza można się domyślić. Jego dziewczyna od dzisiaj wzięła urlop i podobno jedzie do Poznania do kliniki. Przypuszczam, że on tam na nią czeka.

- Porządny gość, jeżeli tak troszczy się o dziewczynę - zauważył

Rębowicz.

- Ostatni sprawiedliwy - mruknął z przekąsem Bulwicki i zaraz dodał, że sam Cieplak lubi tak o sobie mówić.

Komisarz pracowicie wystukiwał zeznania na komputerze. Właściwie kończył już przesłuchanie, kiedy nagle odwrócił się z całym fotelem i spojrział

wyczekująco.

- Coś jeszcze? - spytał zaskoczony Bulwicki.

- Zapomniał mi pan powiedzieć, co było przy furtce Cieplaków. Podjechał samochód i co dalej?

Bulwicki ciężko westchnął.

- Nie widziałem, jak podjeżdżał - powiedział z rezygnacją w głosie. -

Brama była zamknięta, być może tylko prowizorycznie, nie sprawdzałem. W

podwórku stał biały dostawczy samochód. Jeśli się nie mylę, mógł to być fiat ducato. Z Mirabelką przyjechało trzech facetów: jeden otwierał drzwi wejściowe, a dwaj inni wprowadzili ją do domu. Słaniała się na nogach, ale nie krzyczała, nie hałasowała, całkiem jak nie ona.

- Poznałby pan tych ludzi?

- W żadnym wypadku. Raz, że było ciemno, dwa, że oni stali do mnie plecami. Mirabelka też, ale ją trudno pomylić z kimś innym. Na pewno w tej grupie nie było Cieplaka.

- Nie pomyślał pan, że jeśli kobieta się słania, to może zachorowała?

- Nie jestem lekarzem, nic bym jej nie pomógł. Wyszedłem z założenia, że Cieplak dobrze wiedział, komu powierza swój skarb - wyjaśnił, krzywiąc się ironicznie przy słowie „skarb”. I dodał: - Nie miałem żadnych podstaw, żeby niepokoić tych ludzi po nocy. Mieli klucze od bramy i domu, przywieźli Cieplakową, a mnie nic do tego, w jakim ona była stanie. Cieplak, gdyby się dowiedział, pierwszy by na mnie naskoczył. Miał fioła na punkcie wtykania nosa w nie swoje sprawy.

- Czy na pewno z Cieplakową przyjechało trzech mężczyzn? - spytał

Rębowicz.

- Czy przyjechali z nią? - zastanowił się Bulwicki. - Właściwie nie wiem.

Stanąłem przy furtce w momencie, gdy cała grupa wchodziła do domu.

Skojarzyłem sobie, że musieli przyjechać fiatem ducato, bo skąd by się wzięli przed domem?

- Do mieszkania na pewno wchodziło trzech mężczyzn? - upewnił się Rębowicz.

Bulwicki przytaknął. Drzwi otwierał najniższy, ci, którzy prowadzili Mirabelkę, musieli być młodzi i silni, bo prawie ją nieśli. Tyle tylko zapamiętał

z całej sceny. Nie chciał zwracać na siebie uwagi i nie sterczał dłużej przy furtce.

Rębowicz sprowadził Bulwickiego na parter i z ulgą pożegnał. Nie uprzedzał się do ludzi, rzadko jednak trafiał na rozmówcę, który by go tak drażnił samym swoim zapachem. Leszek Kurczyło mówił o Bulwickim:

„Wyperfumowany kij”, co też było odbiciem uczuć raczej negatywnych.

Ale ten wyperfumowany kij podsunął komisarzowi całkiem niezły pomysł.

Należało natychmiast zainteresować się fiatem ducato należącym prawdopodobnie do Wandy Podskok. Koledzy z lipnowskiej policji jak zwykle nie odmówili pomocy. Gdyby wyszło na jaw coś ciekawego, sierżant Kosik miał

do nich niezwłocznie dojechać. Na razie kończył zbierać informacje o Ernestie Wyrobie i wkrótce położył na biurku szefa kilka luźnych kartek.

W swoim krótkim trzydziestoletnim życiu Ernest najwięcej czasu poświęcił na zwykłe zbijanie bąków.

Z trudem skończył zawodówkę, a to głównie z powodu naganego sprawowania. Nie był jakimś wyjątkowym tępakiem, natomiast charakter miał

trudny. Nieco lepiej wiodło mu się w boksie, choć na treningach też nie zagrzał

miejsca. Braki techniczne próbował nadrabiać krewkim temperamentem, co nie bardzo podobało się trenerowi. Pracę znalazł na bramce w klubie nocnym.

Jak dotąd karany był jedynie za wykroczenia drogowe.

Nogę miał ciężką, jeździł szybko i nie zawsze po trzeźwemu. Pół roku wcześniej stracił prawo jazdy.

- Zupełnie mi się ten Ernest nie podoba - stwierdził sierżant. - Zaatakował

Cieplaka, winę zwałił na Rubla.

Mówił, że poszedł do domu, a nie poszedł. Zastanawiam się, czego on w tych krzakach szukał, i to tak długo. Cieplak wyjechał po dwudziestej pierwszej, a dwie godziny później Ernest jeszcze siedział w ogrodzie. Musiał siedzieć, jeśli razem z Rublem taszczył Cieplakową do domu. Chyba że to nie był on.

- A kto? - zdziwił się komisarz. - Rubel prawdopodobnie chciał

przenocować w ogrodzie, trafił się kumpel, to sobie pogadali. Kto wie, może nawet wypili brudzia, bo na butelce z wódką są odciski palców jednego i drugiego, nie licząc oczywiście Cieplaka.

- Myśli pan o zatrzymaniu Rubla i Wyrobby?

- Zastanawiam się, jaki zarzut do nich dopasować. Czy ważniejsze dla sprawy jest to, że spędzali noc

w ogrodzie bez zgody właściciela, czy to, że wykończyli Cieplakowi wódkę. Co mamy przeciwko tym facetom? Ślady paluchów na butelce żurawinówki?

- Zeznania Bulwickiego bardzo ich obciążają. Nie ma wątpliwości, że to oni pomagali Podskokowi wprowadzić Mirabelkę do domu.

- Za niesienie pomocy mam ich pakować do aresztu?

- Zeznania Wyroby aż się jeżą od kłamstw - przypomniał sierżant.

- Rubla też. Chłopaki próbują bronić swojej skóry, i tyle. Jeśli ich zamkniemy, to za tę resztkę wódki żurawinowej, którą wyżłopali, za nic więcej.

- Że też pan znajduje jeszcze siły, żeby sobie żartować - westchnął

sierżant.

Komisarz Rębowicz wcale nie miał ochoty na żarty, popadł jedynie w wisielczy nastrój. Od czasu do czasu, kiedy śledztwo wyjątkowo się ślimaczyło, miewał takie napady zniechęcenia. Niby trzymał w garści większość nitek, ale one nie za bardzo do siebie pasowały. Tym razem szczerze zazdrościł

podkomisarzowi Uchalskiemu.

Sprawa Rojka okazała się dziecinnie prosta. W środę wczesnym popołudniem Uchalski wszedł do mieszkania i odkrył zbrodnię, w piątek rano miał sprawę zamkniętą. Prawie zamkniętą, bo Rojkową badali jeszcze psychiatrzy. Kobieta była załamana i przyznała się do wszystkiego.

Opowiedziała z detalami, że najpierw podała mężowi garść proszków nasennych, potem napiła go wódką, związała i podziurawiła nożykiem do szpikowania mięsa. Podobno w ścianie słyszała głosy, które podpowiadały jej, co ma robić krok po kroku.

Podkomisarz natychmiast skojarzył głosy w ścianie z komisarzem Rębowiczem, który mieszkał tuż za ścianą, i cały wydział miał z czego żartować. Najmniej bawił się sam Rębowicz, bo źle się czuł w roli gościa z zaświatów, który na dodatek udziela mordercom fachowego instruktażu.

Ernest Wyroba zameldował się bardzo punktualnie.

Nie szpanował już tak jak poprzednio. Widać było, że budynek zrobił na nim złe wrażenie. Nawet na krześle nie usiadł wygodnie, tylko przysiadł na samym brzegu.

- Nakłamał pan nam strasznie, panie Wyroba - powiedział na powitanie komisarz. Czekał na gwałtowne protesty, na zaklęcia poparte mocnymi słowami, chłopak jednak milczał. - Dzisiaj też będzie mi pan wmawiał, że to Rubel rzucił

się na Cieplaka z pięściami?

- Przepraszam - powiedział cicho Wyroba.

Komisarz Rębowicz aż głową pokręcił ze zdumienia.

Różne słowa padały w tym pokoju, różne zaklęcia i przekleństwa, natomiast słowa przepraszam chyba jeszcze nie słyszał z ust przesłuchiwanego.

- Mnie pan przeprasza? - upewnił się.

- No tak. Czasem mnie poniesie fantazja, nie mogę się oprzeć i gadam głupstwa. To ja uderzyłem Cieplaka... Ale tylko raz.

- Za co go pan uderzył?

- Za krzywdę mojej narzeczonej, za nic więcej. Żeby on chciał pogadać jak człowiek, w firmie, to nie nachodziłbym go w domu, ale on... ale ten typ...

Próbował wykluczyć z języka słowa obelżywe, widocznie uznał, że w tym miejscu nie pasują, i nie umiał sklecić prostego zdania.

- Zanim jednak uderzył pan Cieplaka, pogadaliście sobie przy wódce, tak przynajmniej powiedział pan ostatnio.

- Nie.

- Co nie? Nie powiedział pan tak?

- Nie piłem z nim. Na stoliku stała pełniutka butelka i dwa kieliszki, ale nie piliśmy. Za pierwszym razem trochę podkolorowałem.

- Aha, podkolorował pan! - mruknął Rębowicz. - To teraz proszę kolory odłożyć na bok, żebyśmy się nie zirytowali i nie zostawił pana tu na dłużej. W

ogrodzie Cieplaka był jeszcze jeden mężczyzna. Pan go nazwał strachem na wróble. Przyszedł przed panem czy po?

- To był ten od psa. On przyszedł po mnie.

- Kiedy pan bił Cieplaka, co on robił?

- Nie biłem Cieplaka. No kurr... Niech skonam, ja go rąbłem tylko raz.

- Co w tym czasie robił ten drugi mężczyzna? - powtórzył pytanie komisarz.

- Nie pamiętam. Chyba stał...

- Zarzekał się pan, że nie rozmawiał z tym człowiekiem. On natomiast twierdzi, że przegadaliście sporo czasu, opróżniając flaszkę, która została na stole. Niech pan sobie dobrze przypomni, jak to było.

Wyroba kupił blef. Wciąż siedział na samym brzegu krzesła, wił się i skręcał przy każdym pytaniu. Przy tym ostatnim przypominał paragraf.

- On przyfilował tę butelczynę i ja przyfilowałem.

I tak się spotkaliśmy. W zasadzie flaszka była niczyja, to ją opróżniliśmy razem. Trochę się przy tym pogadało.

- Konkretnie o czym?

- Faceci przy wódce najczęściej opowiadają życiorysy.

Głównie on wspominał czasy wojska. Ja tam w wojsku nie byłem, nie mam czego wspominać.

- Kiedy pod dom podjechał biały fiat, butelka już była pusta?

Na to ostatnie pytanie Wyroba nie miał siły odpowiedzieć. Kiwnął tylko głową i patrzył na komisarza przerażonymi oczami.

- Co było dalej?

- Ja w ogóle nie chciałem się pokazywać. To Tomek, znaczy Rubel, spytał, czy nie trzeba pomóc. Z tyłu w samochodzie leżała pijana kobieta.

Ciężka była jak sto diabłów, ledwie ją z Rublem wnieśliśmy na piętro.

Pomyślałem, że nic złego nie robimy. No bo to nie było nic złego.

Kierowca miał klucze, otwierał drzwi... No co złego jest we wniesieniu pijanej baby do sypialni. Lepiej, żeby leżała w sypialni niż przed domem, bo ten kierowca byłby ją zostawił przed domem. Sam nie dałby rady nawet wrzucić jej do korytarza. W tym jeszcze nie było nic złego...

- A w czym tkwiło zło? - spytał czujnie komisarz.

- Kierowca powiedział - zaczął niepewnie - że trzeba porozrzucić trochę łachów po domu, żeby lepiej wyglądało. Na schodach ściągnął babie gacie... To już mi się w ogóle nie podobało. Tomek mnie wyśmiał: „Co ci zależy, przecież to trup”. W życiu nie byłem taki przerażony. Ledwie położyliśmy babę na podłodze w pokoju, musiałem łapy wsadzić do kieszeni, tak mi się trzęsły.

Zaczęło mnie mdlić. Bałem się, że zarzygam pokój, i uciekłem przed dom. Spotkaliśmy się przy aucie. Kierowca zabrał Rubla do miasta, a ja poszłem prosto do siebie. Chciałem jak najprędzej zapomnieć, że znałem kiedyś Rubla i tego kierowcę.

- Co robił Rubel? Szperał po szufladach? Zaglądał może do torebki tej kobiety?

- Przy mnie nigdzie nie zaglądał. Ale ja zaraz wyszłem, ledwie położyliśmy ciało na podłodze. Naprawdę. Teraz to już przysięgam, że mówię prawdę.

Ernest Wyroba drżącą ręką podpisał swoje zeznania i niemal biegiem rzucił się do drzwi. Do końca nie wierzył komisarzowi, czy chce go odprowadzić do wyjścia, czy raczej do aresztu.

Sierżant Kosik wydawał się bardzo zadowolony.

- Mamy ich, panie komisarzu! Jednym małym blefem otworzył pan Wyrobę, a teraz bez blefu otworzy pan Rubla. Będzie musiał się przyznać jak na spowiedzi.

Kończyli rozmowę już w samochodzie, w drodze do szpitala. Sierżant wciąż był optymistą.

- Zauważył pan - powiedział wolno komisarz - że Rubel to jedyny facet z naszej trójki, który nie zostawia śladów.

- W mieszkaniu Lipki mogło go nie być.

- Ale w sypialni Cieplakowej był na pewno. Są ślady Podskoka, są Wyroby, głównie na futrynie, ale Rubla nigdzie nie ma. Wyroba rzeczywiście mógł tego nie widzieć, tu jestem skłonny mu uwierzyć, ale głowę daję, że Rubel szperał w poszukiwaniu kwitów. Skąd niby wiedział, gdzie Mirabelka je trzyma? Gdyby nie butelka z wódką, moglibyśmy pomyśleć, że go wcale tam nie było. O czym to świadczy?

- Że jest bardziej cwany, niż myślimy?

Komisarz pokręcił głową ze zniechęceniem. Nie mógł powiedzieć, że uważa Rubla za cwane go faceta. Cwany, zamiast wymyślać niestworzone bajdy, pozbyłby się obciążających go kwitów, a przynajmniej ich nie pokazywał. Rubel nie był jednak kompletnym durniem i działał z jakąś sobie tylko znaną logiką szaleńca. Nie ma gorszej rzeczy niż logika szaleńca przeciw logice w ogóle.

Cieplakowa wciąż była podłączona do różnych rurek i urządzeń. Nie wyglądała dobrze, twarz miała przeraźliwie bladą, oczy podsiniaczone. Zgubiła gdzieś górną protezkę, co fatalnie wpływało na urodę, ale też przeszkadzało w mówieniu. Inna rzecz, że niewiele miała do powiedzenia. Lekarze przestrzegali, że jej organizm źle zniósł stan śpiączki i że powstały jakieś powikłania.

Upojenie alkoholowe połączone z poważnym rozbiciem głowy sprawiło, że mogła nie pamiętać wydarzeń z sobotniej nocy. Ocknęła się po niepełnych trzech dobach na szpitalnym łóżku i nie wiedziała, co zaszło między ostatnim łykiem wódki a ściekającą wolno kroplą przezroczystego płynu, na który patrzyła. Bolała ją głowa, czuła w sobie ogólną niemoc i niechęć do najmniejszego ruchu.

Na widok dwu obcych mężczyzn zmarszczyła czoło, jakby usiłowała sobie przypomnieć, skąd ich zna i czy w ogóle zna.

- Przyjdźcie później, jak się ogarnę. Teraz muszę fatalnie wyglądać, co?

- Znać, że pani jest urodzoną elegantką - uśmiechnął się Rębowicz, choć wcale wesoło mu nie było. - Wygląda pani jak kobieta po poważnych przejściach, na dodatek z rozbitą głową.

- Kurwa, że też coś takiego musiało mi się przytrafić! - westchnęła Mirabelka. - Nic nie pamiętam.

- Mówi pani coś nazwisko Tomasz Rubel? - spytał komisarz, przechodząc zgrabnie do pytań związanych ze śledztwem.

Po sekundzie zastanowienia wykrzywiła niechętnie usta.

- Niezły gościu. Udawał, że leczy mojego psa, a ja udawałam, że w to wierzę - odparła.

- Jednak nie na tyle mu pani wierzyła, żeby płacić?

- Za co niby płacić? Facet, który brzydzi się psów, nie może znać się na psach! On na pewno się nie znał, a jeśli chodzi o inne usługi, to ja jestem panią z towarzystwa i nie odważyłabym się mężczyźnie zaproponować pieniędzy. A jemu tylko na forsie zależało.

- Pan Rubel miał aż tak złe maniere? - zdziwił się sierżant.

Mirabelka posłała mu szczerbaty uśmiech.

- Facet jak facet. Kiedy stał się zbyt nachalny, musiałam go odprawić.

- Był zmartwiony? Groził pani?

- Groził! - prychnęła, opluwając sobie brodę. - Groził, że już więcej nie zabierze mnie windą do nieba.

Gadał, żeby gadać, pieprzony złomek.

Sierżant chwilowo nie miał więcej pytań. Usunął się w cień i z przerażeniem patrzył na kobietę, która podobno działała na mężczyzn. Nawet gdyby ją trochę odremontować, gdyby popracować nad cerą i włosami, nie na wiele by się to zdało. Była odstrasząca. Żeby o tym nie myśleć, zaczął

przysłuchiwać się rozmowie.

- Rubel wystawił pani trzy rachunki po tysiąc złotych każdy. Co się z nimi stało? - zagadnął komisarz.

- A co się miało stać? W ramki ich nie oprawiałam, leżą gdzieś w domu, czekają, aż Cieplak je znajdzie i szlag go trafi. Bardzo jest uczulony na wszystkie moje wydatki.

- A może pani odesłała te rachunki Rublowi?

- Po cholere niby? Miałam jeszcze znaczek kupować na takie barachło?

Niestety, pierwsza rozmowa z Mirabelką Cieplakową nie posunęła śledztwa do przodu. Lekarz prosił, żeby chorej nie męczyć, więc jej nie męczyli.

Nie powiedziała nic nowego, jedynie potwierdziła przypuszczenie, że Rubel łgał, mówiąc o odesłanych kwitach. Szpital fatalnie działał na komisarza. Z

wyjątkiem porodówki nie znalazł tam żadnego sympatycznego miejsca. Wybiegł

na zewnątrz, żeby z ulgą zaczerpnąć świeżego powietrza.

- Rubel usiłuje nas przerobić - zauważył, ledwie wyjechali z parkingu i włączyli się do ruchu.

- Kręci od samego początku - przytaknął sierżant.

- Nie mówię o kręceniu, mówię o przerobieniu.

Dla babki Barbary nastał wielki dzień, ziściło się marzenie jej życia.

Miała oto gościć pod swoim dachem całą rodzinę Kurczyłłów, której czuła się strażniczką. Przybyli wszyscy żyjący, z wyjątkiem Julii i Adama Jelenieckich, czyli rodziców Emilki. Jelenieccy byli usprawiedliwieni, bo spędzali urlop na Madagaskarze, trochę za daleko, żeby wpaść do babki z wizytą. W jakimś duchowym sensie usprawiedliwiony był też Paweł Kurczyłło, syn Henryka i rodzony brat Julii, który trzydzieści osiem lat temu zaginął razem z żoną w czasie wysokogórskiej wspinaczki. Osierocił wówczas kilkumiesięcznego syna Leszka. Dziecko wychowali Jelenieccy i traktowali jak własne.

Strażniczka rodu stanowczo odrzuciła błękitny kocyk, kazała sobie podać jedwabną brązową bluzkę i kamizelkę z owczej wełny, bo mimo wszystko bała się przeciągów.

Nie dała się też posadzić na wózku, tylko podreptała o laseczce na swoje miejsce w szczycie stołu. Przez kilka ostatnich dni babka przywykła do najmłodszego pokolenia, teraz natomiast ze łzami wzruszenia patrzyła na wielką kwadratową sylwetkę bratanka, Marka Kurczyłły.

Był tak podobny do swojego ojca, a jej ukochanego brata Władysława, że przez dobrą chwilę nie mogła wydobyć głosu. To samo wysokie, wypukłe czoło i policzki z delikatnym rumieńcem, ta sama duma wyrażająca się w każdym ruchu i w całej postawie. Przy powitaniu uniosła obie ręce, żeby us'cisnąć

„swojego malutkiego chłopca”, jak powiedziała. Niestety, chłopiec był już duży i chyba nie miał ochoty na uściski. Wybrał amerykański zwyczaj powitania. Z

szerokim uśmiechem spytał: „Jak się masz, ciociu?”, pochwalił ją, że trzyma się świetnie, i z daleka przedstawił jej młodą, uroczą lalkę Barbie, którą tytułował

„swoją panią”. Profesorska pani wyglądała na modelkę żywcem wyciętą z zurnala. Wysmukła, długonoga, na niebotycznych obcasach, z idealną fryzurą i pełnym makijażem zupełnie nie pasowała do ogrodu w stylu wiejskim. Mogłaby usświetnić oficjalny bankiet w stolicy, gdyby włożyła odrobinę dłuższą spódniczkę.

- Nigdy nie mówiłeś, że masz córkę! - wykrzyknęła zaskoczona babka.

Profesor Kurczyłło zjeżył się nieco i sprostował:

- Kinga jest moją żoną.

Babka znowu rozwarła ramiona.

- Wyglądasz, dziecko, fenomenalnie! Możesz uchodzić za siostrę, nie za mamę Feliksa.

Ramiona babki znowu pozostały puste, a profesor Kurczyłło zjeżył się jeszcze bardziej i zaczął pufać całkiem jak jego ojciec, kiedy się złościł. Nie przyszło mu do głowy, że ktoś w rodzinie mógł nie wiedzieć o jego trzecim małżeństwie. Mało tego, prawdopodobnie babka o drugim też nie wiedziała.

Zaczął się rozglądać za kozłem ofiarnym, bo musiał na kimś wyładować swoje niezadowolenie. W domu do takich celów służyła żona, ale niestety, nie nadawała się do wymówek publicznych, ponieważ od razu zaczynała płakać i wyraźnie brzydła.

Miał wielką ochotę dopieć Emilce, z którą już zdążył się ściać, jednak Emilka była nieuchwytna. Szykowała obiad, nie miała czasu na pogaduszki.

Złapał wreszcie Leszka.

- Co to za rodzina - pinił się - jeśli najbliżsi nie wiedzą, co u kogo w trawie piszczy!

- A co u ciebie piszczy, drogi stryju? Bieda? - zainteresował się Leszek. I sam sobie odpowiedział, że chyba nie, skoro stryj jeździ nowiutkim mercem.

Emilka zaprosiła wszystkich do stołu i profesor czuł się zwolniony z udzielania odpowiedzi zarozumiałemu bratankowi. Bratanek natomiast z wielką ochotą ciągnął rozmowę.

- Odciąłeś się od rodziny, stryju. Nie odpowiadasz na listy, nie odpowiadasz na telefony, nawet te nagrane na sekretarce, więc nie dziw się, że babka nie nadaża za twoimi partnerkami.

- Głupstwa pleciesz! - burknął profesor i zajął się jedzeniem. Mimo zdenerwowania apetyt go nie opuścił.

Do obiadu, oprócz rodziny, zasiadła Halina Lipka, opiekunka babki, specjalnie na ten dzień ściągnięta z urlopu. Na popołudniową kawę dostały zaproszenie jeszcze cztery osoby: Bulwicy, mecenas Lameta oraz komisarz Jarosław Rębowicz. Tego ostatniego babka osobiście zamówiła na wypadek, gdyby trzeba było aresztować kogoś z uzurpatorów. W domyśle oczywiście byli sąsiedzi zza leszczynowego żywopłotu. Zofia Kurczyłłowa też dostała zaproszenie, które o dziwo przyjęła.

Obiecała, że przyjdzie ze swoim adwokatem. Szykowała się bardzo poważna debata na tematy majątkowe. W rozumieniu babki Barbary zaraz po rozmowach obecni mieszkańcy willi mieli niepostrzeżenie zniknąć, żeby profesor Marek mógł zawładnąć ojcowizną. Staruszkę trochę niepokoiło to, że Marek nie zamierzał ruszać się ze stolicy i wracać do Michelina. Chwilowo jednak nie myślała o sprawach smutnych, przeświadczona, że zdoła bratanek przekonać, gdzie jest jego prawdziwe miejsce na ziemi. Popukała nożem w brzeg talerza na znak, że ma coś do powiedzenia. Nie chciała poruszać żadnych nowych tematów, pragnęła tylko przypomnieć to, co wielokrotnie powtarzała.

- Ta elegancka willa od roku tysiąc dziewięćset dwudziestego drugiego jest w posiadaniu naszej rodziny.

Kupili ją moi rodzice po przeprowadzce w te strony. Ja i moi bracia byliśmy wtedy dziećmi. Zgodnie z ojcowskim testamentem dom przypadł

Władysławowi, najstarszemu z braci...

- Ciotko, wszyscy o tym wiemy! - powiedział nieco głośniejszym głosem, niż wypadało, profesor Kurczyłło. - Dom kiedyś był kolebką rodziny, od dawna już nie jest i nie ma co rozdrapywać ran.

- A jeżeli nowy właściciel będzie, podobnie jak jego poprzednik, nuworyszem i chamem? - spytała ze zgrozą babka.

Profesor spojrział na nią z lekkim politowaniem.

- Nikt ci nie każe zapraszać go na podwieczorki - wyjaśnił. - Ty będziesz żyła swoim rytmem, on swoim.

- To jest mój rodzinny dom, innego nie pamiętam.

I twój też! - wykrzyknęła.

- Sentymenty to jest to, co nas gubi - mruknął profesor i sięgnął po kolejny kawałek mięsa.

- Myślałem, że kto jak kto, ale filozofowie bronią sentymentów -
zauważył Leszek.

- Jako wartości duchowej być może, natomiast w interesach na pewno nie

- poprawił go stryj.

Dobrnęli do deseru w miarę spokojnie, choć kilka razy zanosilo się na ostrzejszą sprzeczkę. Przede wszystkim profesor Kurczyłło nie mógł darować Emilce, że zaproponowała mu nocleg w bawialni, pokoju bądź co bądź

przechodnim, który prowadził do sypialni babki Barbary.

- Dom jest mały! - Halina Lipka pośpieszyła z pomocą Emilce. -

Dodatkowo znalazły w nim nocleg cztery osoby, więc umieszczenie dwu następnych graniczy z cudem.

- Są jeszcze hotele - stwierdził z wyższością profesor Kurczyłło.

- O właśnie! - zawołała Emilka. - Sprawdziliśmy, że w Młynie i Aleksandrze są wolne pokoje.

Możecie jechać w ciemno i dostaniecie nawet apartament.

Profesorowi znowu zebrało się na straszne pufanie.

Czuł się gościem ciotki Barbary i uważał, że to ona powinna zagwarantować mu wygodne spanie w domu lub opłacić nocleg. Był

nieodrodnym synem swojego ojca, przynajmniej jeśli chodziło o skąpstwo.

Goście spoza rodziny dopisali w komplecie. Pierwszy przyszedł mecenas Lameta, tuż po nim Bulwicz z komisarzem.

- A ta kobieta co sobie myśli? - spytała ostro babka Barbara i głową wskazała kępę leszczyn, żeby nie było wątpliwości, o kim mówi. - Potrzebuje umyślnego posłańca, żeby się ruszyć z domu?

Głosik miała ostry, wcale nie starczy, i kto wie, czy nowi goście, przekraczający właśnie furtkę, nie usłyszeli tych miłych słów powitania. Zofia Kurczyłowa szła w towarzystwie dwu mężczyzn. Jeden dzierżył sporą kartonową teczkę z dokumentami, i ten prawdopodobnie był mecenasem Januszem Sarneckim, natomiast drugi z panów miał puste ręce, za to sylwetkę okazałą. Na jego widok komisarz Rębowicz poprawił się w krześle.

Równie zaskoczona wydawała się Halina Lipka siedząca po drugiej stronie stołu. Ta dostała nawet czerwonych plam na szyi. Rębowicz pochylił się do ucha Izy.

- Maciej Cieplak? - szepnął.

Iza skinęła głową i nie zdążyła nic więcej dodać, bo rozdzwonił się jej telefon. Dyskretnie odeszła na bok.

Wyjęła komórkę z zielonego pokrowca w kształcie żaby.

Rębowiczowi przypomniały się słowa Daniela, że żaba zjadła babci komórkę. Uśmiechnął się nawet do swoich myśli, ale coś go jeszcze nurtowało.

Gdzieś wcześniej widział już taką żabę. Próbował sobie przypomnieć u kogo.

Jego koledzy nie mieli tak ekstrawaganckich gadżetów, więc na pewno nie widział jej w komendzie.

Żaba nie pasowała też do znanych mu pań. Może jedynie do Heni Pełki.

Musiał przerwać rozważania, bo zaczynała się rodzinna debata.

Babka Barbara miała wreszcie swoją wielką chwilę. To ona witała zebranych. Trochę przy okazji pokręciła, wymieniając Zofię Szarłat i Macieja Cieplaka.

- Moja klientka nosi nazwisko legalnie poślubionego męża i od trzydziestu lat nazywa się Zofia

Kurczyłło - przypomniał adwokat Sarnecki.

Babka niechętnie machnęła ręką. Rada by o tym zapomnieć, skoro się jednak nie dawało, zrzuciła winę na swój wiek, uśmiechnęła się przepraszająco i zaczęła stawiać twarde warunki. Dawała Zofii Kurczyłłowej tydzień na opuszczenie całego domu, a więc góry i dołu.

Oczywiście nakazywała zostawić obrazy na ścianach, piękne lustra i meble chippendale, także te na górze.

I tu stała się rzecz bardzo dziwna. Do dyskusji wmieszał się Jacek Bulwicki.

- Droga babciu Barbaro - powiedział. - Od pięćdziesięciu lat, odkąd pamiętam, na górze nie było żadnych cennych mebli. W porównaniu z dołem, z salonem, gabinetem i jadalnią, były to pokoje umeblowane gorzej niż skromnie.

Zawsze mieszkali tam dzieci, a w tej rodzinie dzieci się nie rozpuszczało.

Szaleliśmy po pokojach z Markiem, więc wiem, jak one wyglądały.

Babka aż dostała wypieków na tę jawną zdradę Bulwickiego. Tyle razy wspominała o meblach chippendale, że sama w nie uwierzyła, a to, w co wierzyła babka, musiało być prawdą. Marek nie odezwał się słowem, za to Leszek Kurczyłło przerwał meblowe utarczki i poprosił, żeby w rozmowach zachować jakiś porządek.

- Babciu, wypadałoby oddać głos panu mecenasowi - poprosił.

Babka Barbara spojrzała zdziwiona na mecenasa Lametę.

- O czym pan chciałby mówić? Sama powiem, co trzeba.

Leszek sprostował.

- Posłuchajmy mecenasa pani Zofii Kurczyłłowej.

Jeśli dziadek Władysław zostawił testament, zaraz się wszystko wyjaśni.

- Testament zginął pięć lat temu - wykrzyknęła babka Barbara. - Zginęła też intercyza. Majątek po moim bracie przechodzi na jego syna i wnuka. Tak stanowi prawo.

- Babciu, oddajmy głos prawu - poprosił stanowczo Leszek.

Mecenas Janusz Sarnecki był człowiekiem młodym, ale bardzo konkretnym. Zanim odczytał treść testamentu, który Władysław Kurczyłło sporządził na dwa tygodnie przed śmiercią, omówił to, co wiązało się z szeroko rozumianą własnością majątku. Wszystko, o czym wspominał, poparte było dokumentami i rachunkami.

W dniu ślubu Władysława i Zofii, w czerwcu roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego, budynek

wraz z posesją był wolny od długów i należał do Władysława. Utrzymanie dużego domu sporo kosztowało i właściciel, za namową żony, zgodził się sprzedać piętro Maciejowi Cieplakowi, zięciowi swojej żony. Transakcja była dość skomplikowana. Rzeczoznawca wycenił

budynek, ale Cieplak nie miał pieniędzy na wpłacenie połowy sumy, czy nawet jednej czwartej, więc zobowiązał się spłacać dom w miesięcznych ratach.

Utrzymywał też posesję, to znaczy w zimie odmiatał śnieg, w lecie czyścił

kominy, dbał o ogród i wziął na siebie wszystkie naprawy. Odkąd stał się prywatnym przedsiębiorcą i operował większymi pieniędzmi, mógł już inwestować w poważniejsze remonty, a także podwyższyć miesięczne spłaty.

Ponadto Władysław Kurczyłło przeniósł na niego swoje pieniężne zobowiązania. Cieplak dofinansowywał Barbarę Kurczyłłównę, która po przejściu na emeryturę dostawała niewielkie grosze, pomagał Feliksowi w czasie studiów, fundując mu dodatkowe stypendium, a od kilku lat płaci też pensję Halinie Lipce, opiekunce panny Kurczyłło. Wszystkie te kwoty plus remonty były skrupulatnie odliczane od ogólnego rachunku. W ubiegłym roku w sierpniu minęło dwadzieścia dziewięć lat od umowy i Cieplak ostatecznie spłacił

swoją część domu.

Mecenas skończył i poklepał grubą teczkę na znak, że wszystko, o czym mówił, jest w stanie udowodnić.

- Twierdzi pan, że góra domu należy do Cieplaków - powiedział Leszek. -

A dół?

- Gdyby nie było testamentu, dół należałby w połowie do żony, a z mężowskiej połowy większą część zabierałaby żona, resztę dzieci. To tak z grubsza.

- Dzieci? - zdziwił się Leszek. - Mówi pan o synu i wnuku?

- Nie. Mówię o synu Marku i córce Beacie z domu Szarłat, uznanej przez ojca dopiero po jej zamążpójściu.

Gdyby bomba uderzyła w ogródek babki Barbary, nie narobiłaby większego zamieszania. Najpierw wszyscy zamilkli, z zaraz potem jednocześnie zaczęli mówić. Słowa „niemożliwe”, „bzdura”, „głupota” latały nad stołem niczym wielkie muchy. Babka Barbara chyba w ogóle niczego nie rozumiała, bo szarpała Emilkę za rękę i kazała sobie tłumaczyć, co ten dziwny człowiek mówi.

Marek Kurczyłło nie miał już delikatnych rumieńców, tylko ceglaste wypieki.

- Chce mi pan wmówić, że mam siostrę, o której w życiu nie słyszałem? -

spytał.

- Tak, ma pan siostrę - powiedziała spokojnym, zimnym głosem Zofia Kurczyłowa. - Fizycznie jest bardzo do pana podobna. Robiliśmy badania DNA. Nie ma wątpliwości, że Władysław Kurczyło był ojcem mojej córki.

Najlepszy dowód, że on sam uznał swoje ojcostwo, czemu dał wyraz w testamencie.

- Uważam to za bzdurę! - upierał się profesor.

- Pańska opinia na ten temat w ogóle mnie nie interesuje. Pan również.

Przez trzydzieści kilka lat nie zdobył się pan nawet na telefon do ojca, teraz wyciąga pan rękę po jego majątek i dziwi się, że ręka jest pusta?

- Nonsens! - ryknął profesor. - Pani była służącą u mojej matki, matka by nigdy na to nie pozwoliła.

- Na co, na gwałt? - spytała Zofia. - Gdyby wiedziała, pewnie by nie pozwoliła. Moja córka urodziła się w wyniku gwałtu, miałam wtedy osiemnaście lat i byłam całkowicie zależna od moich pracodawców. Rodziców straciłam w czasie wojny, a babka właśnie zmarła.

Leszek nie dopuścił do kolejnego zamieszania. Poprosił o odczytanie testamentu, spisane przez Władysława Kurczyłę w obecności dwu świadków spoza rodziny: mecenasa Janusza Sarneckiego i przyjaciela rodziny Jacka Bulwickiego. Władysław, będąc w pełni władz umysłowych, przekazał cały swój majątek, a więc połowę posesji oraz połowę domu wraz z umeblowaniem, dzieciom, to jest synowi, Markowi, oraz córce, Beacie, natomiast dla żony, Zofii, ustanowił służebność osobistą.

- Co to, u diabła, znaczy! - przerwał niecierpliwie profesor.

- To znaczy - wyjaśnił chłodno mecenas - że pani Zofia Kurczyło ma prawo pozostać w mieszkaniu do końca życia. Nie może go sprzedać ani zamienić bez porozumienia ze spadkobiercami...

Profesor Kurczyło nie pozwolił mu skończyć.

- A jeśli ja, jako właściciel, zdecyduję się sprzedać tę nędzną połowę domu, to co?

- Taka transakcja jest możliwa pod warunkiem, że znajdą państwo, pan i siostra, nabywcę skłonnego kupić dom razem z lokatorem, którego nie można ruszyć.

Tym razem wszyscy milczeli. Słysząc było szum wiatru w drzewach.

Ciszę przerwała babka Barbara.

- Miesiąc temu, za tymi oto krzakami leszczyn, w rodzinnym domu Kurczyłów został otruty mój brat Władysław - stwierdziła z mocą.

- Nie został otruty, tylko umarł na zapalenie oskrzeli - zauważył spokojnie Leszek.

- Nie mówię tego do ciebie, paskudny chłopcze, ja to mówię do pana komendanta. Trzeba zarządzić

ekshumację, zbadać zwłoki i ukarać winnych.

Komisarz Rębowicz poczuł się niezręcznie. Wdzięczny był babce Barbarze za zaproszenie, z wielkim zainteresowaniem śledził dyskusję, a na koniec musiał wbić szpilę w serce staruszki. Nieoczekiwanie wyręczył go Jacek Bulwicki.

- Niedobrze jest zmarłych szarpać po śmierci - powiedział z wielką powagą - bo się im zamyka drogę do nieba.

Profesor Kurczyłło parsknął złym śmiechem.

- Chyba nie wierzysz w te bzdury? - spytał.

- Oczywiście, że wierzę - westchnął Bulwicki. - W końcu nie chodzi o kogoś obcego, tylko o twojego ojca.

Zniknąłeś na trzydzieści lat i nawet nie wiesz, jak bardzo pobożny zrobił

się na starość. Był zajadłym przeciwnikiem aborcji i ekshumacji.

Bulwicki spojrział na babkę Barbarę i zamilkł. Chude policzki staruszki dosłownie pałały, a spieczona usta walczyły o każdy haust powietrza. Emilka podsuwała jej wodę, a pani Halina przyniosła z domu lekarstwo.

Więcej o ekshumacji nie było mowy. Inne tematy też jakby się wyczerpały. Zofia Kurczyłłowa wstała. Nie siliła się na wylewne pożegnania, tylko skinęła głową zebrany. Komisarz zręcznie wyprzedził Halinę Lipkę i pierwszy zbliżył się do Cieplaka. Wyszli razem.

Zofia Kurczyłłowa czuła się osamotniona po wyjeździe wnuka i złaźniona towarzystwa po utarczkach w ogrodzie babki Barbary. Bardzo serdecznie zapraszała zięcia i komisarza do siebie na dół. Koniecznie chciała ich podjąć herbatą z ciastem, ale Cieplak wymigał się nadmierną tuszą. Zaprosił gościa na górę. W mieszkaniu pięknie wysprzątanym przez Henrykę Pełkę nie było widać śladów niedawnej tragedii.

- Ciasta, co prawda, nie mam, ale przy matce byśmy nie porozmawiali -

wyjaśnił. - Przeżywa biedaczka atak Kurczyłłów i trudno jej się dziwić. Cieszę się, że chociaż mogłem jej towarzyszyć.

- Za dużo pan się nie nagadał!

- Nikt mnie o nic nie pytał. Od gadania był mecenas, ja od duchowego wsparcia. Miałem wreszcie okazję poznać młodego Kurczyłłę, chociaż młody to on nie jest od dawna. Wyjątkowe bydlę. Jego ojciec nie był dobrym człowiekiem, dał się matce we znaki, ale nawet on nie zasłużył na takiego syna.

W depresję przez niego popadł, w stan ciężkiego przygnębienia. Matka listy do Warszawy słała

całkiem niepotrzebnie, bo drań nawet nie odpowiedział. Szkoda języka strzepić na takie utytułowane zero.

Rębowicz przytaknął, bo akurat w tej kwestii zgadzał się z Cieplakiem.

Na nim też profesor Marek Kurczyłło wywarł jak najgorsze wrażenie.

- Był pan u żony? - spytał.

- Byłem. Od razu pana uprzedzę, że nie zamierzam udawać czarnej rozpaczy. Mało jest ludzi, których tak nie lubię jak swojej żony. Nie znaczy to, że życzę jej wszystkiego najgorszego. Niech sobie spokojnie żyje, byle z daleka ode mnie. Dojrzałem do rozwodu, złożyłem w sądzie pozew, bo tak dłużej żyć się nie da. A więc byłem dziś u niej i rozmawiałem z lekarzami. Nie są zadowoleni z jej stanu. Pozornie niby wszystko w porządku, a w środku, w głowie, coś się dzieje. Nie mam pojęcia, co temu Podskokowi odbiło. Wyglądał

i zachowywał się jak ostatnia oferma, jak typowe ciepłe kluchy i nagle co: lew się w nim obudził? Znajduję tylko jedno wytłumaczenie: Mirabelka go sprowokowała. Ona po trzeźwemu zachowuje się jak furiatka, więc mogę sobie dośpiewać, co robiła po pijaku. Jedno wiemy na pewno, rozebrała się do rosołu.

Henia Pełka ją widziała.

- Otóż pani Pełka musiała dostać rozbieżnego zezna - wyjaśnił komisarz. -

Jednym okiem widziała prawdę, drugim to, co chciała zobaczyć. Potem opowiadała o swojej wizji, nie o prawdzie. Stanik i figi rzeczywiście znaleźliśmy na schodach, natomiast Cieplakowa była w sukni zsuniętej na biodra. Tylko biust miała obnażony.

- Ale prawdą jest, że rąbnął ją w głowę. I to w sypialni.

- To też fałszywa przesłanka. Zdarzenie miało miejsce najprawdopodobniej w czasie drogi. Możliwe, że pańska żona zachowywała się agresywnie, ale wszystko wskazuje na to, że została uderzona w samochodzie.

Na naszą prośbę policjanci z Lipna odszukali białego fiata ducato, który należy do matki Jerzego Podskoka. Znaleźli w środku parę podejrzanych śladów.

Kolega oglądał ten samochód, przywiózł też klucz francuski, którym sprawca rozbił głowę pańskiej żony. Uważamy, że w chwili przekraczania progu tego domu Beata Cieplak była już nieprzytomna. Ubrania rozrzucone na schodach to kamuflaż. Sprawca lub sprawcy chcieli, żeby policja pomyślała dokładnie tak, jak pan pomyślał: kobieta weszła do domu o własnych siłach, rozbierała się w biegu, żeby kogoś tam uwieść. Był upały, dużo na sobie nie miała: figi, stanik, sukienkę. Mężczyzn było trzech, dali radę ją wnieść i rozebrać.

- Jakich trzech? - wykrzyknął Cieplak. - Wiózł ją mały pokurcz, dla którego dwa kilo ziemniaków to solidny ciężar. Facet złamał umowę, nie miał

jej nigdzie wywozić, w ostateczności doprowadzić do pokoju w zajeździe. No cóż, nie przewidziałem, że ta idiotka się spije. Normalnie nigdy tego nie robiła.

Podobno szła jak taran i nie było siły, żeby ją powstrzymać. Matka pomogła Podskokowi zapakować ją do samochodu, ale nic nie mówiła o żadnych dodatkowych facetach. Skąd oni się wzięli?

- Kto pana odwiedzał w sobotę, tu, w ogrodzie?

Cieplak pamiętał psiego psychologa i Wyrobę. Pierwszy chciał z nim rozmawiać wyłącznie o jakichś rachunkach, których nie miał przy sobie, drugi o systemie płac w Mirabelli. Próbował spławić obu, ponieważ miał na głowie poważne zmartwienie. Przyznał, że był umówiony z kobietą, ale choć była to osoba bardzo mu bliska, spotkanie trudno nazwać randką. Odesłał kobietę do domu, kiedy Wyroba zaczął się zachowywać agresywnie.

- Znał pan wcześniej tych mężczyzn?

- Psiego specjalistę widziałem pierwszy raz, a Wyroba nachodził mnie już w firmie. To bardzo agresywny i chamowaty typ. Nie docierał do niego argument, że o zarobkach to ja mogę rozmawiać wyłącznie z pracownikami.

Indyczył się, prowokował, szukał zaczepki. On mnie niemal błagał, żebym mu dał w mordę i wywołał awanturę. Kiedyś, w młodości, ja też miałem swoje za skórą, teraz umiem zapanować nad nerwami i wyczuwam prowokację.

- Jednak w sobotę doszło do starcia?

- Nawet go nie dotknąłem. On mnie uderzył, ale zdążyłem się przygotować na cios. Poza krwawieniem z nosa nie doznałem większego uszczerbku. Nie mogłem tłuc faceta u siebie na podwórku, zwłaszcza że nie znałem tego drugiego, nie wiedziałem, czy nie są w zмовie.

- Na stoliku znaleźliśmy pustą butelkę wódki i dwa kieliszki. To był pański alkohol?

- Poprzedniego dnia mieliśmy się z kolegą napić. Przyniosłem flaszkę z lodówki, przyniosłem kieliszki, nawet nie zdążyłem rozlać, kiedy kolega dostał

telefon i musiał lecieć. Zająłem się czymś innym, zapomniałem o wódce. Stała całą dobę w upale. Ciepła wódka w upał... - Wykrzywił się i nie skończył, ale wiadomo było, co miał na myśli. - Po raz drugi nie sprzątnąłem butelki. Kiedy wychodziłem, była pełna.

- Poprosił pan Halinę Lipkę o klucze od jej mieszkania. Po co panu były te klucze?

Komisarz zadał pytanie i nie spuszczał oczu z twarzy rozmówcy. Do tej pory Cieplak zachowywał się naturalnie, na pytania odpowiadał rzeczowo, nie próbował mącić ani ściemniać. Mówił w zasadzie to, co komisarz już wcześniej wiedział, czego się domyślał lub uzupełniał to, czego się domyślić nie mógł.

Wydarzenia w mieszkaniu Haliny Lipki otwierały nowy rozdział, wciąż jeszcze bardzo zagadkowy.

- Tak - powiedział przeciągle Cieplak. - Narobiłem Halince kłopotu.

- Rzeczywiście chciał pan u niej zamieszkać?

- Mówiła, że chciałem zamieszkać? - zdziwił się. - Oj, baby, baby, zawsze słyszą to, co chcą słyszeć! Nie mówiłem, że u niej zamieszkam, mówiłem, że potrzebne mi mieszkanie na niedzielę i poniedziałek. Puste mieszkanie, bez Halinki. I było puste, czyli zrozumiała dobrze.

Opowieść, choć nieco karkołomna, wydawała się logiczna i spójna.

Cieplak jeszcze na kilka dni przed wyjazdem do Lipna założył sobie plan A, według którego w niedzielę rano, prosto z Lipna, miał pojechać do Brodnicy, dokąd wzywały go ważne interesy. Hondę zamierzał oddać swoim kobietom, żeby spokojnie wróciły do domu. Gdyby Mirabelka była choć trochę mądrzejsza, wsiałyby do samochodu i przywiozła matkę bez niepotrzebnego gadania. Tak się jednak składało, że nie była ani dobra, ani mądra, a na dodatek nie przepuściła żadnej okazji pozwalającej dokuczyć mężowi.

W odwecie za Brodnicę zaplanowała sobie Kołobrzeg.

Wzięła nawet z domu odpowiednio wielką walizkę, żeby godnie zaprezentować się nad morzem. Cieplak nie chciał pozostawić Zofii Kurczyłowej na pastwę losu, wymyślił, że znajdzie dla niej kierowcę, i znalazł.

Pewien kumpel, mieszkaniec Wagańca, skłonny był, za godziwą opłatą, przewieźć panią Zofię z Lipna do Michelina.

I tu nieodzowne okazało się podwórko oraz mieszkanie Halinki, ale bez Halinki. Podwórko było potrzebne dla samochodu, mieszkanie dla kierowcy. W

poniedziałek po południu Cieplak miał się z kumplem rozliczyć.

Z góry, niestety, nie mógł. Kumpel był uczciwym człowiekiem, miał

jednak swoje ludzkie słabości, lubił wódkę zagryzać piwem, i to natychmiast, ledwie poczuł kasę w kieszeni.

Bardzo dobre plany często padają przez głupi przypadek. Tak było i tym razem. W piątek niedoszły szofer wypił nieco za dużo, ściał drzewo i jako facet bez prawa jazdy przestał się dla Cieplaka liczyć. Plan trzeba było skorygować, rezygnując z Brodnicy. Kiedy więc w sobotę wieczorem Halinka przyczłapała z kluczami, nie bardzo chciał z nią gadać. Pora była nieodpowiednia, miał gościa, miał kłopot i zero ochoty na rozmowę.

Poza tym plan się zmienił i klucze nie były potrzebne.

Podniósł je, co prawda, ze ścieżki, ale nawet nie podszedł do furtki. A potem wszystko potoczyło się

jeszcze inaczej. Zanim dojechał do domu weselnego w Lipnie, wiedział już, że czeka go niezwłoczny powrót do Michelina. Nie było to jakieś tam widzimisię, tylko życiowa konieczność.

Rozchorowała mu się kobieta, z którą wiązał przyszłość, więc czuł się w obowiązku podnieść ją na duchu i uspokoić. Najpierw jednak musiał uspokoić rozwścieczoną Mirabelkę. Żona wciąż wypominała mu Brodnicę, robiła złośliwe aluzje i zapowiadała zemstę.

Pozostawiona sama sobie mogła przyczynić kłopotów matce oraz gospodarzom przyjęcia. Jedynym ratunkiem było znalezienie jej towarzysza zabawy. I tak trafili na Podskoka. Źle trafili. Podskok był życiowym fajtlapą, gdy tymczasem Mirabelce potrzebny był ktoś w typie tresera lwów. Nie pozwoliła biedakowi błysnąć umiejętnościami towarzyskimi ani tanecznymi i w ostateczności wykazał się jedynie jako kierowca. Przed północą odwiózł pijaną kobietę do Michelina. Telefon Cieplaka złapał go w drodze. Od słowa do słowa umówili się na dzień następny. Mając Podskoka jako kierowcę, Cieplak mógł

wcielić w życie plan A, ten sam, który upadł z powodu głupoty kumpla. Tak więc teraz na Podskoka spadł obowiązek odwiezienia pani Zofii do Michelina.

W niedzielę, po wykonaniu zadania, miał się zamelinować w mieszkaniu Halinki i spokojnie poczekać na zleceniodawcę i pieniądze. Zgodził się bez targów, bo w końcu obojętne mu było, czy leżał na tapczanie u matki, czy u Halinki. Telewizor był tu i tu. Podobnie jak jedzenie w lodówce.

I znowu wmieszał się głupi przypadek. W Brodnicy zawiódł ktoś, z kim Cieplak był umówiony, ktoś inny zachorował i na dobrą sprawę dopiero w czwartek wieczorem udało się wszystkie sprawy dopiąć. Do czwartku nie wiedział o wypadku Podskoka. Dzwonił do niego jeszcze ze dwa razy, ale telefon milczał, bo najprawdopodobniej przez kilka dni zdążył się rozładować.

Szczerze mówiąc, Cieplak niewiele myślał o Podskoku i Halince, zajęty zupełnie innymi sprawami. Był gotów zapłacić więcej, niż się umawiali, i to uspokajało jego sumienie.

- Skąd mogłem przypuszczać, że ta fujara ulegnie wypadkowi - stwierdził

ze smutkiem. Najwyraźniej nie lubił mieć sobie nic do zarzucenia.

- To nie był wypadek - powiedział komisarz.

- W jakimś sensie był. Zdrowy facet wszedł do wanny i już z niej nie wyszedł.

- Nie wyszedł, bo ktoś się o to postarał. Domyśla się pan, kto mógł mu tak źle życzyć, żeby zaraz dusić i topić?

- Za cholerę! Kiedy rozmawiałem z nim przez telefon, mówił, że nie zna nikogo we Włocławku. Cieszył się z noclegu. Uprzedziłem go, że drugi komplet kluczy ma właścicielka mieszkania, więc jeśli nie chce się z nią spotkać, musi korzystać z zasuwy i nikomu nie otwierać. Obiecał, że będzie uważał. Gdyby Halinka go nakryła, byłaby afera, może krzyk, może policja, na pewno nie morderstwo. Sąsiadów też nie podejrzewam. Ludzie w tej kamienicy nie są zbyt sympatyczni, jednak nie obrywają sobie głów przy każdej różnicy zdań. Tylko dwie osoby przychodzą mi na myśl: ten psi

psycholog i Wyroba. Jeśli to oni pomagali wnieść do domu Mirabelkę, stali się, w jakimś sensie znajomymi Podskoka. Jedynymi w mieście znajomymi, co trzeba podkreślić. Może nawet obiecał im jakieś pieniądze. Obydwaj są strasznie napaleni na forszę.

- Myśli pan, że mógł im dać adres?

- A co mu zależało? Mógł nawet zaprosić ich na niedzielny wieczór.

Teraz dopiero widzę, jak ryzykownie zagrałem z tymi kluczami. Obiecałem sobie, że pokryję Halince koszt remontu łazienki, ale chyba dam jej jeszcze na malowanie całego mieszkania.

- Przyznam, że mnie się to w głowie nie mieści - powiedział komisarz. -

Nie pojmuję, jak łebski biznesmen mógł dać klucze od mieszkania całkiem obcemu facetowi? Pół biedy od własnego, ale od cudzego? Najdelikatniej mówiąc, zakrawa to na wyjątkową lekkomyślność, chyba że w tym szaleństwie była metoda.

- Żadnej metody nie było - zaprotestował Cieplak. - Moja teściowa znała się z matką Podskoka, więc nie był to facet z ulicy. Nie mamy przecież zastrzeżeń do jego uczciwości, z mieszkań nic nie zginęło.

- Niech pan dodatkowo da na mszę za uczciwość Wyroby i Rubla. Ręczę, że oni też się przewinęli przez te mieszkania, a przynajmniej mogli się przewinąć. Wychodzi na to, że najbardziej nawalił pan, nie przyjeżdżając w poniedziałek na umówione spotkanie. Zdaje pan sobie sprawę, że takie zniknięcie zaraz po wypadku żony jest dla pana bardzo obciążające?

Cieplak nieoczekiwanie się roześmiał.

- Kuzyn pomagał mi załatwić bardzo korzystne zlecenie dla firmy. Przez najbliższe trzy lata możemy się nie martwić o rynek zbytu. To był cholernie ważny kontrakt i musiałem go doprowadzić do końca. Wypadek żony zmartwił

mnie, ale nie na tyle, żeby leżać wam w ręce. Dla was od początku byłbym podejrzany.

Panu nie muszę tłumaczyć, co wyprawia policja z podejrzanymi.

Wsadzilibyście mnie do wyjaśnienia sprawy i negocjacje diabli by wzięli. A przecież ja sam najlepiej wiedziałem, że jestem niewinny. Z całą premedytacją nie pokazywałem się tutaj. Guzik by mi przyszło z waszego przepraszam, jeśli nawet bym je usłyszał, a tak przynajmniej mam kontrakt.

- A jednak z Podskokiem pan nawalił - upierał się komisarz.

- Sam pan wie, jak czasem wszystko się w życiu pieprzy - mruknął

Cieplak. - Nie mogłem się rozdziwić, poprosiłem Bulwickiego o pomoc.

Prowadziłem negocjacje w imieniu firmy i wspólnik powinien to zrozumieć.

Początkowo obiecał, ale Iza na niego nawrzeszczała.

Słyszałem w słuchawce jej głosik zimny jak lód: „Nie jesteś chłopcem na posyłki, nie możesz za Cieplaka załatwiać jego prywatnych spraw!”. I Jacek się poddał. Dla świętego domowego spokoju podwinął ogon pod siebie i niczego nie załatwił, chociaż, powtarzam, wiedział, co robię w Brodnicy.

- Nie najlepiej to świadczy o panu Jacku - mruknął komisarz.

Cieplak znowu się roześmiał.

- Jacek jest w porządku _ zapewnił. - To dobry kumpel i umie trzymać język za zębami. On jeden wiedział, że Mirabelka była córką Kurczyły i pary z gęby nie puścił. Matka dzisiaj zabajerowała z tymi badaniami DNA, żeby bardziej Zezłościć Kurczyłłów, jednak ja wiem, że żadnych badań nie robili.

Stary uznał swoje ojcostwo, ledwie pierwsza żona zamknęła oczy. Zrobił to ze względu na matkę, ale nie życzył sobie rozgłosu. Mirabelki nigdy nie polubił i trzymał ją od siebie z daleka. Tu akurat mu się nie dziwię. Matka też nie powiedziała jej prawdy. Dobrze zrobiła, bo dzięki temu wszyscy uniknęliśmy cyrku. Oprócz mnie tylko Jacek wiedział o wszystkim, zapewniam pana, że to porządny gość, zwłaszcza po tym, co dla matki zrobił. A że boi się żony... Nie on jeden. Ma tylko cholernego pecha, bo Iza powinna być detektywem, nie architektem. Wytropi każde, nawet wymyślone przewinienie.

- Pani Iza? - zdziwił się komisarz.

- Pan też jest pod urokiem pani Izy? - Cieplak nie ukrywał ironii. - Ja nigdy nie byłem, nawet kiedy na podwórku graliśmy w zbijanego. Młodsza ode mnie, od moich braci i kumpli, za wszelką cenę chciała rządzić i rozkazywać.

Była moją sąsiadką. My mieszkaliśmy w rozwalającym się warsztacie, oni w starej kamienicy na parterze zajmowali jeden pokój. Wygódka na podwórku, woda też, jednym słowem luksusy w powojennym stylu. Bieda aż piszczała. U

nich jeszcze większa niż u nas, bo mój ojciec przynajmniej nie pił, za to jej prawie nigdy nie trzeźwiał. Nie słyszałem jeszcze, żeby Iza opowiadała o swojej biedzie, za to o mojej rozprawia wszędzie, gdzie może. Nie robi mi tym krzywdy, bo ja się przeszłości nie wstydzę. Nieważne, że wyszedłem z biedy, ważne, jak wysoko zaszedłem. Uważam, że wysoko. Ona zresztą też. Trzeba jej oddać, że do nauki miała głowę i była ogromnie ambitna. Skończyła trudne studia, w pracy jest dobra, towarzysko się wyrobiła i gra wielką panią. Aż trudno uwierzyć, że panienka z nizin, w opadających pończochach, wyrosła na taką wielką panią w futrach i kapeluszach. Rodzice Jacka nigdy się nie przekonali do swojej synowej, co nie znaczy, że zatruwali jej życie. To był

dopiero dobry dom! Dziad architekt, ojciec mecenas, rodzina jak się patrzy.

Jacek nie wywyższa się i nie pomiata ludźmi. To dobry chłop, czasem trochę dziecinny, co wynika z

jego łagodności, z delikatności wobec ludzi. Pokochał

polowania, ucieka do lasu, żeby być jak najdalej od wiecznie pouczającej go żony. A trzeba panu wiedzieć, że Iza zjadła wszystkie rozumy, także swój, wszystko wie i umie lepiej niż reszta świata. Głowę daję, że teraz wierci mu dziurę w brzuchu o to, że postawił się Kurczyłom i jawnie poparł moją teściową. Niby nie lubi profesora, niby ma mu za złe te trzy żony, jednak co Kurczyło, to nie jakaś tam Szarłatówna. Gdyby Iza wiedziała wszystko, pękłaby ze złości.

Tylko dzięki Jackowi matka nie została bez dachu nad głową. Jej mąż, ten stary dziwak, skąpiec i sklerotyk, całe mieszkanie i wszystko co w mieszkaniu zapisał synowi.

U niego nazwisko i więzy krwi to świętość. Nieważne jaki człowiek, ważne, że kuzyn, brat, syn. Wiele lat temu uznał Mirabelkę za swoją córkę, bo nie mógł nie uznać, ale w testamencie ją pominął. Pal diabli Mirabelkę, czemu jednak pominął swoją żonę? Zakrawało to na jawny skandal. Nogi mu myła, dupsko wycierała, a on na starość chciał ją wyrzucić z mieszkania, o które dbała jak o swoje przez trzydzieści lat. Kiedy się wreszcie postawiła, zaczął

tłumaczyć, że Marek jej nie skrzywdzi. Sam chyba nie wierzył w to, co mówił.

Dopiero Jacek tak go zręcznie podszedł, tak po chrześcijańsku przekabacił, że stary całkowicie zmienił testament. Trochę to trwało.

Myszę, że zadziałało imię mecenasa Bulwickiego, któremu Kurczyło bardzo kiedyś ufał. No i boża pomoc, bo ten kutwa okropnie religijny się zrobił

pod koniec życia, co Jacek pięknie wykorzystał.

Prosto od Cieplaka Rębowicz zamierzał jechać do komendy, gdzie był

umówiony z sierżantem Kosikiem.

Miał wsiadać do samochodu, kiedy na ulicy pojawiła się Iza Bulwicka.

Kończyła właśnie rozmawiać przez telefon i wpychała komórkę żabie do brzucha. Żaba była wydziergana na szydełku, miała białe wylupiate oczy i szerokie czerwone usta.

- Śmieszny gadżet - powiedział Rębowicz.

- To prezent od Mirabelki.

Posłuszna pamięć z miejsca podsunęła komisarzowi widok pewnego biurka i wylatujących z szuflady szpargałów. Długopisy, żaba, gumowe rękawiczki... Rębowicz był wzrokowcem.

- Ile takich żab może skakać po mieście? - spytał.

- Chyba nasze dwie - odpowiedziała Iza. - Jak sam pan widzi, ładna to ona nie jest, ale w miarę użyteczna.

Wzór wymyśliła Mirabelka, niestety, biedaczka, nie ma za grosz gustu.

Jakaś jej znajoma wydziergała na szydełku te maskary.

Ruszając z Piołunowej, komisarz zarobił na solidny mandat. Na szczęście nigdzie w pobliżu nie było pieczarek, jak pieszczotliwie mówi się o drogowcach, a nikt inny nie umiał docenić kaskaderskich wyczynów kierowcy.

Godzinę później Tomasz Rubel został zatrzymany.

W jego biurku znaleziono obciążające dowody: dwa kwity za leczenie psa, wystawione na nazwisko Beaty Cieplak, oraz jej telefon komórkowy w uciętym etui przypominającym żabę. Rubel upierał się, że kwity klientka sama mu odesłała, a komórkę zostawiła przez zapomnienie w czasie ostatniego pobytu, jakieś dwa tygodnie wcześniej. Nie przyjmował do wiadomości, że

‘ podana data zupełnie nie zgadzała się z datami rozmów zarejestrowanych w komórce. W ciągu minionych dwu tygodni Mirabelka dzwoniła trzydzieści osiem razy do różnych osób. Tylko w sobotę telefonowała siedem razy.

- Jak Cieplakowa mogła telefonować z komórki, która leżała u pana w szufladzie? - pytał spokojnie Rębowicz.

- A skąd pan wie, że to nie ja telefonowałem? - odpowiedział butnie Rubel.

- Miał pan jakieś ważne interesy do Macieja Cieplaka, którego podobno pan nie znał? - zdziwił się komisarz, przeglądając numery w komórce. - O, i jeszcze do Henryki Pełki i do manikiurzystki? Nie wiedziałem, że z pana taki elegant. Naprawdę umawiał się pan na manikiur?

Tomasz Rubel wylaamywał palce ze stawów, pocił się i przysięgał, że mówi prawdę.

- Nie mówi pan prawdy - tłumaczył mu komisarz. - W sobotę wieczorem nie miał pan jeszcze ani kwitów, ani komórki. Nie znał pan adresu Cieplaka i o drogę pytał przechodniów.

- Skąd pan to wszystko wie? - wykrzyknął. - To jakaś niedorzeczność. Nie widziałem Cieplakowej w nocy, nie byłem w jej sypialni, niczego nie wziąłem.

Nic mi nie udowodnicie, nic. Męczycie mnie dla samego męczenia.

Był mokry, rozdygotany, budził litość pomieszaną z niechęcią. Komisarz Rębowicz wstał. Dostyc już miał patrzania na to trzęsące się nieszczęście. Dał

mu trochę czasu na skrzeszenie, sobie zaś na odświeżenie pamięci.

Wciąż brakowało mu jednego ogniwa, żeby zamknąć sprawę. Wiedział, że przez moment miał je w ręku i nierozważnie wypuścił. Umknęło, przeleciało, całkiem jak to słowo na końcu języka. Jechał i myślał o Jacku Bulwickim, który nagle objawił mu się jako całkiem inny człowiek. Podobnie zresztą jak Iza.

Rozmowa z Cieplakiem sprawiła, że para ta zamieniła się miejscami: lubiana dotąd Iza okazała się niezłą jędzą, natomiast wyperfumowany Jacek powoli zajmował miejsce porządnego, choć słabego faceta. Było to całkiem normalne zjawisko.

Ludzie widziani oczami innych wciąż się zmieniali.

Kosik czekał już na komisarza i wyglądał jak podminowany. Sprawdziły się wszystkie dotychczasowe przypuszczenia. Beata Cieplakowa rzeczywiście została ugodzona w głowę w samochodzie. Ciemna tapicerka na tylnym siedzeniu powalana była jej krwią, a klucz francuski, kiepsko wytarty, leżał pod siedzeniem kierowcy owinięty w brudną szmatę. Najprawdopodobniej Podskok odłożył porządki w samochodzie do czasu powrotu do domu i z wiadomych powodów nigdy więcej do auta matki nie zajrzał. Do zbadania pozostało narzędzie, czyli ów klucz francuski, który tak dotkliwie zranił kobietę. Sierżant Kosik przywiózł go w worku foliowym jako dowód.

- No to sprawę Cieplakowej powoli zamykamy - stwierdził z dumą sierżant. - Właściwie wiemy już wszystko. Spila się sama, uderzył ją Podskok, Rubel z Wyrobą pomogli ją wtarmosić do mieszkania.

- A kto załatwił Podskoka? Te dwie sprawy są ściśle ze sobą związane -

stwierdził komisarz.

Rozłożył na biurku papiery i zaczął wertować ostatnie protokoły przesłuchań. Szukał drobiazgu, który wcześniej przeoczył, punktu zaczepienia, który doprowadziłby go do mordercy Podskoka.

- Panie Dariuszu, co takiego powiedziała Cieplakowa, co koniecznie chciałem zapamiętać?

- Ona powiedziała, a pan nie zapamiętał? - upewnił się sierżant.

- Właśnie.

- Według mnie to ona nic nowego nam nie powiedziała.

- Coś o zdrowiu, o higienie... może o leczeniu - zastanawiał się głośno komisarz.

- Zdrowa nie była, leczeniem zajmowali się lekarze, a na higienę chyba nie narzekała - wyjaśnił Kosik. - Urodę chciała poprawiać, kazała nam przyjść później...

Wyglądała jak straszdyło, nie uważa pan?

- Nie pojechaliśmy do szpitala, żeby się napawać urodą Cieplakowej -

mruknął komisarz. - Niech mnie pan nie rozprasza, tylko wysili szare komórki.

Co Cieplakowa powiedziała o Rublu?

- Chodzi panu o tę windę do nieba?

- Diabli z windą! Niech mi pan przypomni, co mówiła o samym Rublu.

- Że to pieprzony grat, że łasy na pieniądze i że nie znał się na psach. Nic więcej nie zdążyła powiedzieć, bo pielęgniarka wyprosiła nas z sali.

- Nie znał się na psach - powtórzył w zamyśleniu komisarz. - Nie powiedziała czasem, że on się psów bał...

Nie, nie bał, tylko...

- Brzydził - podpowiedział Kosik.

- Brzydził! - wykrzyknął z ulgą Rębowicz. - Jasne, że tak. To nam tłumaczy rękawiczki, rozumie pan?

Kosik nie rozumiał, ale Rębowicz nie miał czasu na tłumaczenie. Był

wyraźnie przejęty, układał w głowie plan rozmowy i duchem siedział już w areszcie na wprost Rubla. Wetknął papiery do szuflady, kiwnął na sierżanta i pomaszerował przodem.

Rubel powitał ich przerażonym spojrzeniem. Komisarz pomyślał, nie bez ironii zresztą, że ten, który tytułował siebie psim psychologiem, sam wyglądał

jak zaszczuty. Przysunął krzesło i spojrzał na Rubla w miarę pogodnie.

- W sobotę przyjechał pan do Michelina, żeby odwiedzić labradora czy doga, zgadza się?

- Buldoga - poprawił go psi psycholog.

- Nigdy bym sobie nie kupił buldoga - powiedział Rębowicz. - Nie lubię śliniących się psów. Panu to nie przeszkadza?

- Przeszkadza - westchnął Rubel. - Z natury jestem brzydliwy, ja nie dotknę psa bez gumowych rękawiczek.

- A wie pan, że dzięki pani Mirabelce tak właśnie zacząłem myśleć! -

wykrzyknął z ulgą Rębowicz. - Dlatego w sypialni Cieplaków nie ma pańskich odcisków palców. Nawet na torebce Cieplakowej. A przecież zajrzał pan do torebki, żeby wyciągnąć komórkę. Koniec żartów, panie Rubel. Po wizycie u buldoga miał pan w kieszeni gumowe rękawiczki i włożył je pan, wchodząc do mieszkania Cieplaków. Najpierw jednak proszę opowiedzieć, co było wcześniej.

Rubel zmalął, przygarbił się i minę miał taką, jakby lada moment miał

wybuchnąć płaczem. Aż mu Rębowicz musiał przypomnieć, że chłopaki czasem płaczą, natomiast komandosom nie przystoi najmniejsze nawet rozmazanie.

Wziął się w końcu w garść i przy wydatnej pomocy komisarza Rębowicza odtworzył wydarzenia

tamtego wieczoru.

- Fakt pakt, nie ma już co kręcić - szepnął.

Po wizycie u buldoga Rubel wpadł na pomysł, żeby odwiedzić Mirabelkę i popytać o swoje pieniądze. Adresu nie pamiętał, znał jednak powiedzenie, że koniec języka staje za przewodnika. Zaczepił jakąś kobietę, która udzieliła mu całkiem nieprawdziwych informacji. Mirabelka nie mieszkała pośrodku ulicy, tylko na samym początku. Poznał Gapola i wszedł na teren posesji. W graciarni na tyłach domu zobaczył starszego mężczyznę i kobietę. Pomyślał sobie, że fajnie by było, gdyby zaczęli się całować albo uprawiać seks. Oni jednak nie mieli takiego zamiaru. Rozmawiali, i to bardzo poważnie. Kobieta chyba popłakiwała. Rubel chciał odejść, niechcący kopnął kamień i został zauważony.

Mężczyzna naskoczył na niego, że płacze się po cudzym terenie. Jak usłyszał o rachunkach żony, to wkurzył się jeszcze bardziej i chciał je obejrzeć.

Nie wiadomo skąd, całkiem jak w horrorze, pojawił się jeszcze jeden mężczyzna. Z krzaków wyszedł najpewniej, bo właściciel posesji spytał: „A pan tu czego jeszcze szuka?”. Ten drugi, młody, zwinny, z byczym karkiem, nieoczekiwanie rzucił się na starszego i solidnie mu przyłożył. Rubel nawet nie zdążył zareagować, stał kawalek dalej. Cofnął się w krzaki i tam już został, a ci dwaj widać doszli do porozumienia, bo więcej się nie bili. Potem właściciel wyszedł, zamknął furtkę, a Rubel został w krzakach, bo mu wódka pachniała.

Na stole w graciarni, za otwartymi drzwiami, stała cała butelka. Niestety, młody byczek widać to samo sobie pomyślał, bo wrócił jak po swoje. Rubel już siedział przy stoliku, już wlewał sobie pierwszy kieliszek, kiedy pojawił się tamten z pomidorem w garści. Od słowa do słowa zapalali do siebie sympatią i przeszli na ty. Już nie siedział przy stole chudy facet z byczkiem, tylko Tomek z Ernestem. Wszystko, co dobre, szybko się kończy i butelczyna też się skończyła.

Tomkowi nie śpieszyło się nigdzie, bo ostatni autobus mu uciekł, Ernest był miejscowy, więc trochę drzemali, trochę gadali, aż usłyszeli hałas i ostre psie szczekanie.

To przyjechał biały fiat dostawczy na lipnowskich numerach. Kierowca nie zważał na psa, wjechał do środka, bramę zamknął i zaczął się szarpać z jakimś pakunkiem.

Z tylnego siedzenia próbował wyciągnąć coś, co nie dawało się wyciągnąć. Pierwszy nie wytrzymał Rubel. Z natury był bardzo uczynny, a kierowca wyglądał jak gimnazjalista i za nic nie mógł sobie poradzić.

„Pomóc?”, spytał Rubel. Tamten najpierw się wystraszył, potem uradował.

„Szefową przywiozłem, spita jak bela, z rozwalonym łbem”, powiedział. I jeszcze dodał: „Dostanę kasę za kurs, to postawię pół litra”. Skusił ich, bo każdy lubi się napić za cudze, chwycili Mirabelkę z dwóch stron pod ręce i ponieśli.

Kierowca, ten mały gimnazjalista, tylko im drzwi otwierał, bo do niczego więcej się nie nadawał.

Potem w domu wyszło na jaw, że taki młody to on nie był.

Mały i chudy, owszem, ale gębę miał pooraną zmarszczkami. Rublowi przypominał lekarza wojskowego, wyjątkowego skurczybyka, który jednym swoim podpisem złamał karierę zdolnego komandosa. Owszem, po wypadku została Rublowi siatka w czaszce, ale w czym ona niby przeszkadzała? A lekarz się uparł, że żołnierz do służby niezdatny i żadne błagania nie pomogły. Przez to wyraźne podobieństwo Rubel poczuł do gimnazjalisty niechęć. Tylko przez podobieństwo, bo lekarz był zarozumiały i nieprzystępny, natomiast mały wyskrobek starał się przypodobać nowym kolegom, chwalił ich krzepę, obiecywał wódkę, a na końcu zademonstrował prawdziwie młodzieńczą fantazję. Powiedział: „Słuchajta chłopcy, a jakby tak kobitkę lekko rozebrać, ciuchy porozrzucić, to ktoś mógłby pomyśleć, że ona do domu na amory wróciła”.

Wtedy Rubel spytał: „Z rozbitą głową na amory?”. A ten mały nawet się nie zawstydził głupiego pomysłu, tylko wypalił: „Wyjdzie na to, że amant ją tak urządził”.

I wtedy Rublowi coś w głowie zaświtało. Gdyby mu nie zaświtało, gdyby kiedyś tam nie czuł do Mirabelki sympatii, pewnie nie spytałby, kto ją tak urządził, jeśli wiadomo, że nie amant? Gimnazjalista wzruszył ramionami i poczęstował go historyjką o tym, jak to w czasie drogi dama ogłosiła przerwę na sikanie, przewróciła się i grzmotnęła głową w kamień. Była pijana, mogła się przewrócić, mogła nawet uderzyć głową o kamień, tylko jak z powrotem weszła do samochodu? To pytanie Rubel odłożył na później, bo najpierw musiał

zatroszczyć się o własną skórę. Głupi nie był, szybko się zorientował, że ma do czynienia z psycholem, a nie życzył sobie żadnych afer. Zielony ze strachu Ernest zwiął, ledwie ułożyli ciało na dywanie, kierowca zajął się dekoracją schodów, natomiast Rubel włożył gumowe rękawiczki i zaczął przeglądać szufladki w toalecie. Miał fart, bo już w drugiej znalazł swoje kwity. Sięgnął

jeszcze do torebki i zabrał telefon Mirabelki. Kierowca spytał:

„A do portfela nie zajrzysz?”. Odpowiedział: „Nie jestem hieną, nie okradam nieboszczyków, biorę tylko to, co moje!”. Wyszli z mieszkania, nie zabierając niczego.

Kierowca jechał do Lipna, więc Rubel zabrał się z nim do centrum Włocławka. Zagrożenie minęło, emocje opadły i poczuł się spokojny. Uciął

sobie nawet całkiem miłą pogawędkę z nowym znajomym, który przedstawił się jako Jerzy Podskok. Nie miał nic wspólnego z wojskowym lekarzem. Tamten nazywał się całkiem inaczej i na pewno był dużo starszy. No i nie był ani miły, ani uczynny, a Podskok owszem. Ledwie Rubel napomknął, że będzie musiał

przespać się na dworcu, bo ostatni autobus dawno odjechał, zaproponował

nocleg w pewnym mieszkaniu na Cygance. Zawiózł go na miejsce, kazał spać, jeść i nigdzie nie wychodzić. Powiedział: „Czuj się jak u siebie i czekaj na mnie.

Jutro po południu przywiozę coś do przepłukania gardła”.

Rubel z natury był człowiekiem bardzo ostrożnym i wolał nie zostawiać śladów. Rękawiczki ściągał tylko do mycia, a z myciem też nie przesadzał, bo przecież z głównem się nie bił, z domu nie wychodził, to gdzie się miał

pobrudzić.

Jurek przyjechał tak, jak obiecał, następnego dnia.

Przywiózł kilka piw, zrobili sobie małą balangę, a potem położyli się spać na jednym tapczanie. Rubel nie miał nic przeciwko spaniu we dwoje, pod warunkiem że tych dwoje reprezentowało różne płcie. Nie kręcił jednak nosem, bo zrobiło się późno i znowu nie miał autobusu.

Odwrócił się tyłkiem do kumpla i jakoś noc przepękał.

A potem jeszcze drugą. Facet, który winien był Jurkowi pieniądze, spóźniał się i w niewielkim mieszkaniu zaczęło iskrzyć. Rubel uważał się za człowieka inteligentnego, o szerokich horyzontach i wszechstronnych zainteresowaniach. Znał się na psach, na kobietach i na polityce, poza tym umiał

się zachować, był grzeczny i nie cierpiał chamstwa. Trafił na Jerzego Podskoka i w jednej chwili zwątpił w ewolucję. Facet, który przechwalał się studiami, co prawda zaczętymi ledwie, ale za to na politechnice, zachowywał się jak typowy prymityw. Mlaskał, siorbał, nie sprzątał po sobie i dzielił się przemyśleniami typu: „Wszystkie baby to dziwki”. Rubel mówił, że nie wszystkie, a Podskok na to: „Gadanie!”. Trudno z nim było wytrzymać i jeszcze trudniej rozmawiać.

Rubel parę razy zbierał się do odejścia, a wtedy jego towarzysz całkowicie zmieniał front i zaczynał skamlać: „Bądź człowiek, bądź kumpel, nie zostawiaj mnie tu samego.

Żeby chociaż miał komputer, to mógłbym sobie pograć, a tak zwariuję”.

Rublowi niezbyt pochlebiała opinia, że jest stawiany na równi z grami komputerowymi, lecz nie chciało mu się wracać do pustego mieszkania. W

jakimś sensie Podskok był dla niego obiektem badań psychologicznych.

Kiedy nie chciał zostać sam, przymilał się i skamlał, ledwie jednak Rubel siadał na tapczanie i mówił, że zostaje, w tym samym odzywała się złośliwa małpa.

Robił się wtedy podobny kropka w kropkę do wspomnianego już wojskowego lekarza. Nawet oko przymykał tak samo. „Te rękawiczki pasują ci jak dupie bał”, powiedział przy zaimprovizowanym obiedzie. I dodał jeszcze coś o przestępczej naturze, która ciągnie wilka do lasu. Była to głupia uwaga w stylu Podskoka, ale Rubla zdenerwowała. Spojrzał z odrazą na pomarszczoną gębę i przymknięte oko kumpla. „A ty wiesz, że ja tę kobietę, tę Cieplakową kochałem?”, wyznał z patosem. Podskok parsknął śmiechem. „No to mamy amanta, który z zazdrości rozwalił łeb ukochanej! To co, dzwoniemy na policję już teraz, czy czekamy aż sami do ciebie przyjdą?”. Nie powinien tego powiedzieć nawet żartem. Rubel zjeżył się w sobie, poczuł lód w piersi, lecz twarz zachował kamienną. „Powiedz mi, jak kumpel kumplowi, co ty jej zrobiłeś?”, poprosił. Podskok wzruszył ramionami. „Przydzwoniłem dziwce kluczem francuskim, bo nie dało się z nią jechać. Zaczęła mnie

dusić, zasłaniać mi oczy, a mnie życie było miłe”, wyjaśnił bez cienia żalu.

Godzinę później Tomasz Rubel zaczął usilnie namawiać Jerzego Podskoka do zażycia kąpieli. Był na tyle uczynny, że sam nagrzał wody w bojlerze. Pozwolił koledze rozebrać się i zanurzyć w wannie, a nawet chwilę odetchnąć. Potem wszedł cicho do łazienki... Kiedy po chwili pojawił się znowu w przedpokoju, powiedział na cały głos: „A masz, doktoru, za swoje!”. W

ciszy mieszkania zwykle słowa zabrzmiały jak krzyk i Rubel aż się wzdrygnął.

W tym samym momencie ktoś zadzwonił do drzwi. Pomyślał, że to facet z pieniędzmi, i przycisnął się, gotów zaatakować po raz drugi. Na szczęście dobijała się jakaś para, krótko i niezbyt nachalnie. Wszedł tuż po nich, widział

jeszcze, jak wsiadali do samochodu.

Zdjął wreszcie rękawiczki i z braku kosza porzucił je w następnej bramie.

Pierwszy raz od kilku dni Rębowicz wracał do domu w doskonałym nastroju. Bardzo lubił ten moment, kiedy ze śledztwa, które prowadził, zniknął

ostatni znak zapytania. Uważał, że uwinęli się z sierżantem Kosikiem wyjątkowo sprawnie. Justyna czatowała na niego przy drzwiach.

- Słyszałaś już? Słyszałaś? - dopytywała się. - To nie Rojkowa zamęczyła męża na śmierć. Ona wzięła tylko na siebie cudze winy.

- Czyje winy?

- Policja będzie musiała to udowodnić. Kochanek Rojkowej odpada, bo go nie było w mieście...

- Rojkowa miała kochanka? - wykrzyknął zaskoczony komisarz. -

Przecież ona była szpetna jak siedem grzechów głównych.

- Może dla ciebie, ale Rojkowi i kochankowi widać się podobała.

Ciekawe, kogo osłania. Nie mógłbyś się dowiedzieć?

Komisarz Rębowicz nie był aż tak bardzo dociekliwy jak jego żona i nie zamierzał mieszać Mietkowi Uchalskiemu w śledztwie.

- Mam nadzieję, że ten, którego Rojkowa osłania, nie słyszał głosów w naszej ścianie? - mruknął.

- Rojkowa podobno słyszała - przypomniała Justyna. - Upierała się, że głos ze ściany mówił jej, co ma robić.

- Moi kumple zrobili z tego głos zza ściany i bardzo sobie ze mnie dworowali. Jeśli teraz drugi

bałwan się uprze, że nasza ściana do niego gadała, kto wie, czy Mietek nie zechce mnie zamknąć pod zarzutem permanentnego nakłaniania do zbrodni.

- W ostateczności trochę posiedzisz - pocieszyła go żona. - Myślisz, że Mietek wierzy w gadające ściany?

- Nieważne, w co wierzy policjant, ważne, co mówi prawo - sprostował

Rębowicz. - A prawo nie pozwala popychać ludzi do zbrodni ani ich instruować.

- Akurat głosy z zaświatów dużo sobie robią z twojego prawa - roześmiała się Justyna. - Ale kumpli mógłbyś popytać.

- Nawet o tym nie myśl - odpowiedział.

Rano Rębowicz pojechał jeszcze raz na Piołunową, żeby uzupełnić kilka podpisów. Zaczął od babki Barbary. Staruszka ochłonęła już po emocjach dnia poprzedniego, była jednak podminowana i nieswoja. Ukochany bratanek Marek wyniósł się bez pożegnania.

Oczywiście mruknął zdawkowo jakieś do widzenia, ale zdaniem babki nie tak powinno wyglądać rodzinne pożegnanie, zwłaszcza jeśli jedna ze stron przekroczyła już pięćdziesiątkę.

- Nieczułe, całkiem nieczułe jest to młode pokolenie - mruzczała gniewnie.

- Jakie młode! - zawołała Emilka. - Młodą to on ma żonę, a sam skończył

sześćdziesiąt pięć lat. Nie jest to może zgrzybiała starość, ale młodość wcale.

- Powiem wam, że mężczyźni to dziwny gatunek - stwierdziła babka.

Emilka z wrażenia dostała wielkich oczu. Jak świat światem, babka nigdy nic złego nie mówiła na mężczyzn, a już na pewno nie na mężczyzn z rodu Kurczyłów.

- Dlaczego?

- Tego nie wiem, tacy się Panu Bogu udali. Wiedziałam, co robię, nie wiążąc się z żadnym. Gdybym wyszła za tego, który najbardziej mi się naprzykrzał, nosiłabym takie samo nazwisko jak pan komendant. Kto wie, może Alfred Rębowicz był pana dziadem?

Wszystkie oczy zwróciły się na komisarza, a on zapomniał w kamień albo nigdy tego nie wiedział, jak miał na imię ojciec ojca. Alfreda w rodzinie jakoś nie pamiętał.

- Mój dziad miał na imię Maurycy - skłamał gładko.

- Maurycy... Bardzo ładne imię - pochwaliła babka i przestała się interesować ludźmi przy ogrodowym stole.

Zapadła w siebie, w przeszłość, może nawet zobaczyła pana Alfreda, bo uśmiechnęła się smętnie i siedziała niby ze wszystkimi, jednak daleka i wyobcowana. Nie zareagowała nawet na dzwonek telefonu komisarza. Ani na jego słowa.

- Dzwonili ze szpitala - powiedział Rębowicz. - Pół godziny temu zmarła Beata Cieplakowa,

- No cóż, zdarza się - mruknął Leszek w kompletnej ciszy.

- Śmierć zawsze jest smutna - stwierdziła Iza - ale akurat Mirabelki nie będzie mi specjalnie brakowało. Całkiem niedawno ktoś mi powiedział w najgłębszej tajemnicy...

To znaczy powiedziały mi koleżanki z urzędu, że Mirabelka starała się umieścić matkę w domu opieki. Najprawdopodobniej chciała zawładnąć całym jej mieszkaniem.

Do tej kobiety pasuje każde, nawet najgorsze świństwo.

- Cii - szepnęła Emilka.

Komisarz Rębowicz zaczął się żegnać. Leszek Kurczyłło odprowadził go do samochodu.

- To co, nie ma pan jeszcze jakiejś kryminalnej zagadki? Wyjeżdżam dopiero jutro, to dzisiaj moglibyśmy sobie powęszyć. Dobrze nam szło.

- A co pan myśli o tym domu opieki? - spytał komisarz.

- To brzmi prawdopodobnie, ale nawet gdybym wiedział, że Zofia Kurczyłłowa, moja przyszywana babka, zleciła komuś potrząśnięcie swoją córką, nie powiedziałbym panu słowa. Ta kobieta mi wczoraj zaimponowała.

A o córce, jak mówi Emilka: cii!

Uścisnęli sobie ręce.

KONIEC

Table of Contents

[Rozpoczni](#)